

Śladami
Sherlocka Holmesa



kryminał wodziszławski



REGIONALNA

Wodzisław Śląski 2009

Śladami Sherlocka Holmesa

KRYMINAŁ WODZISŁAWSKI

zbiór opowiadań wyróżnionych w konkursie literackim
ogłoszonym przez Miejską i Powiatową Bibliotekę Publiczną
oraz Stowarzyszenie "Nasz Wodzisław"

Wodzisław Śląski 2009

REGIONALIA

821.162.1-3



161 696

M i P B P
w Wodzisławiu Śląskim
REGIONALIA



000-161696-00-0

Oddajemy do rąk czytelników zbiór opowiadań kryminalnych, które stanowią pokłosie konkursu literackiego „Śladami Sherlocka Holmesa – kryminał wodzisławski”, ogłoszonego w grudniu 2008 roku przez Miejską i Powiatową Bibliotekę Publiczną w Wodzisławiu Śląskim oraz Stowarzyszenie „Nasz Wodzisław”.

Na konkurs wpłynęły 42 prace, spośród których publikujemy 3 nagrodzone oraz 5 wyróżnionych.

Laureatami konkursu zostali:

I miejsce - **Michał Kłosiński** (Faust)

II miejsce - **Robert Menżyk** (Bob)

III miejsce - **Szymon Swoboda** (Saladyncz).

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna
w Wodzisławiu Śląskim
składa serdeczne podziękowania
uczestnikom konkursu „Śladami Sherlocka Holmesa
- kryminał wodzisławski”
oraz wszystkim tym,
którzy przyczynili się do wydania tej książki.



REQUIEM DLA LOSLAU

Lokomotywa powoli wtacza się na stację. Kłęby pary buchające spod kół żelaznej bestii pochłaniają tłumy ludzi stłoczonych na peronach. Kobiety i mężczyźni w pasiastych łachmanach drżą na styczniowym mrozie. Zbijając się w zwarte grupy próbowali wykorzystać tę niewielką ilość ciepła, którą produkowały ich wychudzone ciała. Ledwo stoją na patykowatych nogach, stopy odmarzają w drewnianych chodakach. Bacznie obserwują ich uzbrojeni w karabiny, dobrze zbudowani mężczyźni w czarnych mundurach i wysokich butach z cholewami. Niektórzy z nich trzymają na smyczy wyrywające się psy o potężnych szczękach i zębach ostrych jak brzytwy. Dwie, przypominające błyskawice runy, umieszczone na hełmach i kołnierzach ich uniformów, budziły grozę w całej Europie od Pirenejów po Kaukaz. Dla żywych szkieletów w pasiakach stali się oni panami życia i śmierci od chwili gdy ci przekroczyli bramę z umieszczonym nad nią napisem: „Arbeit macht Frei”. KL Auschwitz, zbrodniczy folwark III Rzeszy zarządzany przez SS, został na wschodzie, a na peronach stacji kolejowej „Loslau” pozostali przy życiu więźniowie czekają na ostatni etap morderczej ewakuacji obozu.

Sapiący parowóz wprowadza na stację korowód wagonów. Różnią się one konstrukcją oraz kolorami złuszczonej się farby. Kilka lat temu były cenną zdobyczą wojenną, teraz są świadkami upadku imperium Hitlera. Łączy je jeszcze jedno: w czasach pokoju nikt nie pomyślałby, że można przewozić nimi ludzi.

Lokomotywa zatrzymuje się. Bydłące wagony zderzają się buforami i nieruchomieją przed przerażonym tłumem. Większość z oczekujących już raz doświadczyła luksusów podróży koleją SS. Jednak poprzednio przemierzając Europę nie wiedzieli, że czeka na nich rampa obozu w Oświęcimiu. Mieli ciepłe ubrania i zapas jedzenia. Niektórzy wierzyli, że jadą kolonizować Lebensraum. Teraz, w pierwszym miesiącu 1945 roku, nie mieli wielkiej nadziei na przetrwanie podróży w rozsypujących się wagonach nie dających żadnej ochrony przed zimą.

Kapo, więźniowie funkcyjni, rozsuwają drzwi wagonów. Nad całą stacją rozlegają się niemieckie okrzyki:

- Raus, raus, ruszać się ścierwa, ładować się! - mężczyźni w czarnych mundurach słowa wspierają kolbami karabinów. Więźniowie zeszytniałymi z zima rękami próbują wdrapać się do wnętrza wagonów. Ci, którzy upadną są tratowani przez towarzyszy, ci którzy zostają w tyle narażają cię na cios w plecy i kłypsów.

Oprawcy żartują, wyśmiewają niezdarność swych ofiar. Od czasu do czasu któryś z nich dla rozgrzewki kilkoma celnymi uderzeniami powala więźnia i rozbija kolbą jego czaszkę. Psy szarpią szmaty wywołując salwy śmiechu katów.

Drzwi budynku stacyjnego otwierają się. Wychodzący esesman różni się od pozostałych. Jego mundur zdobiał dystynkcje oficera, na czapce szczyrzy zęby trupia czaszka. Dłonie w wytworzonych skórzanych rękawiczkach wyciągają papierosa ze złotej papierośnicy. Srebrna zapalniczka strzela płomieniem. Oficer zaciągając się bez zainteresowania dogląda załadunku.

Kilkanaście minut później wagony są pełne. Na peronach w brudnym śniegu walają się zakrwawione szczątki. Esesmani sprawdzają stan taboru. Oficerskie buty wgniatają w śnieg niedopałek. Od strony miasta na peron wchodzi czterech więźniowie pod eskortą żołnierza SS. Podchodzą do oficera.

- Herr Oberstumsfuhrer, melduję, że pana bagaże zostały bezpiecznie dostarczone na kwatery - esesman strzela obcasami

i pręży się jak struna. Więźniowie zdjęli z głowy czapki i wbili wzrok w ziemię.

- Dziękuję, Schmidt. Oficer częstuje żołnierza papierosem i sam zapala następnego.

- Właśnie skończyliśmy załadunek - Oberstumfuhrer głęboko się zaciąga - a naszym tragarzom też należy się jakaś nagroda.

Oficer wydmuchuje dym, przytrzymuje papieros ustami, wyciąga z kabury Walthera P38 i kolejno strzela więźniom w głowę. Chowa pistolet i kolejny raz głęboko się zaciąga.

- Te śmieci powinny być wdzięczne za szybką śmierć z ręki niemieckiego oficera - wypuszcza z płuc tytoniowy dym - Cóż, chyba jeszcze mnie trzyma świąteczny nastrój.

Oberstumfuhrer SS Hermann Krammer gasi niedopałek i wraca do budynku.

Parowóz powoli rusza, pełne jęków wagony ruszają w nieznane. W szybko zapadającym zmierzchu drobny śnieg przykrywa trzydzieści ciał. Na nagrobku, którego nie będą mieli, jako data śmierci powinien zostać wyryty dzień 22 stycznia 1945 roku.

Pracę przerwało mu pukanie.

- Wejść! - rzucił odrywając się od papierów. W drzwiach pojawił się chłopak w zbyt dużym dla niego mundurze i z karabinem pamiętającym pierwszą wojnę światową na ramieniu. Młody żołnierz wyglądał na 16 - 17 lat. Cierpiący na brak ludzi Wehrmacht sięgał po ostatnie rezerwy.

- Podporucznik Wilhelm Kutzcha? - potwierdził skinieniem głowy - ma się pan stawić w sztabie. Natychmiast. Rozkaz pułkownika von Willebrandta.

- Zrozumiałem, już się ubieram. Zaczekajcie na korytarzu.

- Tak jest! - nastolatek w mundurze bezskutecznie spróbował strzelić obcasami i wyszedł. Wilhelm ubrał płaszcz wojskowy. Zapinając guziki niezdarnie przytrzymał je lewą ręką. Ciężkie poparzenie w dzieciństwie, które uszkodziło mięśnie, zniszczyło nerwy i pozostawiło zbliźnowaciałą skórę, zmieniło ją w protezę kończyny. Podeszedł do małego, wiszącego na ścianie lusterka. Pojawiło się w nim odbicie szczupłej twarzy mężczyzny o kwadratowej szczękę, niebieskich oczach i krótko obciętych ciemnych włosach, z pierwszymi nitkami siwizny na skroniach. Zdrową, prawą ręką sprawdził, czy jest wystarczająco dokładnie ogolony, założył oficerską czapkę i wyszedł.

Opuścili teren fabryki papierosów, gdzie w budynku dyrekcji znajdowało się biuro i kwatera porucznika. Przedzierali się w górę Wallstrasse /przyp. aut. obecnie ulica Wałowa/, której nikt nie zdążył odsnieżyć po nocnych opadach. Styczniowy wiatr przesywał do szpiku kości. Tylko w lewej ręce Kutzcha nie czuł zimna. W dzieciństwie nie mógł się pogodzić z kalectwem. Po wybuchu wojny pogodził się z kikutem, który uchronił go przed mobilizacją, aż do października 1944 roku. Jego kuzyna, Józka, który wyśmiewał jego ułomność, wzięli jeszcze przed Stalingradem. Zginął gdzieś w ukraińskim stepie, na froncie wschodnim. Wili w miarę spokojnie żył w przemianowanym na Loslau Wodzisławiu, ale w styczniu 1945 roku front wschodni zbliżył się na odległość kilkunastu kilometrów od jego miasta.

Minęli szpital i kościół. Skręcili w ulicę prowadzącą do znajdującej się na wzgórzu nowej szkoły. W poprzek drogi ustawione były blokady obsadzone przez żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe. Nie byli zatrzymywani, widocznie straże zostały uprzedzone. Dopiero przy wejściu do szkoły został poproszony o dokumenty. W czasie gdy „pies łańcuchowy”- kapral żandarmerii z charakterystyczną blachą na piersi, sprawdzał jego dokumenty, Kutzcha obserwował dzieci dyrektora szkoły, które lepiły bałwana między działami przeciwnotycznymi ustawionymi na boisku. Po kontroli młody żołnierz zaprowadził go pod gabinet dyrektora, w którym obecnie urzędował pułkownik Otto von Willebrandt.

- Leutnant Wilhelm Kutzcha melduje się na rozkaz!

Pułkownik siedzący za masywnym, dębowym biurkiem spojrzął znad okularów na salutującego oficera. Dowódca stacjonującego w Wodzisławiu pułku, wchodzącego w skład broniącej podejścia do Bramy Morawskiej 26 Dywizji Piechoty, wyglądał na około 45 lat. Jego pierś zdobił Krzyż Żelazny z liśćmi dębu, a odznaka na lewym ramieniu nasuwała przypuszczenie, że otrzymał ten order za kampanię na Krymie. Wskazał na stojące przed biurkiem krzesło.

- Siadajcie, poruczniku.

Willebrandt podszedł do stojącej pod ścianą szafy i wyciągnął z niej teczkę. Usiadł i rozłożył na blacie jej zawartość. Czekający na rozwój wypadków Wilhelm ukradkiem spoglądał na wiszącą

na drugiej ścianie szczegółową mapę regionu, na której zaznaczono pozycje jednostek niemieckich.

- Mam dla was zadanie. Dzisiaj rano ordynans znalazł martwego Oberstuführera SS Hermanna Krammera. Ciało leżało w łóżku, w pokoju kamienicy przy Hindenburgstrasse.

- Przykro mi. Czy służba kwatermistrzowska ma zająć się pogrzebem? Istypa?

- Nie pieprzcie mi tutaj! - pułkownik wałnął pięścią w biurko - Pasujecie do kwatermistrzostwa jak bolszewik do pałacu. I wiem, że wcale nie jest wam przykro!

Porucznik poderwał się z krzesła.

- Jestem aresztowany?

- Siadaj! - gdy jego rozkaz został wypełniony Willebrandt zaczął czytać: „Wilhelm Paul Kutzcha, urodzony 8 września 1916 roku w Biertultau. Syn Erwina, górnik kopalni Emma. Ukończył liceum w Rybniku. W październiku 1939 został funkcjonariuszem policji w Loslau. Pochwały za zakończone śledztwa w 1940 i 42. Zmobilizowany w 1944 w stopniu podporucznika, z powodu niesprawnej lewej ręki przydzielony do kwatermistrzostwa.”

- Mam świadomość tego, że czujesz się Polakiem. Na podaniu o pracę w policji wystarczyło zamiast Kucza wpisać Kutzcha. Nikt nie sprawdził co Wili robił w ciągu czterech lat od ukończenia liceum do objęcia posady. W końcu kto by pomyślał, że syn śląskiego górnik może studiować prawo na sławnym Uniwersytecie w Krakowie - pułkownik uśmiechnął się. Wilhelm nie dość szybko zdołał ukryć zdziwienie malujące się na jego twarzy.

- Jesteś sprytny, nawet za sprytny. Abwehra zainteresowała się tobą po tym jak złapałeś tego gwałciciela w 1942. Widocznie wywiad liczył na pozyskanie zdolnego pracownika. Sprawdzili cię. Okazało się, że jesteś więcej niż niepewny, ale nie ruszali cię ze względu na twoje sukcesy. Ktoś uznał, że spokój tej okolicy jest więcej wart niż życie jednego Polaczka. A teraz proszę, załapałeś się nawet na stopień oficerski w Wehrmachcie.

- Nie chciałem narażać rodziców przed końcem wojny - końcówkę zdania Kucza wypowiedział z wyczuwalnym sarkazmem.

- Jeszcze się nie skończyła, a życie twoje i twoich bliskich zależy na razie ode mnie. Mogę zagwarantować wam bezpieczeństwo. Wystarczy, że wyjaśnisz jak zginął Hermann Krammer. I tylko nie wyskakuj z jakimś durnym hasłem w stylu: „Nie dam się zastra-

szyc! Niech żyje Polska!". Grałeś pięć lat, ciągnij to dalej. Zresztą myślę, że gdy poznasz szczegóły śledztwa, sam zechcesz odkryć co się stało.

- A co w nim takiego niezwykłego?

- Ktoś usiłuje nam wmówić, że Krammera dopadł wampir.

- Wampir? W Wodzisławiu?

- Nie zapominaj się! To ciągle jeszcze jest Loslau!

- Nadal nie rozumiem dlaczego wybrał pan właśnie mnie. Morderca esesmana to dla mnie bohater.

- Ten bydlak, którego złapałeś gwałcił też Niemki. Wierzę w twoje poczucie sprawiedliwości. Jeśli to jakiś szaleniec, może zaatakować kolejnych mieszkańców twojego miasta. A gdyby zrobił to ktoś z podziemia, nie robił by całej tej szopki i dziurami z szyi.

- Ale czemu nie zajmie się tym SS, gestapo, żandarmeria?

- Tutejsze gestapo nawet nie zauważyło kim jesteś, a żandarmeria wyłapuje dezertów. Początkowo myślałem, że faktycznie zajmie się tym ktoś z SS, ale po rozmowie telefonicznej z ich kwaterą w Breslau doszedłem do wniosku, że nie chcą wysłać żadnej ze swoich szych w rejon bezpośrednio zagrożony przez Armię Czerwoną. Więc zostałeś mi ty. Porucznik Kellert przekaże ci akta sprawy. Możecie odejść, leutnancie Kutzcha.

„Akta sprawy” składały się z jednej notatki sporządzonej przez miejscową policję:

„Loslau, 23 stycznia 1945 roku, godzina 7.15. Przyjęto zgłoszenie o śmierci Oberstumsfuhrera SS Hermanna Krammera. Zgłaszającym był SS Schutze Hans Schmidt, adiutant denata. Wysłany patrol zabezpieczył pokój przy Hindenburgstrasse 5, gdzie w łóżku znaleziono ciało. W budynku obecni byli: właściciel kamienicy Erwin Stompke i wezwany lekarz Martin Wolf. Zwraca uwagę obecność na szyi denata dwóch ran przypominających ugryzienie. Ciało zabrano do szpitala miejskiego w celu przeprowadzenia autopsji. Ze względu na rangę zmarłego i skąpość materiału dowodowego proszę o pomoc w śledztwie. Podpisano: policmajster Alojzy Szczyrba”.

Wilhelm przeczytał notatkę, zamknął teczkę i wyszedł ze szkoły na mroźne styczniowe powietrze. Była dopiero 9, więc zgłoszenie przyjęto niecałe dwie godziny temu. Willebrandt działał niezwykle energicznie, a przesłana przez niego pomoc minęła

budynek sądu i kościół ewangelicki, przeszła przez rynek i skręciła w ulicę noszącą w '45 imię prezydenta Hindenburga.

W sieni kamienicy Kutzcha zastał zapalającego fajkę Alojzego Szczyrbę.

-Szczęść Boże panie policmajster!

-A, Wili! Szczęść Boże! Downoch Cię nie widzioł! No i jak Ci się robi pod skrzydłami wrony? Całe dzionki yno siedzisz w tej Zigaretenfabrik i nawet do starych kamratów nie zaglądiesz! A wiesz jaka się nam tera jatka trefiła? Esesman się przekręcił, wdodatku sam Oberstumfuhrer.

-Wiem, pułkownik kazał mi poprowadzić śledztwo.

-O, widza co się na serio wkurzyli! Ale tukej to się Twoja dedukcja nie przydo. Coś mi się widzi, że trzyba bydzie wezwać farorza dobrodzieja z egzorcyzmami.

-Panie Szczyrba, policjant z trzydziestoletnim stażem i takie głupoty wygaduje! Ktoś w bardzo sprytny sposób wykończył Krammera i chce zmylić trop.

-Godej co chcesz, ale jo w ciągu całej służby takiej sprawy nie widzioł! Nieboszczyk blady z dziurami w szyi, w izbie porządek, żadnych śladów walki. I tylko okno uchylone...

-Więc zabił go ktoś, kogo znał. W dodatku otwarte okno utrudni nam określenie czasu zgonu. Trup stygnął szybciej. No dobrze, chodźmy zobaczyć scenę zbrodni.

Po drewnianych schodach weszli na piętro. Kucza ostrożnie otworzył drzwi i spojrzał na pokój. Panował w nim żołnierski porządek. Kufry podróżne w równym rzędzie stały pod ścianą, buty przy łóżku. Na nocnym stoliku leżały złota papierośnica i zapalniczka. Harmonię psuły tylko pomięta pościel i otwarte okno w którym powiewała firanka. Wilhelm podszedł do łóżka i przyjrzał się bieliźnie. Na poduszce znalazł kilka plamek zaschniętej krwi. Były one we wgłębieniu pozostawionym przez ciało, zbyt wysoko jak na krople ściekające z szyi. Albo Krammer przed śmiercią otrzymał cios w potylicę, albo ktoś ruszał głową nieboszczyka. Włożył rękę pod poduszkę i wyciągnął pistolet. Sprawdził magazynek, pełny. Więc esesman został zaskoczony i nie bronił się. Podniósł papierośnicę i zapalniczkę. Ciężka, z prawdziwego złota. Można wykluczyć motyw rabunkowy, chyba, że morderca zabrał coś znacznie cenniejszego. Kucza otworzył szafę. Wisiał w niej mundur i czarny, skórzany płaszcz.

Na półce leżała czapka z trupa czaszką, a obok niej kabura pistoletu. Następnie otworzył dwa kufry z rzeczami zabitego. Zawartość była nieco przemieszana, ale może to sam Krammer coś z nich wyciągnął. Jeśli zrobił to oprawca, dobrze wiedział czego szukać. W końcu detektyw podszedł do okna. Na parapecie nie było śladów, na szybie nie odcisnęła się żadna dłoń, żabki trzymające firanę nie były wyrwane. Hipoteza, że ktoś wszedł przez okno była mocno naciągana.

- Panie policmajstrze, gdzie są świadkowie? Stompke, Schmidt i Wolf?

- Właściciel czeka w swoim mieszkaniu piętro niżej, żołnierz składa zeznania na posterunku, a doktor w szpitalu przeprowadza sekcję. Chcesz ich przesłuchać?

- Oczywiście! Możemy zacząć od kamienicznika.

- Pan Erwin Stompke? Nazywam się Wilhelm Kutzcha, prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Oberstumfuhrera Hermanna Krammera. Może pan opisać wydarzenia dzisiejszego poranka?

- Pan, poruczniku, będzie prowadził śledztwo? Myślałem, że SS przyśle swoich ludzi. - Stompke z trudem ukrywał zdziwienie.

- Widocznie SS ma ważniejsze sprawy na głowie. To dla pana jakiś problem? - śledczy uważnie przyglądał się właścicielowi kamienicy. Jego nalanej twarzy o świńskim oczkom. Wydawało mu się, że dojrzał w jego oczach ślad strachu.

- Nie, oczywiście, że nie! W końcu jest pan oficerem Rzeszy! - w głosie Stompkego dało się wyczuć rosnącą pewnością siebie. Wstałem około wpół do siódmej. Zrobiłem toaletę i przygotowałem sobie śniadanie, gdy usłyszałem jakieś poruszenie na górze. Po chwili zbiegł ten młody żołnierz, ordynans, i powiedział, że coś się stało jego dowódcy. Wysłałem chłopaka na posyłki po doktora i poszedłem do pokoju Oberstumfuhrera. Leżał w łóżku, cały blady, z tymi okropnymi ranami na szyi. Nie oddychał. Przybyły doktor Wolf mógł tylko stwierdzić zgon. Powiedziałem Schmitdowi gdzie jest policja i wysłałem go, żeby złożył doniesienie. Doktor poszedł załatwić transport ciała, a ja pilnowałem, żeby nikt nie wszedł do pokoju.

- Czy ktoś odwiedzał denata? Zauważył pan coś dziwnego? Może coś pan słyszał w nocy?

- Nie, nic się nie działo. Ale mam mocny sen, mogłem nie słyszeć...

- Októrej Krammer przybył na kwaterę?
- Przed 20. Powiedział, że wraca ze spotkania w sztabie i że jest strasznie zmęczony. Poszedł na piętro, zamknął się w pokoju i do rana nic się nie wydarzyło.
- Schmidt też nocował u pana?
- Tak, w pokoju naprzeciwko pana Oberstumfuhrera. Wrócił przed samą godziną policyjną. Wyglądało na to, że spędził bardzo rozrywkowy wieczór.
- A jak to właściwie się stało, że gościł pan dwóch esesmanów z załogi Auschwitz?
- Sam nie wiem, pewnie to dzięki mojej działalności w NSDAP. - Stomkpe dobitnie okazywał swoją dumę - Kilka dni przed ich przybyciem dostałem oficjalne pismo.
- Ma pan jeszcze?
- Niestety, gdy wczoraj się zakwaterowali uznałem, że nie jest mi już potrzebne. W dzisiejszych czasach trudno o papier na rozpałkę...
- Cóż, dziękuję. Na razie to mi wystarczy.
- Miał pan rację, panie policmajstrze. Takiej sprawy jeszcze w Wodzisławiu nie było.
- Dyć godolech, że to pewnikiem jakaś siła, tfu, nieczysta!
- To się jeszcze okaże. Idę na komendę przesłuchać tego Schmidta Przypilnuje pan kamienicy?
- Jak musto mus.

Kutzcha szybkim krokiem przemierzył rynek i dotarł na Schlossplatz, gdzie naprzeciw pałacu, zajętego przez Gestapo, mieściła się komenda „zwyczajnej” policji. Na widok wchodzącego do budynku oficera siedzący przed policyjnym biurkiem żołnierz SS poderwał się na nogi, wyprężył jak struna i zasalutował. Głośne „Heil Hitler!” wstrząsnęło budynkiem. Siedzący po drugiej stronie blatu starszy policjant flegmatycznie popatrzył na nowo przybyłego. Gdy go rozpoznał, uśmiechnął się, pokiwał głową i wrócił do wypełniania kartek równym, kształtnym pismem. Oficer zwrócił się do esesmana:

- SS Schutze Hans Schmidt - bardziej stwierdził niż spytał.
- Tak jest! - żołnierz trwał w pozycji „na baczność”.
- Spocznij! Nazywam się Wilhelm Kutzcha. Kieruję dochodzeniem w sprawie śmierci waszego dowódcy.
- To zabójcy Oberstumfuhrera nie będzie szukało SS? - Kutzcha

już raz dzisiaj widział wyraz podobnego zdziwienia. Na kwadratowej twarzy żołnierza wyrażało się ono znacznie dobitniej niż u Stompkego. Postanowił przycisnąć esesmana.

- SS wyteżą wszystkie siły, by uchronić Rzeszę od azjatyckiej potopy, a wy mi tutaj wymyślcie! Może wezwać samego Reichsfurera? Ja też się znam na swojej robocie, więc gadaj mi zaraz Schmidt, co widziałeś!

Efekt przemówienia był całkowicie odmienny od tego, którego spodziewał się śledczy. Żołnierz, uspokoił się, skupił i zaczął relacjonować:

- Wczoraj mieliśmy ciężki dzień. Strasznie urobiliśmy się przy załadunku. - Kąciki ust esesmana uniosły się w nieśmiałym uśmiechu, jak u kogoś, kto wykonał kawał solidnej roboty i czeka na wyrazy uznania - Oberstumfuhrer poszedł na kolację do sztabu, a mnie dał wolny wieczór, ludzki chłop! - tu Kutzcha zacisnął szczęki, a zwinięte w pięści dłonie schował za plecami - Zabalowałem trochę z chłopakami z piechoty i ledwie zdążyłem na kwaterę przed godziną policyjną. Spałem jak zabity. Po szóstej obudziło mnie zimno. Przyłożyłem do piecyka, ogoliłem się i poszedłem do dowódcy. Była 6:45. Pukałem, ale nikt się nie odzywał. Odważyłem się wejść. Podeszedłem do łóżka. Oberstumfuhrer leżał blady i zimny. Potrząsnąłem nim, podniosłem głowę, krew spłynęła z szyi na poduszkę. - Usłyszawszy to Wilhelm przygryzł wargi, kolejna poszlaka okazała się bezużyteczna - Pobiegłem na dół do pana Stompke, on wezwał doktora. Lekarz przyszedł po około 20 minutach. Stwierdził zgon. Przyszedłem tutaj to zgłosić. To wszystko.

- Widziałeś albo słyszałeś coś dziwnego?

- Nie.

- Czy z pokoju Krammera coś zginęło?

- Nie - odpowiedź zastanowiła Kutzchę.

- Skąd ta pewnoś.

- W końcu jestem ordynansem!

- No tak. Dlaczego zatrzymaliście się u Stompkego?

- Taki otrzymałem rozkaz.

- A ile czasu mieliście spędzić w Loslau?

- Dzisiaj o 9:30 mieliśmy odjechać pociągiem na Morawy.

- Dobrze. Gdy funkcjonariusz Klapuch spisze wasze zeznania, będziecie wolni. Ale nie opuszczajcie na razie miasta.

- Tak jest! Panie poruczniku, złapie pan mordercę, prawda?

- Oczywiście - odpowiedział Kutzcha, a wychodząc z komendy dodał pod nosem - Tylko, cholera, nie wiem jak...

Pozostał jeszcze jeden aktor porannego dramatu, z którym Wilhelm chciał porozmawiać. W tym celu musiał odwiedzić znie-nawidzone miejsce, w którym spędził wiele tygodni lecząc oparzoną rękę. Szybko dotarł do piwnicy szpitala, gdzie mieściło się pro-sektorium. Lekarz przebierał się po zakończonej sekcji.

- Doktor Wolf, jak mniemam?

- Tak, mogę w czymś pomóc?

- Nazywam się Kutzcha, prowadzę śledztwo w sprawie denata, którym, jak widzę, już się pan zajął.

Doktor zapiął koszulę poprawił okulary. Przyglądał się przez chwilę Wilhelmowi swoimi stalowoszarymi oczami. Mógł mieć około pięćdziesiątki, ale jak przystało na lekarza, utrzymywał ciało w dobrej kondycji. Po chwili zastanowienia odezwał się - To pan przed kilku lat dorwał tego gwałciiciela. Widzę, że sprawa trafiła w najlepsze ręce. Raport z autopsji będzie gotowy najwcześniej jutro.

- Chcę go otrzymać w pierwszej kolejności - Doktor skinął głową

- Mam jeszcze kilka pytań. Został pan wezwany do przypadku około siódmej?

- Tak, akurat wybierałem się do pracy gdy przybiegł chłopak Stompkego.

- To nie był pan na dyżurze? Dlaczego wezwano akurat pana?

Wolfsmiejchnął się.

- Znamy się z miejskiego koła NSDAP. Widocznie ma do mnie zaufanie.

- Zauważył pan coś dziwnego?

- Poza śladami przypominającymi ugryzienie na szyi denata i brakiem plam opadowych to normalny trup. Zresztą wszystko znajdzie pan w moim raporcie.

- Mogę zobaczyć denata?

Zwłoki leżały pod prześcieradłem na wózku, przygotowane do transportu do kostnicy. Po uniesieniu przykrycia oczom śledczego ukazało się ciało dobrze zbudowanego mężczyzny w średnim wieku. Tors od obojczyków po miednicę zdobiły szwy układające się w literę Y. Na szyi, tuż nad lewym obojczykiem znajdowały się dwie obrzęknięte i zaczerwienione ranki. Czaszka rozłupana w czasie

sekcji niewiele mogła powiedzieć. Kutzcha mógł mieć tylko nadzieję, że wzmianka o ewentualnym urazie znajdzie się w raporcie.

Opuściwszy Krankenhaus Wilhelm poszedł do sztabu poprosić pułkownika o wsparcie żandarmerii w przeniesieniu rzeczy Krammera na komendę i jej raporty z poprzedniej nocy. Ponadto uzyskał zgodę na przydzielenie młodego rekruta, którego poznał rano do pomocy policji. Po powrocie na kwaterę wyciągnął zeszyt i spisał wszystkie spostrzeżenia i uwagi, które zebrał w ciągu dnia. Próbował znaleźć jakiś punkt zaczepienia, ale coś nieuchwytnego uciekało mu między palcami. Zasypiając przypomniał sobie długi korowód szkieletów w pasiastych łachmanach i wymamrotał - Należało się, skurwielowi.

Następne dni tylko pogłębiły podły nastrój Kutzchy. W rzeczach Krammera nie znaleziono nic niezwykłego. W raporcie żandarmerii nie było żadnej informacji o naruszeniu godziny policyjnej. Doktor Wolf, jak opisał w sprawozdaniu, nie znalazł w trakcie sekcji żadnych obrażeń poza ranami kłutymi na szyi. Jako przyczynę śmierci podał „idiopatyczne, naczyniopochodne zatrzymanie krążenia”. Równie dobrze mógł wpisać: „nie mam pojęcia”. O ściągnięciu ekspertów z Rzeszy nie było mowy, zresztą ilekroć Wilhelm myślał o sprawie, czuł ukłucie ambicji zmuszające go do dalszej pracy. Gdyby tylko pojawił się jakiś trop! Przeanalizował dokładnie wszystkie zebrane informacje i nie znalazł żadnego śladu. A policmajster Szczyrba coraz częściej zapalając fajkę mruczał pod wąsem:

- Godolech, że siła nieczysta.

Tymczasem Armia Czerwona rozlewała się po Polsce i wschodnich prowincjach Tysiącletniej Rzeszy. 27 stycznia padły Katowice i Rosjanie podeszli pod Rybnik. Dowództwo niemieckie zdecydowane było bronić bogatego w węgiel regionu, stanowiącego dodatkowo wrota na Morawy i Czechy, za wszelką cenę. Dwa dni później ciało Oberstumfuhrera SS Hermanna Krammera spoczęło z wszelkimi honorami w śląskiej ziemi. 30 stycznia obchodzono 12 rocznicę dojścia do władzy Adolfa Hitlera. NSDAP zorganizowała okolicznościową akademię, ale, nie wiedzieć czemu, nie cieszyła się ona wielkim zainteresowaniem.

Nie było podstaw, by zatrzymywać dłużej Schmidta. Esesman spakował swoje rzeczy i załadował się do eszelonu zmierzającego do Ostrawy. Pociąg opuszczał stację gdy odezwały się syreny

przeciwlotnicze. Radzieckie maszyny nadleciały od wschodu, mając za sobą słońce, którego promienie raziły obsady dział przeciwlotniczych. Samoloty Il - 2 spadły na pociąg jak drapieżne ptaki. Bomby „Sturmowików” zniszczyły lokomotywę i rozbity wagony. Dzieła zniszczenia dopełniły działka pokładowe. Rosjanie odlecieli, a we wraku wagonu na torach pod Loslau jęczał trafiony w pierś SS Schutze Hans Schimdt. Był drugi dzień lutego 1945 roku. Dokładnie 2 lata wcześniej Paulus skapitulował w Stalingradzie.

Kutzcha po raz kolejny musiał odwiedzić szpital. Doktorowi Wolfowi nie udało się uratować ciężko rannego esesmana. Przyczyna zgonu była oczywista więc nie było podstaw do przeprowadzenia autopsji. Jednak Wilhelm wiedziony intuicją bądź poczuciem obowiązku postanowił przejrzeć rzeczy zabitego. Wcześniej przeszukał jego żołnierski worek, lecz nie znalazł w nim nic co mogło by stanowić poszlakę. Oglądając mundur zwrócił uwagę na ciężki wojskowy pas Schmidta. Esesman dostał w pierś i od zewnątrz pas nie był uszkodzony. Natomiast wewnętrzna warstwa była odpruta. Biorąc pod uwagę twardość skóry Schmidt zadał sobie dużo trudu, by coś w pasie ukryć. A ktoś między pociągami a kostnicą musiał to coś zabrać. No chyba, że Hans nie dbał o swój ekwipunek i całą teorię można o kant dupy połuc.

By oderwać się od myśli o nieuchwytnym mordercy Wilhelm przyjął zaproszenie policmajstra Szczyrby na piwo. Wybrali się do wciąż działającej gospody w rynku. Lokal był prawie pusty. Tylko kilku starzyków grało przy piwie w wista. Barman przywitał ich bardzo wylewnie:

- O, pan policmajster! Dawno pana nie było. A ten przystojny oficer to przecież nasz bohater Wili Kutzcha! Oczywiście napijecie się panowie. Szczególna okazja, otworzyłem ostatnią beczkę piwa uwarzonego w naszym browarze zamkowym. Kto wie kiedy znów będzie można napić się jasnego z Loslau.

Szczyrba natychmiast wdał się w rozmowę z barmanem. Oczywiście kręcili się wokół tematu zajęcia miasta przez Rosjan. Wilhelm pił powoli, wylapując strzępy rozmowy graczy w karty.

- A jo wam godom, że to jakiś żydowski upiór. Dwóch esesmanów przyjechało do miasta, dwóch już ziemię gryzie.

- Dysz toć. Trza żydowski cmyntorz przekopać i wbić strzygoniowi kołek w serce!

Może faktycznie to sprawa sił nadprzyrodzonych. Ale to by znaczyło, że na tym cholernym świecie jest jakaś sprawiedliwość, a w to Kutzcha nie wierzył. Postanowił za wszelką cenę skonsultować raport z autopsji Krammera, a gdy wracając na kwatere przechodził obok apteki, zdecydował jak to zrobić.

Czekał na nią ukryty pod arkadą kamienicy stojącej na rogu rynku, w miejscu gdzie dochodzi do niego Schlageterstrasse. Podeszedł do niej, gdy zamykała aptekę.

- Panna Popławska?

Odwróciła się przestraszona. Strach rozszerzył źrenice zielonych oczu. Gdy zobaczyła przed sobą niemieckiego oficera w jej oczach zamiast strachu pojawiła się złość. Głosem, który prawie nie drżał odpowiedziała.

- Pan mnie z kimś pomylił. Nazywam się Zofia Habert.

Wilhelm zdjął czapkę i zbliżył się do niej.

- Nie poznaje mnie pani? Jestem Wilhelm Kucza. Ja też studiowałem w Krakowie. Kilka razy jechaliśmy razem pociągiem. Tylko pani wsiadała w Rybniku.

Popatrzyła z niedowierzaniem. Wilhelm podciągnął lewy rękaw płaszcza i munduru pokazując pokrytą bliznami rękę.

- Ale jako przyszły lekarz z pewnością to pani zapamiętała - uśmiechnął się nieśmiało.

Z oczu Zofii popłynęły łzy i rzuciła się Wilemu na szyję.

Trudno było zaaranżować spotkanie nie narażając dobrego imienia panny Habert. Ostatecznie umówili się na niedzielę po mszy. Pogoda sprzyjała spacerom, niebo było bezchmurne, a lekki mróz sprawiał, że śnieg skrzypiał pod nogami. Tylko odległe grzmoty artylerii burzyły sielankę. Opowiedziała jak ojciec został zmobilizowany przez wojsko polskie w 1939 i poległ gdzieś na polach września. Jak matka nie chciała walczyć o życie i zmarła na zapalenie płuc zimą '42. Jak pod nazwiskiem pani-ńskim matki, dzięki znajomości farmakologii dostała posadę w aptecce pana Rommla, dobrego człowieka, chociaż Niemca. On słuchając zerkał kątem oka na jej zgrabną sylwetkę, zaróżowione od mrozu policzki i jasne włosy wysypujące się spod czapki. Gdy przyszła jego kolej opowiedział jak dostał się do policji, że obserwował ją od kiedy zaczęła pracę w aptece i o tym, że nie kontaktował się wcześniej by ich przypadkiem nie zdemaskować.

- Więc dlaczego teraz ryzykujesz, przed samym końcem wojny?
- zapytała z udawaną pretensją w głosie.

Streścił jej przebieg śledztwa i odpowiedział.

- Nie mogę sobie z tym poradzić. Nie wierzę w żadnego żydowskiego wampira, a ludzki sprawca wciąż mi się wymyka. Raport z sekcji Krammera jest jedynym namacalnym dowodem, chciałbym, żebyś go przejrzała. Studiowałaś medycynę, może zwrócisz uwagę na coś, czego ja nie zauważyłem.

- Nie możesz poprosić innego lekarza?

- Żaden z nich nie podważy opinii Wolfa. Poza tym, nie chcę, żeby dowiedział się, że go sprawdzam.

- Dobrze, postaram się pomóc. Ufasz Szczyrbie? Niech policmajster złoży nowe zamówienie na leki przeciw podagrze. Gdy je dostarczę na posterunek, będę mogła przejrzeć ten raport.

Pocałowała go w policzek i odeszła.

Gdy Zofia studiowała raport Szczyrba spokojnie ćmił fajkę, Klapuch cierpliwie pokrywał kartki swym perfekcyjnym pismem, a Kutzcha nerwowo chodził od ściany do ściany.

- Pana chodzenie mi nie pomaga, poruczniku - skinieniem głowy przywołała go do biurka. - Wolf jest bardzo dokładny, trudno się do czegoś przyczepić, a ja nie jestem ekspertem. Jeszcze raz przejrzała dokument.

- Chociaż... To trochę szalone, ale jednak pasuje.

- Masz coś? - Wilhelm nawet nie próbował ukryć emocji w głosie.

- Nie wiem, może... Zwróciłam uwagę na rozmiar serca i te dziwne rany na szyi. Wymiary wskazują, że serce zatrzymało się w rozkurczu. Tak się dzieje w przypadku hiperkaliemii. Pomyślałam, że gdyby wstrzyknąć dużą dawkę potasu do żyły szyjnej, serce zatrzymało by się natychmiast. Stężone Kalium spowodowałoby obrzęk w miejscu wkłucia, uszkodzenie ścian naczyń i wewnątrznaczyniowe krzepnięcie krwi.

- Stąd brak plam pośmiertnych! Jesteś genialna. Kto mógł dokonać takiego zabiegu?

- Zdecydowanie ktoś obeznany z medycyną, w dodatku bardzo przebiegły.

- Dziękuję, nareszcie coś mam.

W trzecim tygodniu lutego miastem wstrząsnęła wiadomość o ewakuacji ludności. Część mieszkańców, zwłaszcza ci, którzy

przybyli do Loslau po '39 skrupulatnie pakowała dobytek i przygotowywała się do ucieczki. Inni nie mogli uwierzyć w klęskę III Rzeszy i czekali na cud w postaci obiecywanej Wunderwaffe Fuhrera. A Ślężacy od pokoleń zamieszkujący miasto wzmacniali stropy piwnic i zbierali zapasy przygotowując się do oblężenia. Exodus miał się rozpocząć 1 marca.

Na Schlossplatz płonęło wielkie ognisko. To Gestapo niszczyło swoje tajne akta.

Kutzcha wpatrywał się w płomienie. Zostały tylko 3 dni do ewakuacji, a morderca z pewnością wykorzysta potworny bałagan, który jej będzie towarzyszył, do ucieczki. Z zadumy wyrwał go Albert, młodociany rekrut przydzielony Wilhelmowi do pomocy. Chłopak wpadł jak burza na komendę.

- Panie poruczniku - zdyszany ustami łapał powietrze - w czasie porządkowania papierów na poczcie polowej znalazł się list adresowany do Hansa Schmidta! Oto on. - Podał go oficerowi.

Wilhelm dokładnie przyjrzał się kopercie, ostrożnie ją otworzył, wyciągnął kartkę i zaczął czytać. Końcowy fragment epistoły wrył mu się w pamięć:

„... będąc w Loslau nie zapomnij odwiedzić wuja Erwina. Miejszka na Hindenburgstrasse 5. Pozdrów go ode mnie Trzymaj się ciepło i uważaj na siebie! Całuję! Mama”.

Kutzcha poklepał Alberta po ramieniu i uśmiechnął się. Następnie usiadł przy biurku i zaczął dokładnie czyścić swój pistolet.

Rankiem 28 lutego znaleziono ciało Rudiego Kłopotka w jego domu przy Mouhlstrasse. Morderca podciął mu gardło. Ponieważ mówiło się w Loslau, że Kłopotek dorobił się na szabrowaniu żydowskich grobów na kirkucie, wiadomość niczym grom uderzyła w miasto: upiór znów zaatakował! Kilku niezdecydowanych mieszczan podjęło, pod wpływem tego wydarzenia decyzję o ewakuacji. Kutzcha nie wiedział, w jaki sposób to nowe morderstwo mogłoby wiązać się ze sprawą Krammera. Morderca posłużył się „klasycznym” wręcz sposobem uśmiercania. Ponadto z racji zażmożności ofiary w grę ewidentnie wchodził motyw rabunkowy. Wilhelm rozpoczął śledztwo od rozmowy z najbliższym współpracownikiem zamordowanego.

- Panie Durczok, zauważył pan ostatnio coś dziwnego w zachowaniu Kłopotka?

- Trudno powiedzieć. Rudi kręcił ostatnio jakiś większy interes. Nie wtajemniczył mnie. Wspominał coś o złocie i mówił, że i wilk będzie syty i owca cała. Strasznie go to powiedzenie bawiło. Panie poruczniku to wszystko? Panie poruczniku!

Kutzcha resztę dnia obserwował kamienicę na Hindenburgstrasse 5. Dopiero wieczorem ciemna sylwetka z plecakiem na ramieniu, uważnie lustrująca otoczenie, wślizgnęła się do środka. Wilhelm odczekał kilka minut, odbezpieczył pistolet i ruszył ostrożnie za nim. Gdy wszedł do mieszkania Stompke dygotał w przedśmiertnych konwulsjach powieszony na żyrandolu. Druga osoba pisała coś pochylona nad stołem.

- Nie ruszaj się Wolf!

Zaskoczony doktor upuścił pióro. Powoli wyprostował się i odwrócił. Zorientował się, że Kutzcha trzyma go na muszce. Jegotwarzywykrzywił grymas złości.

- To było naprawdę bardzo dobrze pomyślane - mówił Wilhelm - Stompke dowiaduje się od siostrzeńca, że Krammer z całym majątkiem, który zdobył w Auschwitz zatrzyma się w Loslau. Wciąga ciebie, zaufanego druha z NSDAP, do spisku. Esesman nocuje w tej kamienicy. Schmidt wykorzystuje jego zaufanie do perfidnego ciosu w potylicę. Ty przybywasz i wstrzykujesz ogłuszonemu śmiertelną dawkę potasu. Dzielicie się złotem i wracasz do domu. Nocą poruszasz się po mieście równie swobodnie jak za dnia, przecież żandarmeria nie zatrzyma lekarza, w dodatku znanego nazisty, spieszącego do chorego. Rankiem odegraliście scenkę dla policji. Z rozmowy ze Stompke i Schmidtem wnioskuje, że liczyliście na poprowadzenie sprawy przez SS. Nawiedzeni okultyści mieli łatwiej uwierzyć w istnienie żydowskiego upiora.

Lekarz stał nieruchomo, jego oczy miały błyskawice. Kutzcha z satysfakcją kontynuował.

- Gdy zginął Hans, udało ci się zdobyć jego część łupu. Nietety, musiałeś się podzielić z nieutulonym w żalu wujem. Wtedy wpadłeś na pomysł jak zgarnąć całą pulę i jednocześnie zwalić winę na współnika. Dla większej oszczędności zamówiłeś fałszywki u Kłopotka. Musiałeś go potem zabić, ale cóż znaczy jedna śmierć więcej. Upozorowałeś samobójstwo Stompkego, a na dowód jego winy zostawiłeś fałszyfikaty. A jutro rozplynałbyś się w tłumie uchodźców.

Morderca sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął nóż. Ruszył w stronę Kutzchy. Ten cofnął się o krok.

- Daj spokój Wolf, to nie ma sensu! Rzuć to, nie zmuszaj mnie do tego...

Pierwsza kula trafiła go w brzuch. Szedł dalej, ściskając w dłoni nóż. Upadł, gdy drugi pocisk rozerwał mu serce. Wilhelm kilka chwil stał jak zamurowany. Później schował broń i podszedł do stołu. Leżała na nim sakiewka z fałszywymi monetami. Przeczytał niedokończony list pożegnalny pisany przez doktora:

„Przyznaję się, to ja zamordowałem Oberstuführera SS Hermanna Krammera. Zrobiłem to dla pieniędzy. Teraz, gdy moja Ojczyzna umiera, nie chcę dalej żyć. Oto moje trzydzieści srebrników...”

Złożył list i schował do kieszeni. Następnie podniósł plecak Wolfa. Był ciężki od złota.

Następnego dnia Loslau przeżyło jeszcze jeden dramat. Dyrektor szkoły, szef miejskiego oddziału NSDAP, nie mogąc znieść hańby ucieczki, zastrzelił swoją żonę, dzieci i w końcu strzelił sobie w głowę. Ocalał tylko najmłodszy syn uratowany przez gospozię. Pakujący się do pociągów uciekinierzy komentowali z ożywieniem tę tragedię.

W tym samym czasie podporucznik Wilhelm Kutzcha składał swojemu przełożonemu raport z zakończonego śledztwa. W sprawozdaniu nie znalazły się co prawda pewne informacje dotyczące złota, ale w końcu najważniejsze było znalezienie morderców. Pułkownik von Willebrandt przyjął raport. W ciągu ostatniego miesiąca postarzał się o 20 lat. Nic dziwnego, jego jednostki na mapie przypominały wyspy otoczone morzem żołnierzy radzieckich. Po wyjściu ze sztabu Wilhelm odetchnął. W powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę. Spacer zajął mu kilka minut. Zapukał do drzwi mieszkania przy Adolf Hitlerstrasse.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- W końcu jestem policjantem.

Zosia objęła go, pocałowała i wciągnęła do środka.

Ostatni raz spojrzeli na ginące miasto. Radziecka artyleria druzgotała kamienice. Katiusze, zwane też „organami Stalina”, raz po raz wyrzucały ze świstem swój śmiertcionośny ładunek.

Waliły się wieże zbombardowanych kościołów, na ulicach dopalały się czołgi, skwery zamieniały się w cmentarze. Nad całym Loslau unosiła się krwawa łuna.

Wilhelm wziął Zosię za rękę i poprowadził na południe, w kierunku granicy z Czechami. W jego plecaku brzęczały złote dolary.



NIGDY NIE MÓW NIGDY

Natrętny dzwonek telefonu wyrwał Zieleńskiego z beztroskiej krainy snów. Przewrócił się na bok i, nie otwierając oczu, odszukał dłonią słuchawkę.

- Zieleński, słucham? - odezwał się zachrypniętym głosem i stłumił ziewnięcie, zastanawiając się kogo niesie лихо o tak wczesnej porze.

- Dzień dobry, detektywie. Tomek z tej strony. Chyba cię nie obudziłem?

Tomasz Kowalczyk był śledczym w Wodzisławskiej Komendzie Powiatowej i jego telefony nie wróżyły nigdy nic dobrego. Klnąc w duchu detektyw otworzył oczy i uniósł się na ramieniu.

- Skądże znowu. Właśnie wróciłem z porannego joggingu.

- Świetnie. Jesteś mi potrzebny, Romek. Mamy ciekawe znalezisko niedaleko baszty.

- Trup w poniedziałkowy poranek? Tylko tego mi brakowało... - jęknął Zieleński i odrzucił koldrę na bok.

- Zrób sobie kubek mocnej kawy i przyjeżdżaj natychmiast. Czeka nas mnóstwo roboty.

-Która w ogóle godzina?

-Ósma dwadzieścia.

-Jesteś sadystą...

Rozłączył się i powoli wygramolił z łóżka. Chciałby pospać dłużej, ale służba nie drużba. Odsłonił okno sypialni, wpuszczając do środka kilka chłodnych promieni listopadowego słońca. Mieszkał w bloku przy ulicy 26-go Marca. Bawił go fakt, że tego dnia on sam miał też urodziny. Wyrzwał na zewnątrz, upewniając się, że w kolorowym łańcuchu samochodów u stóp budynku wciąż znajduje się jego pocziwa honda.

Gdy już orzeźwił się porcją kafeiny, ubrał i odbył poranną toaletę w trybie przyspieszonym, wybiegł z mieszkania i wsiadł do auta, ruszając na Grodzisko.

Roman Zieleński, policyjny detektyw Wodzisławskiej Komedny, był 38-letnim kawalerem z wyboru. Ofiarnie poświęcał się pracy w przekonaniu, że żadna kobieta nie zechce związać się z mężczyzną w jego zawodzie. Bo to i niebezpieczna, i czasochłonna robota, a i ktoś, kto na co dzień zajmuje się oglądaniem zwłoki ściganiem bandziorów musi mieć niezłą rysę na psychice.

Charakterystyczny szelest wydobył się spod opon samochodu, gdy Zieleński wjechał na leśną ścieżkę prowadzącą w stronę za-
bytkowej baszty. Nie musiał długo się rozglądać, bo już z daleka ujrzał dwa radiowozy i liczną ekipę techników, którzy otoczyli miejsce śledztwa policyjną taśmą.

- Grupa archeologów odkopała tajemnicę, która chyba nigdy nie miała ujrzeć światła dziennego. - oznajmił śledczy, gdy Zieleński wyszedł z auta i przywitał się z nim.

Kowalczyk poprowadził współnika kawałek dalej, gdzie prowadzono wykopaliska. Ziemia nad szerokim, prostokątnym dołem usypana była w wysokie stopy. Tuż obok wzrok przykuwał powód jego wezwania tutaj - czarny policyjny worek na zwłoki. Zieleński kucnął przy nim i chciał wziąć głęboki oddech, ale powstrzymał się, zasłaniając nos i usta. Z dziury w ziemi wydobywał się charakterystyczny odór rozkładającego się ciała.

- Leżał tu chyba z dobrych parę lat... - mruknął, chwytając za suwak i otworzył powoli foliową trumnę. Mimo tylu lat pracy w branży, serce zabiło mu mocniej i podskoczyło do gardła, gdy ujrzał silnie poparzoną twarz (a właściwie zwęgloną skórę naciągniętą na czaszkę) młodego chłopaka. - Uroczy widok.

Przyczyna zgonu?

- Prawdopodobnie te oparzenia. Trzeci stopień. Potwierdzimy to po sekcji zwłok.

Zieleński wstał, wciąż wpatrując się w ponury worek. Po chwili przeniósł wzrok na popadającą w ruinę kilkaset metrów dalej wieżę, która skrywała w sobie mroczną tajemnicę.

- Myślę, że miał coś wspólnego z podpaleniem baszty w 2004 r. - zauważył Kowalczyk, wsuwając skostniałe dłonie w kieszenie kurtki.

- Bystrzak z ciebie. Rany wskazują na to, że ktoś go po prostu podpalił.

- Może akurat był w środku?

- Sugerujesz, że siedział sobie spokojnie na schodach i czekał, aż pochłona go płomień, które, swoją drogą, nie wiadomo skąd się wzięły?

Śledczy odchrząknął zdezorientowany i zrobił kwaśną minę. Nieraz miał już okazję pracować z Zieleńskim i za każdym razem wyglądało to tak samo. Puścił więc uwagę mimo uszu i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki saszetkę z dokumentami denata.

- Czytasz mi w myślach. Zidentyfikowaliście go? - Zieleński zmrużył oczy z zainteresowaniem.

- Nazwisko nie do rozszyfrowania dla mojego oka. Ale jest PESEL, komputer pewnie coś znajdzie.

- Świetnie. Zabierzcie go na sekcję i dajcie znać jak tylko będzie coś wiadomo.

Jakieś pół godziny później detektyw siedział już przy swoim biurku na komendzie i przeglądał akta związane z pożarem baszty. O podpalenie podejrzewano szukających łupu złomiarzy, choć sprawców nie odnaleziono. Teraz jednak sprawa ukazała się w całkiem innym świetle. Zieleński był pewny, że młody chłopak nie zginął tam przypadkowo. Morderstwo z premedytacją? A może jedynie nieumyślne spowodowanie śmierci? Jakby niosąc odpowiedź na to pytanie, zadzwonił osobisty telefon detektywa.

- Z dokumentów wynika, że mężczyzna to 24-letni Mariusz Grabek, mieszkający w Wodzisławiu przy ulicy Radlińskiej.

- Dzięki, Tomasz. Sprawdzę, czy ktoś zgłaszał zaginięcie.

- I jeszcze jedno. Lekarz sądowy po wstępnych oględzinach uznał, że denat ma złamany bark i kilka żeber. Oprócz tego zdruzgotane kości śródręcza i głęboko zdartą skórę nadgarstka prawej dłoni.

Zieleński wydał z siebie przeciągły gwizd. Musiało boleć.

- Te złamania mogły być przyczyną zgonu?

- Dowiemy się po sekcji. Do usłyszenia.

Obrażenia dawały dużo do myślenia. Z pozoru mogło to wyglądać na skutek pobicia, jednak, aby złamać komuś bark trzeba się bardzo postarać. No i ta zdruzgotana dłoń... Zostaje więc prawdopodobnie tylko jedna możliwość. Mężczyzna wyskoczył z okna płonącego budynku, który - jak wynika z akt - zajął się od parteru.

- "Zgłoszenie o pożarze nadeszło o 6:34 rano". - odczytał z raportu detektyw i zmarszczył brwi. - Co on tam do cholery robił o tej porze? Spał?!

Wprowadził do komputera dane mężczyzny. Okazało się, że jego nazwisko znajdowało się na liście osób zaginionych. Zapisał adres w notesie i postanowił odwiedzić rodziców Mariusza.

Zatrzymał się pod domem Grabków. Całkiem spora i zadbana posiadłość sugerowała, że Mariuszowi nie brakowało dachu nad głową na tyle, by nocował w baszcie. A może wbrew pozorom było inaczej? Zieleński zadzwonił do drzwi i czekał na odpowiedź. Otworzył mu wysoki mężczyzna o ponurej, zmęczonej aparycji i włosach przyprószonych siwizną. Obrzucił przybysza pytającym spojrzeniem, nie odzywając się.

- Witam - detektyw powstrzymał się od sztamkowego "dzień dobry". Biorąc po uwagę informacje, jakie zapewne otrzymali już rodzice denata, dzień ten był jednym z najgorszych w ich życiu. - Nazywam się Roman Zieleński, jestem detektywem wodziśławskiej Policji Powiatowej. Chciałbym z państwem porozmawiać...

- Wiem, o czym chce pan porozmawiać - przerwał mu gospodarz i po chwili zastanowienia szerzej uchylił drzwi. - Proszę, niech pan wejdzie.

Grabek zaprowadził gościa do salonu, gdzie na sofie, okryta kocem, siedziała zapłakana matka odnalezionego chłopaka. Wpatrzona w jeden punkt w ogóle nie zwróciła uwagi na to, kto przyszedł.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało... - odezwał się w końcu Zieleński, gdy już usiedli, przerywając niezręczną, przepełnioną bólem ciszę.

- Przez te cztery lata łudziliśmy się nadzieją, że on... - Grabek przymknął powieki i westchnął, a wargę mu zadrgała. - Że wciąż żyje, tylko po prostu postanowił zniknąć na jakiś czas, uciec do

innego świata...

- Miał jakieś problemy, przed którymi mógłby chcieć uciec?

- Nie wydaje mi się. A jeśli nawet, to nigdy nam o nich nie mówił.

- Czy przed śmiercią... - Zieleński kątem oka zerknął na milczącą wciąż kobietę. - Spotykał się z kimś częściej? Ktoś do niego dzwonił?

Mężczyzna splótł dłonie i pokręcił tylko przecząco głową. W obliczu tragedii, jaka ich dotknęła, trudno było cokolwiek z siebie wydusić.

- Wybierał się już wcześniej w okolice baszty? Lub na samo Grodzisko?

- W czasie wakacji, gdy był jeszcze mały, zabieraliśmy go tam na rowerowe wycieczki... - pani Grabek w końcu zabrała głos, a jej błękitne oczy zaszkliły się od łez. - Później już chyba nigdy tam nie jeździł.

Pokiwał głową ze zrozumieniem i odchrząknął cicho. Słusznie obawiał się, że od rodziców wiele się nie dowie. Rozejrzał się pobieżnie po salonie. Na kominku pełno było zdjęć Mariusza nie tylko z lat wczesnego i późnego dzieciństwa, ale także z okresu, gdy był już dorosłym mężczyzną.

- A czy mieliby państwo coś przeciwko, gdybym zerknął do jego pokoju?

- Policja już tutaj była, gdy zgłosiliśmy zaginięcie - kobieta założyła za ucho cienki kosmyk jasnych włosów. - Nic nie znaleźli.

- Rozumiem, jednak mimo wszystko... - rzekł nieco zdeorientowany, nie wiedząc, co kobieta miała na myśli mówiąc "nic".

- Zaprowadzę pana - odparł ledwo słyszalnie gospodarz i wstał, kierując się w stronę pokoju syna.

Pomieszczenie może i nie należało do klaustrofobicznie małych, ale za to dużo było w nim mebli - począwszy od łóżka, poprzez biurko z komputerem, stolik, szafy na ubrania, małą sofę, i kończąc na regale ściennym pełnym książek. Panował tu idealny porządek, co mogło dziwić, biorąc pod uwagę fakt, że to pokój dwudziestolatka. Jednak ten młodzieniec zniknął z domu cztery lata temu i już do niego nie wrócił...

- Zostawię pana samego. Będziemy w salonie.

- Dziękuję - Zieleński omiotł pomieszczenie wzrokiem. Czego właściwie szukał? Zapewne czegoś osobistego. Czegoś, co mogłoby go naprowadzić na właściwy trop.

Nie ujrzał nigdzie telefonu komórkowego, więc zaczął od sprawdzania komputera. Twardy dysk to zawsze skarbnica informacji na temat użytkownika. Pewnie i tak odda sprzęt w ręce specjalistów, ale nie zaszkodzi wcześniej trochę poszperać.

Wśród folderów z muzyką i różnymi innymi drobiazgami natknął się na jeden o nazwie "Zamówienia", znajdując w nim kilka plików tekstowych. Otworzył pierwszy z lewej i poruszył się niespokojnie w fotelu.

Miał przed sobą listę siedmiu nazwisk. Każde opatrzone jakimś liczbami i literami, np. "Dariusz Nowak, 20 x h - 800 zł". Tylko nazwisko ostatniej na liście osoby, Jacka Swobody, wypisane było czerwoną czcionką, a towarzyszyło mu kilka znaków zapytania i kwota 2000 złotych.

Zieleński dokładnie przyjrzał się liście. Czyżby młody Grabek był komuś winien pieniądze? To by wyjaśniało, dlaczego ktoś chciał się go pozbyć. Detektyw postanowił wydrukować dokument i sprawdzić wszystkie nazwiska osobiście. Podłączył drukarkę i wydał polecenie. Rozległy się charakterystyczne odgłosy przygotowania do wydruku, maszyna wciągnęła kartkę do połowy i zamarła. Na ekranie pojawił się komunikat: "Nie znaleziono pojemników z tuszem". Zieleński zmarszczył brwi i otworzył pokrywę drukarki. Kasety były na swoim miejscu. Upewnił się, że są poprawnie zainstalowane i ponownie wydał polecenie drukowania. Bez zmian.

- Co jest grane... - mruknął i wyjął zbiorniczek. Gdy obadał go dokładnie z każdej strony, postanowił sprawdzić jego zawartość. Siłował się z nim chwilę, aż w końcu wieczko odskoczyło. Zieleński gwizdnął przeciągle. - Proszę, proszę. Co my tu mamy...

W kasecie, zamiast tradycyjnego czarnego tuszu, znajdowała się saszetka z białym proszkiem. Stało się jasne, kogo przedstawia lista znaleziona na komputerze. Nie było jednak jeszcze pewne, jaką rolę pełnił tu Grabek - dealera czy klienta.

Detektyw wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer śledczego Kowalczyka.

- Tak? - rozległ się głos w słuchawce.

- Jestem u Grabków. W pokoju chłopaka znalazłem prochy. Przyślijcie tutaj ekipę od narkotyków i jakiegoś informatyka.

Zieleński wymontował obie kasety i wsunął je do kieszeni kurtki. Zapisał wszystkie nazwiska w notesie, podkreślając to ostatnie, wyłączył komputer i wrócił do salonu. Pan Grabek stał

przy kominku zamyślony, oglądając zdjęcia. Jego żony jednak w pokoju już nie było.

- Panie Grabek?

- Już pan skończył? - mężczyzna odwrócił się i spojrzał na detektywa nadal nieobecny wzrokiem.

- Znalazłem w pokoju pana syna narkotyki. Niebawem powinna się tutaj zjawić policja. Wie pan coś o tym?

- Narkotyki? - gospodarz nagle jakby zbłądził i zasłabł, bo usiadł bezwładnie na sofie. - Jak to?

- Czy syn nie prosił państwa o jakieś większe sumy pieniędzy?

- Nie, nigdy... Mariusz pracował. Pieniędźmi, które zarobił, dysponował sam.

- Mogę zapytać gdzie pracował?

- U mnie - Grabek przecesał palcami rzadkie włosy i wzruszył nieznacznie ramionami. - Prowadzę pizzerię "Da Grasso" syn był kucharzem. Płaciłem mu jak zwykłemu pracownikowi.

Detektyw przytaknął ze zrozumieniem. Był pewien, że chłopak kokosów z tego nie miał, a kwoty na liście były duże. Zbyt duże. Wyjął z kieszeni notes i pokazał mężczyźnie listę nazwisk.

- Ktoś coś panu mówi?

Grabek zmrużył oczy i oddalił nieco notatnik od siebie. Najwyraźniej starał się czytać bez okularów. Przyglądał się liście kilka chwil, lecz pokręcił w końcu przecząco głową.

- Przykro mi.

- Mimo wszystko dziękuję za pomoc. Skontaktujemy się z państwem, gdy tylko będą jakieś postępy w śledztwie.

Zieleński schował notatnik i opuścił dom Grabków. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to sprawdzić po kolei każdego mężczyznę, którego nazwisko znajdowało się na liście. Postanowił, że zacznie od tego zapisanego czerwoną czcionką. Wyciągnął komórkę i wybrał numer swojego współnika.

- Tomasz, znajdź mi Jacka Swobodę - polecił, gdy ten odebrał telefon.

- Najlepiej ściągnij go na komisariat.

Jakieś dwie godziny później Swoboda siedział już przy stoliku detektywa w sali przesłuchań. Dłonie odziane w drogie, skórzane rękawiczki splótł na stole i przyjrzał się liście, na której widniało jego nazwisko.

- To chyba jakaś pomyłka - oznajmił spokojnie i rozpiął kurtkę, a następnie zdjął szalik z szyi.

- Tak ci gorąco? - Zieleński siedział po drugiej stronie stołu i bacznie obserwował chłopaka.

- Pożyczyłem kiedyś od Grabka taką sumę pieniędzy, jednak oddałem ją kilka tygodni przed jego zaginięciem. - Zignorował wcześniejsze pytanie i oparł się wygodnie.

- Pożyczyłeś? A może coś kupiłeś?

- Potrzebowałem kasy na samochód.

Detektyw nie uwierzył w tę tanią bajeczkę. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i położył ją na stole, a następnie zaczął bawić się srebrną zapalniczką, którą dostał od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny.

- Gdzie pracujesz?

- Nastacji benzynowej.

- Powiedz tylko na której, a od razu rzucam tę robotę i składam tam podanie.

- Nie rozumiem. Dlaczego? - Swoboda nieco się zmieszał i spojrzał tylko podejrzliwie na detektywa.

- Nosisz drogie, markowe ubrania. Muszą ci płacić lepiej niż mnie.

Chłopak zaśmiał się z zakłopotaniem, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Podrapał się tylko po szyi i uśmiechnął blado.

- Pracuję sam na siebie. Nie muszę nikogo więcej utrzymywać, więc nie narzekam.

Zieleński zbyt długo pracował w branży, by dać się zwieść takiemu szczeniakowi. Włożył papierosa do ust i zapalił go ostentacyjnie. Zmienił taktykę i zapytał otwarcie.

- Znasz któreś z tych nazwisk?

- Nie znam żadnego... - zaprzeczył i oddalił od siebie listę na znak, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Wstał. - A teraz, jeśli nie ma pan do mnie więcej pytań, chciałbym już odejść.

- Do zobaczenia - instynkt podpowiadał Zieleńskiemu, że to nie ich ostatnie spotkanie. Wyciągnął do chłopaka dłoń na pożegnanie i uśmiechnął się blado. Swoboda jednak zlekceważył gest, zabrał szalik i zdecydowanym krokiem wyszedł z pomieszczenia. - Zobaczymy się prędzej niż myślisz...

Nie zwlekając, wybrał z telefonu osobistego numer do swojej znajomej, Joanny, ze środowiska bankowego. Jako dyrektor fina-

nsowy od dłuższego czasu współpracowała ona z policją, często udostępniając im informacje, które właściwie nie były do tego przeznaczone.

- Jeśli chcesz się umówić, to jestem zajęta - przywitała się ciepło, gdy podniosła słuchawkę.

- Ciągłe mnie zbywasz. - Detektyw udał zmartwiony ton, podśmiewając się w duchu.

- Miło cię znów słyszeć, Romku. Co się stało?

- Sprawa jest pilna. Bardzo pilna. I jeszcze bardziej śmierdzi...

- Konkrety proszę.

Zieleński zaciągnął się papierosem, wypuszczając z ust smukłą białą dym. Niedopałek ugasił w popielniczce i usiadł na biurku.

- Użyj swoich kontaktów, uroku osobistego i wszystkich innych sztuczek, by zdobyć dla mnie wszelkie informacje na temat konta i transakcji Jacka Swobody.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz? - upewniła się, że dobrze usłyszała, a ze słuchawki dobiegł odgłos stukania w klawiaturę komputera.

- Dasz radę w godzinkę?

- Jesteś mi winien kolację. Kolejną, z której się nie wywiążesz. - skwitowała i rozłączyła się. Oznaczało to zgodę. Ta kobieta była w stanie załatwić niemal wszystko.

Wyrwał się na chwilę z komendy, zmierzając samochodem w kierunku rynku. Dochodziła godzina czternasta, jego pora obiadowa. Właściwie sam ciepły posiłek nie był jedynym powodem, dla którego chciał odwiedzić restaurację. W "7 Dniach" miał spotkać się z Kowalczykiem i omówić wyniki sekcji zwłok oraz szczegóły całego śledztwa. Choć podczas takich rozmów apetyt na jedzenie raczej spadał niż wzrastał, to Zieleński uznał, że tak po prostu będzie szybciej. Nie lubił marnowania czasu, a obecna sytuacja na to też nie pozwalała.

Dziesięć minut później zaparkował już na rynku, dokładnie na przeciw kawiarni "Aleksandra". Wyszedł z samochodu i zamknął drzwi, zerkając na małego chłopczyka, który próbował się wgramolić na słonia-huśtawkę, stojącego przed wejściem do kawiarni. Troskliwa mama prędko odwiodła go od tego pomysłu, łapiąc za rączkę i prowadząc za sobą. Teraz, podczas zimy, naj-

częściej właśnie w ten sposób kończyły się podobne dziecięce próby. Latem jednak słonik i żyrafa były wręcz oblegane.

Detektyw przeszedł przez rynek, ciągle mijając gnających z zakupami ludzi. Wesoło tryskająca wodą fontanna była o tej porze roku nieczynna, a zwykle uginające się pod ciężarem odpoczywających ławki - puste. Zimą Wodzisław zwalniał swój bieg, łapiąc oddech po całorocznym wysiłku.

Słońce załśniło nad wieżą kościelną, która wybiła właśnie godzinę czternastą. Zieleński pchnął drzwi restauracji "7 Dni" i odszukał wzrokiem kolegę, z którym miał się spotkać. Śledczy siedział tuż przy wielkim lustrze, mieszając łyżeczką w filiżance herbaty.

- A więc czego się dowiedziałeś? - zapytał detektyw, gdy już przywitał się z Kowalczykiem i usiadł na krześle.

- Pytasz o narkotyki, czy sekcję zwłok?

Zieleński nie odpowiedział, dając tym samym do zrozumienia, że zadał jasne pytanie. Pyta o wszystko.

- Przyczyną śmierci Grabka były jednak oparzenia. Zastanawialiśmy się, dlaczego były tak silne. Przecież chłopak musiał mieć trochę czasu, by się wydostać, zanim ogień dotarł do góry.

- Może ktoś go tam uwięził, a później podpalił? - zauważył detektyw i otworzył menu, wodząc wzrokiem po pozycjach obiadowych.

- Na to też wskazują rany śródrecza i nadgarstka. Podejrzewam, że chłopak wyrwał sobie rękę z kajdanek.

- Próbował się uwolnić, a w tym czasie już się smażył... - beznamietnie podsumował Zieleński. - Sądysz, że morderca przykuł go w środku, a później podpalił całą basztę, by pozbyć się ciała?

- Nie mam innego pomysłu. - śledczy wzruszył ramionami i upił łyk herbaty. - To chyba jedyna możliwość.

- A więc założmy, że to ty planujesz kogoś spalić. Na ognisko wybierasz jakieś ciche i ustronne miejsce, z dala od potencjalnych świadków, czy raczej zabytkową basztę, której pożar zainteresuje nie tylko strażaków, ale i policję, i media?

- Więc myślisz, że ktoś, kto go tam zamknął, wcale nie chciał go podpalić? - Śledczy odłożył filiżankę i zmarszczył brwi. To, co mówił Zieleński było sensowne, jednak wskazywałoby na to, że obecność więzionego Grabka w baszcie oraz jej podpalenie były tylko zbiegiem okoliczności. - W takim razie musiał chcieć tego ktoś inny.

- Spowodowanie pożaru mogło być nawet przypadkowe - mruknął, ciągle spoglądając w kartę dań i decydując się w końcu na zwykłą pizzę bez dodatków. - Najpierw musimy się dowiedzieć, kto i dlaczego zamknął chłopaka w baszcie. Rozmawiałem z Jackiem Swobodą. Wszystkiemu zaprzecza, ale jakoś mnie nie przekonał. Co z prochami?

- Znaleźliśmy jeszcze prawie 200 gramów heroiny i 150 gramów kokainy. Takich zakupów nie robisz dla siebie. Był dealerem.

Zieleński pokiwał tylko głową, jakby się tego spodziewał. Wstał, podszedł do kasy, gdzie złożył zamówienie i wrócił.

- Poprosiłem Joasię, żeby sprawdziła jego konto. Jeśli faktycznie... - nie dokończył, bo przerwał mu dzwonek telefonu komórkowego, wibrującego w jego kieszeni. Roman spojrzał na wyświetlacz i uniósł brwi ze zdziwieniem. - Właśnie dzwoni. Ona jest niemożliwa... No i jak? Masz już coś dla mnie? - zapytał, gdy odebrał połączenie. Słuchając, marszczył czoło, a w oczach dało się ujrzyć charakterystyczny błysk pojawiający się w momencie, gdy kolejny element układanki trafia na swoje miejsce. Wyjął długopis i zanotował coś pośpiesznie na serwetce. - Dziękuję, jesteś niezastąpiona.

- No i? Coś wiadomo? - Kowalczyk siłił się na spokojny, wręcz obojętny ton, ale tak naprawdę czekał na wiadomość z zaciekawieniem równym dzieciakowi otwierającemu urodzinowy prezent.

- Owszem. Na konto Swobody od prawie czterech lat regularnie wpływają określone sumy pieniędzy. Wykonawcą przelewów jest niejaki Piotr Malczak.

Detektyw przerwał i uśmiechnął się z satysfakcją. Wiedział, że ta informacja jeszcze nic nie mówi współnikowi, więc nie trzymał go dłużej w niepewności.

- Nie byłoby w tym chyba nic dziwnego, gdyby nie fakt, że pan Piotr Malczak figuruje na czarnej liście Grabka.

Kowalczyk, gdyby popijał właśnie herbatę, to pewnie by się nią zakrztusił. Teraz jednak spojrzał na towarzysza z niedowierzaniem.

- No dobrze, może i ciężko widzieć w tym zbieg okoliczności, ale przecież to nie musi mieć związku ze śmiercią Grabka.

- Musi, nie musi... Swoboda widział listę i uznał, iż nie zna żadnego z nazwisk.

- A więc ten śmieć kłamie. Zatrzymajmy go - zaproponował

śledczy i wychylił filiżankę z herbatą, opróżniając jej zawartość jednym haustem.

- Najpierw spotkam się z panem Malczakiem i zapytam go grzecznie o te tajemnicze przelewy.

Zaparkował przed blokiem na Osiedlu Piastów, zgodnie z adresem podanym przez Joasię. Zerknął do wstecznego lusterka, upewniając się, że dokładnie wyczyścił usta po posiłku. Detektywowi z kawałkiem pizzy na policzku jakoś dziwnym trafem spada autorytet.

Przytrzymał drzwi główne za wychodzącą kobietą, by nie musieć używać domofonu. Wspiął się po schodach na drugie piętro i zadzwonił do drzwi opatrzonej tabliczką "P. i D. Malczak". Rzadko dziś już stosowano takie informatory, choć w starszych blokach mieszkalnych można było się jeszcze na nie natknąć.

- Dzień dobry. Nazywam się detektyw Zieleński. Zastąłem pana Piotra? - zapytał, gdy drzwi otworzyła mu starsza pani o przyjaznym uśmiechu. Słyszac jednak tytuł 'detektywa' nieco się przestraszyła.

- Nikogo nie ma w domu. Coś się stało?

- Prowadzę śledztwo i chciałem z nim porozmawiać. Pani jest jego matką?

- Skądże! - staruszka zaśmiała się, a jej obawy ustąpiły rozbawieniu. - Nazywam się Agnieszka Adamczyk. Jestem sąsiadką państwa Malczaków, tu mieszkam zaraz... - wyjaśniła, wychylając się nieco i wskazując głową drzwi obok. Gestem zaprosiła gościa do środka. - Opiekuję się mieszkaniem pod ich nieobecność. Proszę wejść.

Chciał odmówić, ale skoro już tutaj przyjechał, to wypadało porozmawiać z tą kobietą. Może czegoś się dowie. Podziękował za zaproszenie i wszedł do środka.

Mieszkanie urządzone było schludnie i prosto, bez zbędnych dekoracji, choć robiło dość przygnębiające wrażenie. W przeciwieństwie do willi Grabków, tutaj brak było jakichkolwiek fotografii.

- Napije się pan kawy czy herbaty?

- Skoro pani nalega to poproszę herbatę.

- To tak jak ja - odparła wesoło staruszka i zniknęła w kuchni, by przygotować napój. Zieleński słyszał teraz tylko jej głos, rozglądając się po pokoju. - Mam tak wysokie nadciśnienie, że

odmówiłam sobie kawy do końca życia. Lekarz mówi, że kawa mi aż tak nie grozi, że to cukier jest bardziej szkodliwy, ale ja już tam swoje wiem...

Gdy woda się zagotowała, starsza pani wróciła, niosąc filiżanki i ciasteczka na drewnianej tacy. Usiadła w fotelu naprzeciw detektywa i podsunęła mu pierniczki własnej roboty.

- Dziękuję - Roman poczęstował się z grzeczności, choć wcale nie miał ochoty znów jeść. - Proszę pani, przejdę do konkretów. Czy mówi coś pani nazwisko Grabek?

- Oczywiście. Znam panią doktor.

- Doktor? - Zieleński zdziwił się, choć od razu zrozumiał, że nie zna zawodu matki denata.

- Pani Danuta Grabek, jest chirurgiem w naszym szpitalu. Wiem, bo operowała mojego świętej pamięci męża nieboszczyka.

- Staruszka energicznie pokiwała głową, potwierdzając swoje słowa. - Coś się jej stało?

- Nie, z panią doktor wszystko w porządku. - Upił łyk i uśmiechnął się blado. Nie wspomniał o jej synu. Nie chciał udostępniać tych informacji, zanim osobiście nie porozmawia z Piotrem Malczakiem. - Pani Agnieszko? Nie widzę tutaj żadnych fotografii... Malczakowie nie mają dzieci?

- Nie - odparła szybko i jakby spoważniała, wlepiając wzrok w filiżankę.

- To coś poważnego? - zapytał, widząc minę starszej pani. Nie chciał być niedelikatny, ale w obecnej sytuacji...

- Skoro nie mają, to chyba poważne, prawda? Z resztą jak chce pan rozmawiać o ich dzieciach, to proszę nie pytać o to mnie.

Zaskoczyła go taka reakcja kobiety. Zapamiętał, żeby zapytać Malczaka o dzieci.

- Gdzie pracuje pan Piotr?

- W siłowni na Bogumińskiej. Jest instruktorem. A pani Dorota pracuje w sklepie sportowym.

Zieleński pokiwał z uznaniem głową. Wysportowana rodzinka. Już chciał o coś zapytać, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- To pewnie do mnie. Otworzę - pani Agnieszka wstała i podeszła ku drzwiom. Rozległ się wesoły kobiecy głos i po krótkiej wymianie uprzejmości pani Adamczyk wróciła do pokoju wraz z kolejnym gościem.

- Panie detektywie, to jest Tatarczykowa, moja przyjaciółka. Przychodzi codziennie mnie odwiedzić, a przy okazji przy-

niosła dla mnie lekarstwa - pomachała Zieleńskiemu tabletkami przednosem, po czym schowała je w szufladzie.

- Dzień dobry, dzień dobry. Nie będę długo przeszkadzać... - puszysta kobieta, mniej więcej w wieku pani Agnieszki usiadła zulgą na krześle przystole i sięgnęła od razu po ciasteczko.

- Nie, to ja już pójde, naprawdę... - Zieleński dopił szybko gorącą herbatę i wstał, sięgając do kieszeni kurtki. Odszukał swoją wizytówkę i położył ją na komodzie, przy której stała pani Agnieszka. - Proszę, żeby pan Piotr skontaktował się ze mną, gdy wróci, dobrze?

- Dobrze, przekażę. Ale nie zostanie pan dłużej? Mam jeszcze sernik, samapiekłam.

- Naprawdę jest pani przemiła, ale muszę wracać do pracy. Do widzenia paniom - pożegnał się i sam otworzył sobie drzwi.

Późnym wieczorem Roman leżał już w swoim łóżku i rozmyślał nad całą tą poplątaną jak sznurówki dziecka sprawą. Ciągłe dochodziły nowe okoliczności, a zagadka zbrodni wciąż pozostawała zagadką. Kim był Jacek Swoboda i jaką rolę odgrywa tutaj Piotr Malczak? Przelewy na konto tego pierwszego rozpoczęły się niedługo po pożarze zabytkowej baszty. To na pewno nie przypadek, że obaj znajdowali się na liście Grabka. Może to Malczak jest sprawcą, a Swoboda świadkiem, który zażądał pieniędzy za milczenie? To miałoby sens, jednak by potwierdzić tę tezę musiał najpierw porozmawiać z podejrzanym.

Tego ranka znów obudził go telefon. Detektyw spojrzał na wyświetlacz. Numer nieznany, choć domyślał się, kto może dzwonić.

- Słucham?

- Dzień dobry, detektywie - odezwał się głęboki głos w słuchawce. - Moje nazwisko Malczak. Dzwonię dopiero teraz, bo wczoraj wróciłem dość późno i uznałem, że nie będę już pana niepokoił.

"Dopiero teraz"?! Przecież była chyba ósma rano...

- Witam. Możemy się spotkać? Chciałbym z panem porozmawiać - wyjaśnił Zieleński i wstał z łóżka, zerkając przy okazji na zegarek. Dziewięta dwadzieścia. No masz ci los.

- Oczywiście. Mam dziś wolne, więc będę cały czas w mieszkaniu.

- Zaraz do pana przyjadę - odparł detektyw i rozłączył się. Szkoda czasu na telefoniczne pogawędki.

Jakieś pół godziny później Zieleński był już na miejscu. Wyszukał na domofonowej liście nazwisko "Malczak" i nacisnął guzik. Zaraz potem odpowiedziało mu charakterystyczne bzyczenie zezwalające na otwarcie drzwi. Gdy dotarł do mieszkania, które odwiedził już wczoraj, gospodarz czekał na niego w drzwiach.

- Witam, proszę wejść.

Zieleński zamknął drzwi i ruszył za mężczyzną do salonu. Usiadł w fotelu, splatając dłonie.

- Może napije się pan...

- Co łączy pana z zamordowanym Mariuszem Grabkiem? - wy-palił z grubej rury detektyw, przerywając Malczakowi propozycję poczęstunku. Ten zamrugał tylko nerwowo oczami i powoli zasiadł w fotelu.

- Mariuszem Grabkiem? - powtórzył, jakby starając sobie przypomnieć nazwisko. - Nie znam nikogo takiego.

Roman przewrócił oczami. W kółko to samo. Wyciągnął z kieszeni listę osób znalezioną w komputerze denata i podał ją Malczakowi.

- "P. Malczak" to też nie pan, prawda? Kupował pan od niego narkotyki?

- To jakaś pomyłka... - wyjąkał, wpatrując się z przerażeniem w listę i nie wierząc własnym oczom. - Musi chodzić o jakiegoś innego Malczaka. Mało ich w Wodzisławiu?

- Ale tylko pan od kilku lat przelewa pieniądze na konto Jacka Swobody. On też jest na tej liście. Może mi to pan wyjaśnić?

Malczak poprawił się w fotelu i odchrząknął cicho.

- Pana Jacka znam. Spłacam mu pożyczkę, którą zaciągnąłem jeszcze u jego ojca. Było tego dość sporo, dlatego trwa to tak długo.

- Zna pan Jacka Swobodę? - detektyw zmrużył oczy z zaciekawieniem i przekrzywił głowę. - To ciekawe, bo on nie kojarzył pana nazwiska.

- Cóż, nie umiem tego wyjaśnić. Może się przestraszył.

- Gdzie pana żona? - Zieleński postanowił zmienić trop. I tak już wiedział, że Malczak zaczyna ściemniać.

- Pokłóciliśmy się. Wyprowadziła się wczoraj wieczorem.

- Dlaczego?

- Pozwoli pan, że nie będziemy rozmawiali o moich osobistych sprawach? - siłił się na grzeczny ton, ale widać było, że dociekliwe pytania detektywa nie są mu na rękę.

Zieleński schował listę do kieszeni i rozejrzał się po pomieszczeniu. Ani jednego zdjęcia. Przypomniawsobnie, że miał zapytać Malczaka o dzieci. Zdecydował się na mały blef.

- Gdzie pana syn?

- Nie mam syna - odpowiedział natychmiast gospodarz. Zbyt szybko, a przy tym zarumienił się lekko.

- Panie Piotrze... - detektyw ściszył głos i nachylił się ku mężczyźnie. - Dlaczego nie jest pan ze mną szczerzy? Na liście chłopaka, który zginął w pożarze baszty w 2004 r. jest pana nazwisko. Przekazuje pan pieniądze osobie, która także ma związek ze sprawą. To nie jest pomyłka.

Malczak przez chwilę myślał nad tym, co właśnie usłyszał. Ostatecznie jednak wstał, dając detektywowi do zrozumienia, że to wszystko, co ma mu do powiedzenia.

- Jeśli mnie pan o coś podejrzewa, proszę o konkrety. Bo jeśli przyszedł pan do mnie po informacje na temat śmierci pana Grabka, to bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie ich udzielić.

Po opuszczeniu mieszkania Malczaka detektyw postanowił natychmiast skontaktować się z Jackiem Swobodą i skonfrontować jego wersję z tym, co właśnie usłyszał. Niestety, telefon Swobody nie odpowiadał, nie zastał też nikogo w jego domu. Przez resztę dnia nic się nie zmieniło. W tym czasie Zieleński sprawdził resztę osób znajdujących się na "czarnej" liście Grabka. Nie pomogło mu to jednak w śledztwie, a potwierdziło jedynie podejrzenia, że Grabek handlował narkotykami.

Następnego dnia Roman przybył do biura wcześniej. Chciał zdobyć numer telefonu do żony Malczaka i porozmawiać z nią, a oprócz tego spróbować ponownie skontaktować się ze Swobodą. Czekala na niego jednak niespodziewana informacja.

- Zgadnij, kto zasilł wczoraj wieczorem szeregi denatów? - śledczy Kowalczyk wbiegł niemal do biura detektywa, by przywitać go świeżymi nowinkami. W rękę trzymał jeszcze ciepły telefon.

- Nie wiem, ale jeśli nie powiesz mi od razu, będziesz następny.

- Lepiej usiądź.

Zieleński zmarszczył podejrzliwie brwi, ale zrobił tak, jak zalecał kolega. Oparł się wygodnie i splótł ramiona na piersi, czekając na wiadomość.

- Dostaliśmy właśnie zgłoszenie od sąsiadki Malczaka. Przed

chwilą znalazła w mieszkaniu jego zwłoki.

- Jasna cholera! Bierz ekipę, jedziemy...

Mógł się tego spodziewać. Malczak coś wiedział i na pewno miał związek ze śmiercią Grabka, a teraz, gdy policja zaczęła węszyć, ktoś zaczyna zacierać za sobą ślady. Pierwsze podejrzenie padło na Jacka Swobodę. Detektyw nie wykluczał możliwości, że ci dwaj byli współnikami.

Na miejsce zbrodni dojechali razem z ekipą techników w kilka minut. Czekало na nich blade ciało Piotra Malczaka, leżące na łóżku jak gdyby nigdy nic. Żadnej krwi, żadnych śladów. Wyglądał, jakby po prostu zasnął i już się nie obudził.

- Co to ma być? - Zieleński warknął zdezorientowany. - Nie mówcie mi, że zawał. Nie uwierzę.

Obecny na miejscu lekarz odrzucił na bok koldrę, którą przykryty był denat. Przyjrzał się jego twarzy, posiniałej, o rozwartych ustach i szeroko roztworzonych powiekach. Wskazał siniak pod okiem i pękniętą wargę.

- Lekko poturbowany. Wygląda mi to na uduszenie.

- Są ślady pod paznokciami? Naskórek, krew?

Medyk rzucił okiem na dłonie mężczyzny i pokiwał przecząco głową.

- Mógłby mi pan pomóc? - zwrócił się do detektywa, próbując zdjąć z denata koszulę piżamy. Następnie bardzo uważnie przyjrzał się jego ramionom, jakby szukał czegoś konkretnego. W końcu pokiwał głową i westchnął, wskazując coś reszcie palcem.

- Widzą panowie to ukłucie? Ślad igły.

- Ktoś mu wstrzyknął jakąś truciznę? - Kowalczyk pochylił się nad ramieniem Malczaka, by dostrzec ledwie widoczny ślad.

- Niewykluczone. Sekcja pozwoli stwierdzić, co dokładnie spowodowało śmierć.

- Trucizna w strzykawce? - Zieleński uniósł brwi. Nietypowe narzędzie zbrodni. Trzeba się nieźle postarać, żeby zdobyć środki wywołujące natychmiastową śmierć. Komuś zależało na uporządkowaniu naturalnego zgonu.

Do sypialni wszedł jeden z techników, przerywając rozmyślanie detektywa.

- Zamek w drzwiach nietknięty. Mamy jednak odciski palców.

- Czyli nasz denat raczej nie wpuścił do domu mordercy sam - mruknął Kowalczyk, drapiąc się po policzku.

- Na to wygląda, skończył w łóżku. Nie kładłby się spać, gdyby

miął gości... - Zieleński analizował w myślach różne możliwości. Najbardziej prawdopodobna wydawała mu się po prostu ta, że morderca miał własne klucze. - Porozmawiam z panią Agnieszką. To ona znalazła zwłoki. Wy w tym czasie przeszukajcie mieszkanie, może znajdziecie strzykawkę, w co wątpię. Zbadajcie samochód denata, prześledźcie bilingi rozmów i zapisy z karty kredytowej. Proszę mnie informować na bieżąco. Ja w tym czasie popytam jeszcze sąsiadów. Może ktoś coś widział...

- Drzwi na pewno były zamknięte. Pamiętam, bo wracałam do swojego mieszkania po klucze - zapewniała roztrzęsiona pani Agnieszka.

- Ma pani własny komplet kluczy do mieszkania Malczaków? Po co? - zainteresował się Zieleński. Nie podejrzewał staruszki ozbrodnie, ale ktoś mógł skorzystać na tym, gdyby je zgubiła.

- No przecież Malczaków nie ma w domu pół dnia. Ja się o wszystko martwię. A jak do sklepu trzeba iść, to przecież nie zostawię drzwi otwartych...

- Racja. A czy nie zgubiła pani ostatnio kluczy? Albo komuś pożyczła?

- Gdzież tam, panie detektywie - starsza pani pokręciła ze smutkiem głową. Po policzku pociekła jej łza. - Ciągłe przy sobie noszę i jak oka w głowie pilnuję. Ale wczorajszego wieczora to pan Piotr przyszedł do mnie po moje klucze, bo swoje ponoć zgubił i nie miał jak do mieszkania wejść.

To było istotnie zastanawiające. Morderca mógł je znaleźć lub osobiście ukraść.

- Kto oprócz pani może mieć jeszcze klucze do mieszkania Malczaków?

- Pewnie pani Dorota. Nikt więcej. Ale ona wyprowadziła się przedwczoraj. Cóż to będzie, jak się dowie, że jej męża zamordowali... - pani Agnieszka zaniósła się płaczem, zakrywając usta dłonią.

- Proszę się uspokoić. Złapiemy mordercę - Zieleński próbował jakoś pocieszyć kobietę, a jednocześnie przekonać sam siebie, że sprawca zostanie pojmany. Wierzył w to, choć śladów i dowodów było niepokojąco mało. - Ma pani numer telefonu do żony pana Piotra?

- Oczywiście, gdzieś muszę mieć... - staruszka wstała powoli i, pociągając nosem, podeszła do kredensu. Wyjęła mały notes, przewracając kolejne strony. - Nic nie widzę, nie mam okularów.

Proszę, niech pan weźmie cały zeszyt. Może się przyda.

- Dziękuję bardzo - odparł detektyw i wstał, kierując się ku wyjściu. - Niech się pani nie martwi, pani Agnieszko. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Gdy tylko opuścił mieszkanie pani Adamczyk, postanowił uzyskać zeznania od reszty lokatorów. Pytał sąsiadów, czy nie widzieli bądź nie słyszeli czegoś podejrzanego zeszłej nocy. Wszyscy jednak byli zgodni w zeznaniach - nic nie przykuło ich uwagi. Ostatnie drzwi otworzyła mu Jadwiga Tatarczykowa, starsza pani, którą poznał podczas pierwszej wizyty u Malczaków. Zaprosiła detektywa do środka, a Zieleński, który marzył teraz o kubku mocnej kawy, nie odmówił.

- Co się stało, panie detektywie? Widzę radiowozy na dole, myślę sobie "Matko Święta, zamordowali kogoś"! Nigdy jeszcze tyle policji nie było u nas! - emocjonowała się kobieta, gdy już włączyła czajnik z wodą.

- Widziała pani wczoraj wieczorem kogoś obcego? Słyszała coś dziwnego może? - zaczął od pytań, nie uświadamiając Tatarczykowej, że jej przeczucia były słuszne.

- Nie, nie przypominam sobie.

Zieleński usiadł przy stole, na którym stały dwie filiżanki po kawie.

- Miała pani wczoraj gości?

- Słucham? A, gości. Nie, nie...

- Więc pije pani z dwóch filiżanek?

- A, o to panu chodzi... Adamczykowa tylko wpadła na chwilę wieczorem. Wypiliśmy kawę, porozmawiały, wie pan jak to jest - wytłumaczyła pani Jadwiga, wychodząc właśnie z kuchenki i niosąc w kubku solidną dawkę kofeiny dla Zieleńskiego. - A co to się stało, że pan mnie odwiedził? Okradli kogoś?

Zieleński już miał odpowiedzieć, gdy nagle coś sobie przypomniał. Uderzyło to w niego jak grom z jasnego nieba. Starając się zachowywać naturalnie, zaczął szukać czegoś po kieszeniach.

- Pani Tatarczykowo, czy mógłbym prosić o coś do pisania?

- Oczywiście, mam pewnie w szufladzie. Niech pan chwilkę zaczeka...

Gdy wróciła z pokoju, niosąc dwa długopisy (na wypadek, gdyby jeden nie pisał), Zieleńskiego nie było już w jej mieszkaniu. Został po nim tylko kubek pełen parującej kawy. Nagle spo-

strzegła, co zniknęło razem z detektywem i zbladła.

-Matko Święta...

Rozentuzjasmowany Zieleński zahamował z piskiem przed mieszkaniem Jacka Swobody. Jeśli tym razem go nie zastanie, to zaangażuje w poszukiwania wojsko międzynarodowe. Gdy wychodził z auta, zadzwonił śledczy Kowalczyk.

- Macie coś? - spytał detektyw, zmierzając szybkim krokiem w stronę drzwi wejściowych.

- Na samochodzie Malczaka znaleźliśmy dwa rodzaje od-cisków palców i dwie grupy krwi. Jeden komplet należy do denata.

- Świetnie. Przywieź mi to do biura, muszę z tobą porozmawiać. Jak najszybciej - rozłączył się i nacisnął dzwonek, wyzywając wszystkie niebiosy, by Swoboda w końcu mu otworzył. I tym razem udało się.

- O, witam - zdziwił się gospodarz. - Cóż za miła...

- Jest pan podejrzany o morderstwo Piotra Malczaka. Pojedźcie pan ze mną na komisariat, musimy pobrać odciski palców i próbkę DNA.

- Co takiego...? - chłopak popadł w konsternację i spoglądał na detektywa jak na wariata.

- Wsiądzie pan po dobroci, czy mam wyciągnąć kajdanki?

Podczas standardowej procedury zdejmowania odcisków palców, Zieleński zauważył na dłoniach Swobody ślady poparzeń. Przypomniawszy sobie, że ostatnim razem chłopak nie zdejmował rękawiczek.

- Podwiń rękawy.

Jacek wykonał polecenie z grymasem na twarzy, ukazując parę blizn po oparzeniu na przedramionach.

- A to co? Bawiłeś się zapalkami?

- Wypadek przy petardach - uciął krótko chłopak i opuścił rękaw swetra. Jego wściekła mina mówiła sama za siebie.

- A może... przy pożarze? Na przykład zabytkowej baszty?

- I niby co ja miałbym mieć z tym wspólnego? Niech pan zapyta kolegów. Petarda prawie wybuchła mi w rękach!

- Co robiłeś zeszłej nocy? - Zieleński przekazał funkcjonariuszowi kartę daktyloskopiową wypełnioną czarnymi odciskami linii papilarnych podejrzanego.

- Byłem na imprezie w "After Dark". Wróciłem z niej prosto do domu.

- A ja myślę, że było nieco inaczej... - usiadł na stoliku. Splótł ramiona na torsie i uśmiechnął się z satysfakcją. - Tamtej nocy, cztery lata temu, widziałeś Malczaka. Rozmawiałem przed chwilą z jego zdruzgotaną żoną i dowiedziałem się, że mieli syna, Pawła. Umarł cztery lata temu z powodu przedawkowania narkotyków, które nabył u Grabka. To on, nie Piotr, był na liście... - Zieleński wstał i zaczął spacerować po pomieszczeniu. - Malczak obwiniął Mariusza o śmierć swojego syna, więc postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość. Uwięził młodego Grabka w baszcie i odjechał. A ty akurat tam byłeś i widziałeś całe zajście.

- To jakieś chore brednie! - wrzasnął Swoboda i próbował wstać, ale detektyw uspokoił go jednym ruchem ręki.

- Nie przerywaj. Pomyślałeś, że uporzujesz pożar i upieczesz dwie pieczenie na jednym ogniu - zaśmiał się. - Nieźle zabrzmiało, nie? Uznałeś, że pozbędziesz się natrętnego dealera, któremu byłeś winien sporo pieniędzy, a przy tym zwalisz winę na Malczaka. Grabkowi jednak jakimś cudem udało się uwolnić, jednak poniesione obrażenia nie dały mu szans na przeżycie. Zakopałeś zwłoki i zacząłeś szantażować nieświadomego Malczaka, grożąc, że powiesz o wszystkim policji, żądając pieniędzy. A on dał się nabrać.

- Pan jest nienormalny!

- A ty nieźle bekiesz za to, co zrobiłeś. Malczak grzecznie przysyłał pieniądze przez cztery lata, ale gdy ostatnio z powodu śledztwa zaczęliśmy się obok niego kręcić, przestraszyłeś się, że w końcu facet się złamie i powie wszystko policji. A wtedy mielibyśmy cię w garści.

Jacek pokręcił energicznie głową. Na jego czoło wstąpiły perelki potu.

- Po co pan to wszystko wymyśla? Co ja mam wspólnego ze śmiercią Malczaka?!

- Swoboda... - detektyw zatrzymał się i odwrócił w stronę podejrzanego chłopaka. Czuł, że wszystko to zaczyna układać się w jedną całość. - Jadwiga Tatarczyk to twoja matka, prawda? To ona wpuściła cię w nocy. Przecież w bloku jest domofon, żaden obcy nie mógł tam wejść.

Swoboda rozmasował sobie skronie i przymknął powieki. Dłonie mu się trzęsły, nerwowo przygryzał wargę. Czuł, że znalazł

się w sytuacji bez wyjścia. Jego pewność siebie i arogancja nagle gdzieś wyparowały.

- Twoja matka zrobiła dla ciebie odbitkę klucza do mieszkania Malczaków. Często spotykała się z panią Agnieszką, która miała własny komplet, więc nie było problemu. A może sam to zrobiłeś? Co mu wstrzyknąłeś?

- Ja na prawdę nie zabiłem Malczaka... To nie ja, przysięgam!

Roman podszedł do drzwi, a po chwili skinął głową, dając znak policjantowi. Ten skul chłopaka, który był zbyt oszołomiony, by protestować.

- Jesteś tymczasowo zatrzymany, dopóki nie udowodnimy ci winy. To kwestia kilku dni, aż otrzymamy wszelkie analizy. Nie udało ci się.

Ledwie funkcjonariusz wyprowadził Swobodę z biura, do środka wkroczył zdziwiony Tomasz Kowalczyk. W ręku trzymał jakiś zwitek papierów.

- Co tu się dzieje? Dlaczego go aresztowałeś?

- To on zamordował Malczaka.

- Jak do tego doszedłeś? - Kowalczyk aż usiadł z wrażenia.

Zieleński przedstawił mu swoją wersję wydarzeń. Tę samą, której wyparł się Swoboda.

- No dobrze, ale co konkretnie zaprowadziło cię do niego?

- Rozmawiałem dziś z Jadwigą Tatarczyk, mieszka w bloku Malczaka. Znalazłem u niej dwie filiżanki po kawie. Twierdziła, że to pani Agnieszka była u niej. Jednak pani Adamczyk osobiście przyznała mi, że nie pije kawy z powodu nadciśnienia. Tatarczykowa kłamała. Zabrałem filiżanki i poleciłem zdjęcie odcisków palców.

- Inależą do Swobody?

- Tego jeszcze nie wiem. Ale gdy szukałem w notesie pani Agnieszki numeru do żony Malczaka, natknąłem się na numer Tatarczykowej. Pod nim znajdował się wpis "Jacuś" i jego obecny numer telefonu. Swoboda to jej nieślubny syn. Tylko ona mogła wpuścić go w nocy.

Kowalczyk wysłuchał współnika, jednak wszystko to przyjął bez większego przekonania.

- Askąd miałby pavalon?

- Jaki pavalon?

- To, co wstrzyknęto Malczakowi, to pavalon.

Detektyw zmarszczył brwi. Faktycznie, dziwne. Lek ten nie był aspiryną, nie sprzedawano go w aptece bez recepty.

- I jeszcze jedno... - Kowalczyk podał mu kartkę, którą przyniósł ze sobą. - To wydruk z karty płatniczej Malczaka. Ostatni raz posługiwał się nią tamtego wieczora w pizzerii "DaGrasso".

Czas dla Zieleńskiego zwolnił natychmiast. Nazwa lokalu odbiła się echem w jego głowie. Cała jego dotychczasowa hipoteza dotycząca śmierci Malczaka odwrócona została do góry nogami. Zaklął siarczyście.

- Tam pracuje ojciec Grabka.

Jeszcze tego samego wieczora Bogdan Grabek znalazł się na komisariacie w sali przesłuchań. Spokojny i opanowany, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy, w jak poważnej sytuacji się znajduje.

- Więc przyznaje pan, że zamordował Piotra Malczaka? - Zieleński skrzywił się i oparł łokcie na kancie stołu. Miał ochotę odetchnąć z ulgą i zamknąć ostatecznie tę sprawę.

- Tak. Rozpoznałem jego nazwisko, gdy płacił kartą płatniczą.

- A skąd pan je znał?

- Gdy był pan u nas w domu i pytał o Mariusza... - Grabek spuścił wzrok i zamyślił się. - Pokazał mi pan listę z komputera mojego syna. Zapamiętałem każde nazwisko.

Dreszcz przebiegł po plecach detektywa. Odrzucił od siebie myśl, że w pewien sposób jest współodpowiedzialny za śmierć męczczyzny.

- Dlaczego pan to zrobił? I jak?

Bogdan Grabek milczał przez chwilę, jakby wszystko sobie porządkując i dobierając właściwe słowa. Mówił cicho, ale stanowczo.

- Wyszedłem za nim, gdy opuszczał lokal. Chciałem dowiedzieć się, co miał wspólnego ze śmiercią mojego syna. Był pijany, rzucił się na mnie z pięściami. Odepchnąłem go od siebie, a on wsiadł w samochód i odjechał. Zauważyłem, że zgubił klucze.

Mężczyzna kontynuował zeznanie, ale Zieleński już go nie słuchał. Sam mógł dopowiedzieć sobie resztę. Grabek wziął klucze, pojechał za Malczakiem, wszedł do jego mieszkania jakby nigdy nic i zabił. Roman przymknął powieki. Nic by się nie wydarzyło, gdyby nie pokazał Grabkowi listy nazwisk...

Niespodziewanie do pomieszczenia wkroczył Kowalczyk. Bez

słowa rzucił Zieleńskiemu teczkę przed nos. Ten otworzył ją i przyjrzał się zawartości. Tryby maszyny kojarzenia faktów zaczęły pracować szybciej. Teraz już wszystko stało się jasne.

- Dziękuję, jest pan wolny - oznajmił detektyw i wstał.

- Jak to? Nie aresztujecie mnie? - Grabek nie wierzył własnym uszom.

- Dlaczego mielibyśmy pana aresztować? Jest pan niewinny.

Jacka Swobodę zwolniono z aresztu. Skruszony chłopak w końcu przedstawił policji prawdziwą wersję wydarzeń.

- Chciałem pomóc Grabkowi. Gdy wszedłem do baszty, poczułem silny zapach benzyny. Była rozlana chyba wszędzie. Iskra z mojego papierosa spowodowała pożar. Bałem się, że policja obwini mnie o jego śmierć, więc zakopałem ciało... Tak mi przykro. Byłem głupi...

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu? - Zieleński trzymał dłonie w kieszeniach. Żał mu było tego chłopaka. Znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- Nigdy by mi pan nie uwierzył.

Przyznał mu w myślach rację, choć nie potwierdził tego na głos.

- Nigdy nie mów "nigdy".

- Kto zabił Malczaka? - zapytał po chwili Swoboda.

- Danuta Grabek, matka chłopaka, którego przez przypadek spaliłeś.

Zieleński wciąż nie mógł uwierzyć, że kobieta była zdolna do takiego posunięcia. Mąż krył ją, chcąc całą winę przyjąć na siebie. Jednak analiza wykazała, że odciski palców, zdjęte z drzwi mieszkania Malczaka nie należały do Bogdana Grabka. To pani Danuta, gdy usłyszała o bójce męża, ukradła mu klucze, które Malczak zgubił i postanowiła pomścić śmierć swojego syna. Jako anestezjolog nie miała problemu ze zdobyciem pavulonu, używanego przy narkozach. Wybrała osobę, która znajdowała się na liście Mariusza, wiążąc ją ze śmiercią jedyne dziecko. I w pewien sposób jej instynkt nie zawiódł jej. Roman zdał sobie sprawę, że bezgraniczna miłość jest równie niebezpieczna jak nienawiść.

Następnego wieczora Zieleński czekał pod domem Joanny Nowak, która zdobyła dla niego informacje na temat przelewów bankowych Malczaka. Wielokrotnie pomagała mu w śledztwach,

a on za każdym razem obiecywał jej kolację. Postanowił w końcu zamienić słowa w czyn.

- Myślałem, że już nigdy nie wyjdiesz z domu - rzucił z uśmiechem, gdy kobieta wsiadła do jego samochodu. Wnętrze od razu wypełnił zapach przyjemnych, damskich perfum.

- Nigdy nie mów "nigdy", Romku...

*Wszystkie postacie, zdarzenia i dialogi występujące
w opowiadaniu są tylko wytworem ludzkiej imaginacji
i nie mają swoich odpowiedników w rzeczywistości.*



RYSY

1.

Siedzieliśmy wtedy w biurze. Nie w moim, gdyż jako osoba nie mająca stałego zatrudnienia nie posiadam również własnego biura. Za oknem ciemność rozłożyła dawno swoje skrzydła, tylko po to by nad ranem złożyć je znów i cierpliwie czekać na swój kolejny lot. Tej nocy mieliśmy odlecieć razem z nią - ja i Marcin, który ugościł mnie w swoim biurze po godzinach pracy. Odkąd dostąpiłem przyjemności poznania owego człowieka, w jego postawie i poglądach nie zmieniło się nic. Było to odwrotnie proporcjonalne do zmian postępujących na jego twarzy i całej głowie. Łysina, która jeszcze kilka lat temu zaczynała dawać o sobie znać w sposób delikatny, ledwie odzywając się zza burzy czarnych włosów, dzisiaj już krzyczała pełnym gardłem. Jako piewca polskich tradycji, Marcin ugościł mnie w szczególnie sposób - na stole oprócz popielniczki systematycznie uzupełnianej, znalazła się również butelka Jacka Danielsa, która zminutyna minutę robiła się coraz lżejsza. Lżejsze robiły się także

nasze języki i tematy naszych rozmów przeistaczały się z ogólnotowarzyskich w bardziej osobiste i znaczące.

Godziny mijały, a ja z niepokojem spoglądałem na telefon komórkowy leżący na stole, wyczekując zbawiennego odgłosu informującego mnie o kolejnych powodach by otworzyć rano oczy. Modliłem się do niego i w myślach powtarzałem mantrę oczekującego na cud. Cuda jak wiadomo mają to do siebie, iż od czasu do czasu w najmniej spodziewanym momencie lubią się pojawiać. Tak było tym razem. Telefon zadzwonił około godziny dwudziestej trzeciej, przy napoczętej już drugiej butelce whisky. Męski, lekko zachrypnięty głos, liczący sobie mniej więcej sześćdziesiąt parę lat, poinformował mnie o odsłuchaniu mojej wiadomości i wyraził niezwykłą chęć spotkania. Poczułem przypływ nagłego podniecenia. Nie, nie związanego z napięciem seksualnym, ale tak wielkiego, że bliski byłem wykrzyknienia w ślad za byłym premierem trzykrotnie słowa „Yes”. Powstrzymałem się jednak ze względu na poglądy polityczne mojego współtowarzysza. Jedno było pewne - jutro wyjeżdżam do Wodzisławia Śląskiego w którym to miałem przyjemność się urodzić, aby negocjować nabycie niezwykle cennej płyty winylowej wzbogacając moją kolekcję. Nazywam się Filip Wolny i tym właśnie się zajmuję.

2.

Śmiem mówić o sobie, że jestem największym kolekcjonerem cennych czarnych płyt na Śląsku, jeżeli nie w całej Polsce. Od trzynastu lat, a więc od kiedy wkroczyłem w mój własny dwudziesty pierwszy wiek, nabierałem ich ponad czterysta. Wszystkie o niezwykle sporej wartości. Tym razem chodziło o oryginalne wydanie „Blood on the Tracks” Boba Dylana z rzekomym jego autografem. Dostałem wiadomość, jakoby zamieszkały w Wodzisławiu Śląskim właściciel skromnego zakładu krawieckiego wszedł w posiadanie owej płyty. Facet prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z faktu, iż gdzieś na półce, pomiędzy Krzysztofem Krawczykiem a Jerzym Połomskim znajduje się istny biały kruke.

Biuro Marcina opuściłem około godziny drugiej nad ranem i nie mając ochoty na taksówkę zrobiłem sobie kilku kilometrowy spacer po Katowicach, w których to aktualnie mieszkalem. Czując

chłodny powiew nocnego, grudniowego wiatru męczyłem się przez chwilę próbując zapalić papierosa, bez którego pijacka wędrówka nie miałaby sensu. Negocjacje w sprawie płyty oznaczały powrót po dziesięciu latach do rodzinnego miasta, które opuściłem po osobistych problemach. Jedyne mój kontakt z miejscem urodzenia ograniczał się do telefonów od rodziców, których nie widziałem tak długo, jak fontanny na wodzisławskim rynku. Oczywiście majątni rodzice łożyli na moje utrzymanie, co powinno, ale nigdy nie było dla mnie powodem do wstydu.

Wróciłem do swojego mieszkania. Położyłem się do łóżka i bez jakichkolwiek czynności higienicznych oczekiwałem nadejścia jutra.

O godzinie szesnastej siedziałem już w pociągu zmierzającym na obskurny dworzec kolejowy w moim rodzinnym mieście. Półtorej godziny bez papierosa było dla mnie istną męką, nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni miałem tak długą przerwę. Rozmyślałem o powrocie w rodzinne strony, o tym, iż chcąc nie chcąc, będę zmuszony zatrzymać się u rodziców. Czułem się ten syn marnotrawny powracający i zmuszony do chowania twarzy przed wzrokiem krewnych i osób, które przyczyniły się do mojego przyjścia na świat. Obserwowałem zza okna przedwcześnie zapadający zmierzch, jak to bywa o tej porze roku i próbowałem skoncentrować się na swoim zadaniu. Nic nie było ważniejsze niż nabycie nowej płyty, bo muzyka jest dla mnie czymś, za co warto oddać swoje życie. Prawdziwa muzyka nigdy nie przemija, a ja na wszelki wypadek postanowiłem zebrać najlepszą jej część w moim domu, aby mieć pewność, że będzie ze mną już zawsze.

Było już zupełnie ciemno, gdy znalazłem się na wodzisławskim peronie, nie posiadając nawet najmniejszego bagażu, liczyłem wszak, że w rodzinnym domu znajdę jeszcze jakieś moje stare ubrania. Rodzice należeli do osób sentymentalnych i chyba nigdy nie skazali mnie na prawdziwą śmierć, pomimo wstydu, jakiego doświadczyli z mojego powodu. W przeciwieństwie do reszty rodziny. Ciekaw byłem, co też zmieniło się w tym mieście, jednak nie byłem w stanie zobaczyć zbyt wiele, więc korzystając z okazji wskoczyłem w taksówkę i kazałem zawieźć się na ulicę Wałową pod adres, który podał mi mój wczorajszy rozmówca. Stara zabudowa nie sprawiała wrażenia przyjemnej, a ciemność tylko

potęgowała uczucie, że lepiej byłoby przyjść tutaj w godzinach południowych, kiedy można zobaczyć swój własny cień na ścianie i kiedy miejsce jest pełne przypadkowych osób. Gubiąc się we własnych myślach znalazłem się pod drzwiami których poszukiwałem i nacisnąłem przycisk dzwonka, czekając na odzew kroków po drugiej stronie.

Ten sam głos, który usłyszałem wczoraj w telefonie, odezwał się zza drzwi:

- Kto? - gospodarz domu nie wydawał się być zbyt gościnny.

- Nazywam się Filip Wolny, dzwoniłem wczoraj do pana w sprawie płyt - najbanalniejsze, co przyszło mi do głowy, okazało się skuteczne. Drzwi otworzyły się i przede mną znalazł się człowiek po sześćdziesiątce, niskiego wzrostu i z ogólnie niesympatycznym wyrazem twarzy. Przyglądałem mu się przez chwilę i do głowy przyszło mi skrzyżowanie Freddiego Krugera z Buką z Muminków, co wywołało chwilowy uśmiech na mojej twarzy. Jednak mężczyzna ów miał tak groźne oblicze, iż uśmiech mój uciekł równie szybko, jak szybko się pojawił.

Gospodarz zaprosił mnie do środka, dając znak ręką i w milczeniu znalazłem się w małym, brudnym i śmierdzącym stęchlizną mieszkaniu. Teraz, gdy znaleźliśmy się w lepszym świetle, zdałem sobie sprawę z przerażenia tego człowieka. Na twarzy jego widać było ciągle napięcie, a ręce dygotały mu niczym alkoholikowi, który odczuwa chęć na lęknięcie czegoś mocniejszego. On również przyglądał mi się i jestem pewien, że mój wygląd nie wzbudził w nim szczególnie pozytywnych emocji. Trzydniowy zarost i długi czarny płaszcz będący w nie najlepszym stanie nie mogły wzbudzać sympatii. Postanowiłem odezwać się, gdyż krępująca cisza zaczynała coraz bardziej mnie irytować.

- Jak już wspominałem, byłbym zainteresowany pewną płytą, którą posiada pan od niedawna w swojej kolekcji.

- A może mi pan wytłumaczyć, dlaczego ta płyta jest tak cenna? - pytanie gospodarza zdziwiło mnie, ale świadczyło także o jego dyletanctwie w tym temacie.

- Płyta nie jest szczególnie cenna, ma wartość tylko dla tych, którzy lubią tego typu muzykę. Mój teść jest fanem Dylana, postanowiłem więc kupić mu prezent na zbliżającą się rocznicę jego ślubu. Zaczynz niego człowiek. Nie powiedziałbyś pan, że komunista.

- Widzę, że lubisz pan sobie stroić żarty- poinformował mnie.- Mnie zresztą nic do tego, co pan zrobisz z tą płytą. Pytałem, bo nie jesteś pan pierwszą osobą, która składa mi dziwne wizyty.

- Pewnie szwagier chce mnie uprzedzić i zapunktować u teścia- nie miałem ochoty zmieniać tonu rozmowy, chociaż słowa gospodarza zaciekały mnie.

- Weź sobie pan tą płytę za darmo i nie chcę już pana więcej na oczy oglądać.

Po tych słowach gospodarz wstał i udał się do pokoju znajdującego się za jego plecami. Wrócił stamtąd dość szybko w rękę trzymając okładkę z wizerunkiem Boba Dylana. Podając mi płytę sprawiał wrażenie człowieka, który odczuwa wielką ulgę. Nie mnie jednak było zagłębiać się w umysły ludzi których oszukuję. Właśnie otrzymałem cenną płytę, nie płacąc za nią nawet złamanego grosza. Przyjrzałem się dotkniętej duchem czasu okładce, na której widniał niewyraźny podpis artysty. Potwornie trudno opisać myśli, które zawładnęły w owym momencie moją głową. Miałem ochotę wybiec na chodnik i wygwizdać Moonlight Serenade oznajmiając całemu otaczającemu mnie światu, że na chwilę obecną jestem człowiekiem szczęśliwym. Szybko jednak oprzytomniałem. Starannie otoczyłem płytę moimi rękami i zacząłem zmierzać do wyjścia z mieszkania, które od początku wydawało mi się być wredną norą. Ukłoniłem się gospodarzowi i podziękowałem w imieniu swoim oraz teścia. Rzuciłem okiem na pajączynę pod sufitem, zaciek na ścianie i znalazłem się pod drzwiami. Gospodarz na pożegnanie rzucił słowa, które powinny były zapalić lampkę ostrzegawczą w mojej głowie:

- Będziesz pan miał kłopoty.

- Kłopoty? Kłopoty to moja specjalność - odparłem z uśmiechem na ustach.

3.

Stojąc na chodniku zapaliłem papierosa i chcąc ukryć płytę przed całym światem, schowałem ją pod płaszcz i zacząłem rozglądać się w kierunku drogi na rynek. Pamięć ludzka choć zawodna, tym jednak razem okazała się być przydatna, gdyż po kilku minutach znalazłem się na wodzisławskim rynku i obse-

rwowałem tymczasowo powstałe sztuczne lodowisko. Dziwna to maniera w miastach polskich z jazdą na łyżwach. Programy telewizyjne, w których znani lub średnio znani ludzie kręcą tyłkami na taflach sprawiły, że każdy chciałby tańczyć na lodzie. Nie moja rzecz - pomyślałem i rozpocząłem poszukiwania taksówki. Krążąc wokół rynku znalazłem się na dworcu autobusowym, który pomimo otaczającej go ciemności od razu rzucił mi się w oczy. Od dziesięciu lat nie zmieniło się tutaj zupełnie nic. Wypatrzyłem stojącą niedaleko taryfę i dogadawszy się z kierowcą co do ceny, kazałem zawieźć się do domu moich rodziców w dzielnicę Jedłownik.

Opisywanie reakcji członków mojej rodziny pozbawione jest sensu. Oczywiście, że ucieszyli się z nagłych odwiedzin syna marnotrawnego. Kiedy jednak zakomunikowałem, że jutro wyjeżdżam, ich entuzjazm opadł w sposób znaczący. Po wymianie krótkich uprzejmości, poinformowaniu o celu wizyty, zapytaniu jak zdrowie, odpowiedzeniu na pytanie, kiedy się ożenię i czy znów mam kłopoty, po wszystkich tych makabrach, udałem się do pokoju, o którym kiedyś mówiłem „mój pokój”. Pomieszczenie wydawało się być nie dotknięte ręką czasu. Wszystko było dokładnie takie samo, jak dziesięć lat temu, gdy uciekałem stąd w nadziei, że nie powrócę już nigdy. Podszedłem do stojącego na dębowej szafce gramofonu i drżącą ręką wyjąłem płytę z kartonu. Bez przyglądania się jej, nastawiłem ją i czekałem na dźwięk charakterystycznego głosu największego autora piosenek w historii. To co usłyszałem, sprawiło, że miałem ochotę dopaść starego dziada, który wcisnął mi czarny krążek. Nie wiem, jak trzeba obchodzić się z płytą, żeby była w taki sposób porysowana i zniszczona. Wyjąłem ją z gramofonu i pozwoliłem sobie rzucić na nią okiem. Zauważyłem rysy. Rysy wyglądające jak dzieło dziecka bawiącego się śrubokrętem. Zwrotu pieniędzy domagać się nie mogłem, byłem w stanie natomiast powiedzieć staremu frajerowi, co myślę o ludziach w jego typie. Stało się to, czego obawiałem się najbardziej - zmuszony jestem przedłużyć wizytę u rodziców o kilka godzin.

Problemy z zaśnieciem sprawiły, że moje zdenerwowanie sięgało zenitu. Większość nocy spędziłem paląc papierosy i przeklinając w duchu wszystko, co zdarzyło się w ostatnim czasie. Jako kolekcjoner fanatyk nie mogłem ścierpieć zniszczonej płyty. Nie mogłem znieść także bycia oszukany,

podróży do miasta rodzinnego i spojrzenia w oczy osobom, które mnie spłodziły.

Wczesnym rankiem, nie budząc nikogo, postanowiłem udać się do obskurnego mieszkania na ulicy Wałowej, aby poinformować zamieszkałego tam osobnika, co myślę o nim, cnocie jego córek, wyglądzie jego żony, profesji jego matki oraz preferencjach seksualnych jego ojca. Wydając kolejne pieniądze na taksówkę, wysiadłem obok rynku, aby nabyć dwudziestopak moich wzbogaconych w filtry gwoździ do trumny. Przemierzając tą historyczną część miasta, zatrzymałem się na chwilę przy tablicy ogłoszeń, by z wrodzonej ciekawości zobaczyć, co też słychać w tym małym świecie. Oczywiście nie znalazłem nic, co mogło by zainteresować człowieka mojego pokroju. Jakieś ogłoszenie o konkursie literackim organizowanym przez wodzisławską bibliotekę, gdzie główną nagrodą była kwota tysiąca złotych. Kolejne ogłoszenie dotyczyło występu jakiejś bluesowej regionalnej kapeli o wdzięcznej nazwie „The Upper Silesian Whorehouse Orchestra”. Jedyne, co wydawało się być interesujące to zdjęcie młodej ładnej dziewczyny, a tuż pod nim napis: *„Dnia 3 grudnia zaginęła 16 letnia Dominika Matuszczyk. Ubrana była w zieloną kurtkę, czarne spodnie i długi kolorowy szal. Ktokolwiek widział Dominikę, proszony jest o kontakt z policją, lub z numerem telefonu...”*

Po opisie można było stwierdzić, iż dziewczyna jest niepodobna do nikogo, nie ubiera się w charakterystyczny sposób, oraz to, że skoro od czasu zaginięcia minęły dwa tygodnie, już pewnie jej nie odnajdą. Nie moja rzecz - pomyślałem i poszedłem dalej. Kiedy cel mojej wędrówki znalazł się w zasięgu mego wzroku odkryłem, ku własnemu zdziwieniu karetkę, dwa policyjne radiowozy oraz tłum gapiów zgromadzonych w pobliżu. Pośzedłem bliżej i spytałem stojącego obok mnie, wysokiego faceta z archetypicznym polskim wąsem, cóż też takiego się stało. Ten, pozmierzeniu mnie wzrokiem odparł:

- Ach, Panie! Tego krawca, starego pijaka, znaleźli martwego!

Na dźwięk tych słów ciarki przebiegły po moich plecach i postanowiłem dopchać się bliżej, by zobaczyć coś więcej. Widok policji jednak sprawił, że opuściłem zgromadzonych tłumnie obywateli i spokojnie oddaliłem się z miejsca zdarzenia. Ciekawości mej nie było końca. W myślach zastanawiałem się, kto

i po co miał zabić starego krawca. Przez chwilę pomyślałem nawet, że należało mu się za to co zrobił z płytą, jednak sam wystraszyłem się moich wizji. Znalazłem otwartą knajpę i wstąpiłem na kawę. Rozsiadłszy się wygodnie, obserwowałem zza okna przechodzących ludzi. W myślach powracałem do śmierci starego krawca i robiłbym to dłużej, gdyby nie prześliczna dziewczyna, która usiadła tuż obok mnie. Zwróciłem uwagę na jej długie nogi i ubiór nieco wyzywający jak na tę na porę roku. Patrzyłem na wysokie kozaczki opinające żółte rajstopy, które kończyły się pod obcisłą spódniczką. Ściągnęła krótki płaszczyk i powiesiła go na oparciu krzesła. Ujrzałem obcisły sweterek, ledwie opinający jej ciało. Długie, lekko kręcone, kasztanowe włosy zdawały się wołać i kusić każdego faceta. Oczy o ciemnej barwie sprawiały wrażenie głębokiej jak studnia pułapki, w którą mógł wpaść każdy przedstawiciel reprezentowanej przeze mnie płci. Nie mogłem oderwać wzroku od tych oczu, włosów, twarzy i ciała. Miłość - gdybym wierzył w to słowo, potrafiłbym się chyba zakochać w niej w tej chwili, w której ją zobaczyłem. Wyciągnęła papierosa i rozpoczęła rozglądać się za ogniem, tylko czekając na faceta, który przebiegnie przez pół sali, by użyczyć jej swojej zapalniczki, a następnie patrzeć w jaki sposób zaciąga się po raz pierwszy, rozchylając przy tym ponętne usta. Znajdowała się ode mnie na wyciągnięcie ręki, więc odpaliłem jej papierosa, wciąż przyglądając się jak zahipnotyzowany. Nie podziękowała, lecz także uważnie patrzyła na mnie i zdawała się uśmiechać. Po chwili odezwała się:

- Pan Wolny, prawda?

- Wnioskuje pani po braku obrączki? - zapytałem uśmiechając się.

- Wnioskuje po opisie naocznych świadków - odparła groźnym i niesympatycznym tonem. - Wierzę, że wszedł pan w posiadanie czegoś, co nie powinno być pańską własnością.

- Mianowicie? - spytałem całkowicie zaskoczony.

- O cóż takiego pani chodzi?

Spojrzała na mnie, a oczy jej wydawały się zmienić z kuszących w pełne nienawiści.

- Myślę, że doskonale pan pamięta, co nabył wczoraj.

- Może zacznijmy tę rozmowę w inny sposób? - zaproponowałem, mając dość tajemniczej i nieprzyjemnej postawy pięknej pani. - Nazywam się Filip, a pani? - powiedziałem, wyciągając rękę w jej stronę.

- Dagmara - odparła.

- Niezmierni mi miło, Dagmaro - postanowiłem przejąć inicjatywę. - Cóż więc zatem sprowadza cię Dagmaro do mnie i skąd wiedziałaś, że właśnie tutaj będę?

- Śledziłam cię - odpowiedziała bez namysłu. - Chcę, żebyś oddał mi to, co dał ci krawiec Fojcik. Lepiej jak zrobisz to teraz, zanim znajdzie cię policja i wyciągnie z ciebie wszystko co wiesz.

- Widzisz Dagmaro, to niezwykle ciekawe, ale ja nie wiem nic. A pana Fojcika nie znam i nigdy nie widziałem na oczy.

Zauważyłem, że Dagmara robiła się coraz bardziej niecierpliwa i zdenerwowana. Czulem, że mimo wyglądu anioła, byłaby w stanie uderzyć mnie w twarz i wykrzyknąć stek wulgaryzmów w moim kierunku. Nie miałem ochoty ani na jedno, ani na drugie, postanowiłem więc przejść do rzeczy:

- Droga Dagmaro, nawet nie wiesz jak bardzo zależałoby mi, by poznać cię bliżej, pozwól więc może postawić ci kawę i porozmawiać - powiedziałem, na co Dagmara skinęła głową.

- Powiedz mi zatem, jeszcze raz, powolutku i bez nerwów, do czego zmierzasz i o co chodzi.

- Sąsiedzi widzieli cię wczoraj w mieszkaniu Fojcika - zaczęła Dagmara. - Opisał cię jako wysokiego, nie ogolonego faceta z burzą włosów na głowie, zapomnieli dodać, że mimo wszystko jesteś dość przystojny... Nieważne. Mówili, że widzieli, jak wychodzisz trzymając jakiś przedmiot i chowając go pod płaszcz.

- A skąd pomyśł, że chodzi o mnie, droga Dagmaro? - zapytałem niepoważnym tonem.

- Fojcik zapisywał w kalendarzu wszystkie umówione spotkania. Ostatnim wpisem było spotkanie z panem Filipem Wolnym w sprawie sprzedaży czegoś. Dosłownie tak to napisał.

Pomyślałem, że w tej chwili naprawdę mogę mieć kłopoty. Nie wiem skąd to śliczne dziewczę dowiedziało się o tym wszystkim, ale pewne było jedno - że skoro ona o tym wie, to policja również, az kim jak z kim, ale z policją kontaktów nie lubiłem wybitnie.

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli oddasz mi to, co dał ci krawiec - powiedziała Dagmara. Wyjęła z torebki długopis i napisała coś na serwetce. - Masz tutaj mój numer i proszę cię, zadzwoń do mnie, kiedy już się zdecydujesz.

Po tych słowach ubrała się i opuściła mnie z identyczną gracją, z jaką przysłała. Schowałem serwetkę do kieszeni, dopiłem kawę

i wyszedłem na ulicę. Wodziłem wzrokiem, czy nie widać gdzieś ślicznotki, jednak wyszedłem zbyt późno. Udałem się w kierunku postoju taksówek i po raz kolejny dając im zarobić, pojechałem do domu rodziców. Niezbyt zaskoczyłem się widokiem policji stojącej pod domem w którym wciąż byłem zameldowany. Zapłaciłem taksówkarzowi i wszedłem do środka. W pokoju gościnnym przy stole, czekali rodzice i dwójka ubranych po cywilnemu policjantów. Jeden z nich wstał i przedstawił się jako przedstawiciel wydziału zabójstw, jednak nie usłyszałem jego nazwiska i stopnia. Chciał zadać mi kilka pytań, dlatego zaproponował przechadzkę po ogrodzie, bo nie była to sytuacja, o której osoby postronne powinny być informowane. Skinąłem głową, na co drugi z funkcjonariuszy wstał i stanął z mojej lewej strony. Osaczony przez policjantów, udałem się z nimi na króciutki spacer po miejscu, którego nie widziałem przez dekadę. Policjant, który zdążył mnie już zabawić rozmową w środku przemówił:

- Pan Filip Wolny, lat trzydzieści cztery, karany za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym oraz ucieczkę z tegoż miejsca, odsiedział dwa lata. To pan, prawda? - zadał pytanie, głupio się uśmiechając. - Później kilkakrotnie notowany, udział w bójkach, zdemolowanie lokalu pod wpływem alkoholu... - recytował policjant, ciągle świecąc zębami. - Czy może mi pan powiedzieć, co robił wczoraj około godziny osiemnastej?

- Z tego co pamiętam, to demolowałem jakiś lokal - odparłem z kamienną twarzą.

- Czy muszę panu przypominać, że wszystko co pan powie, może panu zaszkodzić? - zapytał funkcjonariusz, a ja dopiero teraz zacząłem mu się przyglądać. Był wzrostu około metra dziewięćdziesiąt, łysy i po czterdziestce. Drugi z funkcjonariuszy, ten milczący, był wyraźnie niższy i chyba nie miał jeszcze skończonej trzydziestki.

- Panie władzo - odparłem. - Wczoraj byłem u krawca w sprawie przeróbki spodni, bo nabyłem nowe i strasznie uwierają mnie w kroku, a to u jakiego krawca, to pan wie równie dobrze jak ja. Pozwolę sobie także dodać, iż pomimo faktu przyjechania tutaj oznakowanym radiowozem, państwa wizyta nie wydaje się mieć oficjalnego charakteru, co może dziwić. Uprzedzając pańskie pytanie - nie, nie widziałem niczego podejrzanego a o śmierci krawca dowiedziałem się dzisiaj rano, gdy chciałem odebrać spodnie. Jeżeli to wszystko, to byłbym zobowiązany, gdybyście

panowie opuścili teren tej posiadłości, gdyż nie przypominam sobie, aby przedstawił mi pan swoje nazwisko i stopień, co wydaje mi się niezbędne w zaistniałej sytuacji.

- Cwaniaczek z niego, nie? - powiedział starszy do młodszego, nie otrzymując odpowiedzi. - Panie Wolny, nasza wizyta rzeczywiście nie ma w pełni oficjalnego charakteru, jednak lada chwila może taki przybrać. Póki co, chcę tylko panu przekazać numer do pewnego człowieka, który chciałby się z panem spotkać, w pilnej sprawie. - po tych słowach wręczył mi wizytówkę z nieznanym mi nazwiskiem i zaczął zmierzać w kierunku samochodu. Otwierając drzwi krzyknął:

- Ma pan czas do jutra!

4.

Spoglądałem na odjeżdżający policyjny samochód i w głowie mej pojawiało się coraz więcej pytań. Odpowiedzią na większość z nich wydawała się być porysowana płyta. Pobieglem więc do pokoju w którym leżała nietknięta od momentu, gdy z nerwów rzuciłem ją na półkę. Zapaliłem lampę, by mieć jak najlepszy widok na czarny krążek i postanowiłem przyjrzeć mu się ze wszystkich stron. Wędrowałem oczami po każdym milimetrze okładki, na której nie znalazłem nic, oprócz rzekomego autografu Boba Dylana, który już na pierwszy rzut oka był oszustwem. Następnie badałem płytę, śledząc wzrokiem wszystkie specjalnie zrobione rysy, które tylko z początku wydawały się być przypadkowe. Lewą dłonią sięgnąłem do dębowej szafki, z której wyjąłem kartkę. Drugą ręką skierowałem płytę pod światło, z szuflady dobyłem długopis i pomimo praworęczności - dłonią lewą zapisałem wiadomość, którą zostawił dla mnie poprzedni właściciel płyty.

Andrzej Buchnowicz, tak brzmiało nazwisko na wizytówce otrzymanej od przemiłego i przeuroczego pana policjanta. W głowie wirowały mi setki nazwisk i profesji, jednak pana Andrzeja nie potrafiłem umieścić na żadnej z półek. Nie tylko nie miałem najmniejszego pojęcia, w którym kościele dzwonią, ja w ogóle nie słyszałem dzwonów. Pewne było jedno - to wszystko pachniało zagadką, a mały Filip nie lubi zagadek. Mały Filip nie musi wiedzieć wszystko i wszystko mieć jasne. W życiu wyzna-

wałem zasadę, że jeśli masz dobijać z kimś targu, najlepiej zrób to z osobą, której towarzystwo sprawia ci przyjemność. Odszukałem więc numer Dagmary i wystukałem go na swoim telefonie komórkowym. Po odczekaniu kilku sekund usłyszałem przyjemny kobiecy głos:

- Dagmara, słucham?

- Witam, ja nazywam się Wolny i mieliśmy przyjemność odbyć dzisiaj krótką pogawędkę, którą wspominam bardzo miło - powiedziałem, aby dziewczę nie miało wątpliwości, z kim rozmawia.

- Bardzo się cieszę, że zadzwoniłeś - odparła. - Oddasz mi, co moje?

- Wpierw chciałbym spotkać się i porozmawiać. Może być za godzinę? - zapytałem, chociaż miałem pewność, że jest w stanie spotkać się choćby zaraz.

- Dobrze. Odpowiada restauracja McDonald's? zaproponowała Dagmara, wybierając najgorsze z możliwych miejsc.

- Myślę, że tam nikt nie będzie nas szukał.

- Oczywiście, że odpowiada - odparłem.

- Uwielbiam Big Maca, a frytki, które tam podają, są wprost wyborne i przypominają mi najlepsze francuskie restauracje.

- Nie żartuj - powiedziała nieprzyjaźnie moja rozmówczyni. - Lepiej oddaj mi to co powinienesz, bo to nie twoja sprawa.

- Zainteresowałem się nią - zakończyłem rozmowę.

Nie przebierając się, nie robiąc nic w kierunku poprawienia swojej prezencji, ani nie wykonując żadnych, najmniejszych nawet czynności higienicznych, udałem się do pokoju rodziców, których zapewniłem o pomyśle policji i poprosiłem o pożyczenie samochodu. Po kilku minutach siedziałem za kierownicą Peugeota 607 i mknąłem w kierunku wodzisławskiego McDonalda. Jadąc drogą w kierunku Jastrzębia Zdrój, wjechałem na rondo, tuż przy którym znajdowało się miejsce docelowe mojej wędrówki. Rzuciłem okiem na zegarek i z układu wskazówek wywnioskowałem, że mam jeszcze około pół godziny, zapaliłem więc papierosa i delektując się trującym dymem pełnym substancji smolistych rozglądałem się wkoło. Po zakończeniu przyjemnie bezsensownej czynności, przekroczyłem próg tego czegoś, co z dziwnych przyczyn zwano restauracją i rozsiadłem się przy wolnym stoliku w kącie sali. Po dziesięciu minutach wreszcie ją zobaczyłem. Weszła z właściwą sobie gracją, zmierzając w mo-

im kierunku. Ubrana w taki sam sposób jak przed paroma godzinami, wydawała się być jednak piękniejsza. Może mój umysł, tak stęskniony kobiecego ciała płatał mi figle, a może rzeczywiście piękniała z każdą minutą. Usiadła naprzeciw mnie i założyła nogę na nogę, tak bym mógł swobodnie obserwować jej opięte w żółte rajstopy kolana. Patrzyłem w jej nieziemskie oczy i przemówiłem:

- Chciałem ci zamówić cheeseburgera, jednak nie wiedziałem, czy jadasz mięso w piątki.

- Proszę cię - powiedziała Dagmara. - Nie żartujmy sobie, tylko przejdźmy do rzeczy. Masz?

- Przejdźmy do rzeczy - odparłem. - Więc słucham cię, Dagmaro kasztanowłosa, o co tutaj chodzi?

- To nie jest twoja sprawa!

- Hmm... Właśnie mi się przypomniało, że na wiadomość o śmierci Fojcika wyrzuciłem to, co od niego dostałem - powiedziałem spokojnie, patrząc jej głęboko w oczy. W oczy, za które można by zginać.

- Dobrze... - oznajmiła piękna Dagmara. - Powiem ci, o co chodzi. Dwa tygodnie temu zaginęła moja siostra. Policja szukała wszędzie i nie znalazła żadnych, najmniejszych nawet śladów. Moja mała Dominika... - głos zaczął jej się załamywać. - Miała zaledwie szesnaście lat. Ja jednak podejrzewałam od początku, że miała jakieś kłopoty i że jej zaginięcie nie jest przypadkowe. Obiecałam sobie, że zrobię wszystko by ją odnaleźć. Po śmierci rodziców opiekowałam się nią... Ja mam tylko ją, a ona tylko mnie. Wypytywałam znajomych, koleżanki, i weszłam gdzie się dało, dowiedziałam się, że za tym wszystkim może stać jakiś senator, czy ktoś taki. Nie wiem tylko, co miałoby go łączyć z Dominiką. - Dagmara wciąż mówiła, a mnie rozjaśniło się w głowie nazwisko Andrzeja Buchnowicza, senatora Andrzeja Buchnowicza. - Nie ma teraz sensu wyjaśniać, jak trafiłam do Fojcika, ale wiem, że miał coś, co mogłoby pomóc ją odnaleźć. Teraz rozumiesz? Od tego może zależeć życie mojej siostry! - już niemal krzyczała piękna moja towarzyszką.

- Rozumiem cię maleńka - odparłem z pełną nonszalancją. - Tak się dziwnie składa, że jestem dobry w odnajdywaniu rzeczy, więc z ludźmi też nie będę miał problemu. Z natury bywają więksi niż rzeczy i trudniej ich ukryć. Pomogę ci... ale w zamian za romantyczny wieczór, gdy będzie już po wszystkim. Więcej to dla

mnie warte niż stowa dziennie plus zwrot kosztów. Stoi?

Dagmara przytaknęła, a w oczach jej zauważyłem sympatię. Kazałem jej udać się spokojnie do domu, a sam obiecałem wkrótce do niej zadzwonić. Oczywiście, że natychmiast w głowie mej pojawił się obraz dziewczynki z plakatu, zaginionej przed dwoma tygodniami. Wiedziałem już, o co chodzi w tym wszystkim. Drażniło mnie tylko, dlaczego z każdą odpowiedzią pojawiała się więcej pytań. Zainteresowanie policji tą sprawą było bardziej niż śmierzące, a poza tym wiedziałem, że Dagmara nie powiedziała mi wszystkiego. Tak bywa z pięknymi kobietami, wiesz tylko tyle, ile chcą, abyś wiedział.

Odczekałem chwilę zbierając myśli, po czym wyjąłem z kieszeni wizytówkę i wykręciłem numer do pana Buchnowicza. Przedstawiłem się grzecznie kobiecie, która odebrała i umówiłem się z panem senatorem na godzinę jedenastą dnia następnego w jego biurze. Dzień powoli zaczynał się przeistaczać w noc, a ja nie miałem ochoty bawić się w grzecznego chłopca i iść spać. Udałem się na ulicę Wałową, postawiłem samochód na parkingu w pobliżu popularnej pizzerii i poszedłem na miejsce zbrodni. Dotarłszy pod budynek, w którym jeszcze do niedawna jednym z lokatorów był pan Fojcik, poczułem, że po kilku godzinach poruszenia miejsce wróciło do swojego normalnego, monotonnego życia. Ot, zwyczajna sprawa... od czasu do czasu komuś się umrze i tyle. Kocham cię, znieczulico ogólnonarodowa. Wszedłem do budynku i udałem się na piętro na którym mieszkał stary krawiec. Zapukałem do drzwi obok i odczekałem chwilę, po czym usłyszałem dźwięk przekręcanego klucza. Przed moim obliczem stanęła kobieta przypominająca klon ludzika z reklam opon Michelin. Różniła się jednak tym, że w porównaniu do charakteru, to uroda była jej mocniejszą stroną. Postanowiłem szybko się przedstawić nim zdąży zatrzaskać mi drzwi przed nosem lub pomylił mnie z kebabem w cieście i postanowi skonsumować.

- Dobry wieczór pięknej damie - zacząłem.

- Nazywam się Mariusz Nowak i przyszedłem odebrać spodnie do krawca obok, nie wie pani dlaczego nie ma go w domu?

- Pan żeś się z choinki urwał? - zapytała pani Opona. - Starego Fojcika dzisiaj rano znaleźli zimnego jak zadek morsa! Podobno to ktoś mu nawet pomógł się przenieść na tamten świat. Mówili tak.

- Kto tak mówił, najłaskawsza królewno?- zapytałem szczerzącęby.

- No milicja! Panie, ja żem tu pana widziała wczora wieczorem! - odparła, co mnie nie zaskoczyło. - A potem to jeszcze jakaś para tu wlaźła, ona kobitka pikna dość i facet taki nijaki. Toście wy wszyscy wykończyli go, boście łazili za nim i mu dupę zawracali, a chłop po zawale już był i tylko spokoju mu trza było! - krzyczała i gestykulowała powabna rusalka z nadwagą. Pomyślałem chwilę i wyjąłem z kieszeni stużłotowy banknot, a następnie włożyłem go grubasce do kieszeni fartucha. Spojrzała na mnie pytająco, a ja powiedziałem:

- Skarbenku ty mój, a możesz mi jeszcze powiedzieć, czy Fojcik miał jakichś krewnych?

- Syna miał, fotografa, łązega taki straszny z niego był! Ale taka tragedia! W zeszłym tygodniu wypadł z okna na osiedlu XXX lecia! Ależ ten Fojcik stary płakał! Potem poznośił do domu pudła z jego rzeczami, starocie jakieś, na które ten syn pieniądze wydawał! Aj, panie, co za tragedia! - zawyrokowała gospodyni.

Podziękowałem mojej otyłej królewni i opuściłem dom przy ulicy Wałowej, udając się do domu rodziców na wieczorną kontemplację i odpoczynek. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy, jednak wciąż nie wiedziałem najważniejszego: po co to robię.

5.

Biuro senatorskie znajdowało się przy ulicy Bogumińskiej, a ja, zmierzając tam, mogłem obserwować stadion miejscowego klubu piłkarskiego, który z niewiadomych przyczyn wciąż utrzymywał się w najwyższej klasie rozgrywkowej w kraju. Przechodząc jednak do konkretów - znalazłem się w biurze senatora Buchnowicza i oczekiwałem na przyjęcie, obserwując śliczną sekretarkę, której mocną stroną z pewnością nie było parzenie kawy. Widać jednak było, że posiada wiele innych zalet, szczególnie dwie, bardzo duże zalety. Po chwili drzwi prowadzące do gabinetu pana senatora otworzyły się, a ja dostałem łaski postawienia mojej stopy na szarej wykładzinie, tej samej po której stąpał pan senator i na której zapewne pan senator z panią sekretarką czasami omawiali sprawy wagi państwowej.

Andrzej Buchnowicz był otyłym mężczyzną, a na głowie jego

trudno było dopatrzyć się jakichkolwiek włosów. Ze swoją gębą cwaniaczka sprawiał ogólnie niesympatyczne wrażenie człowieka, który potrafił bardzo łatwo przestawić się z jednego ustroju politycznego na drugi. Zgodnie z moimi przeczuciami, w jego gabinecie oprócz naszej dwójki, znalazła się także para znajomych mi policjantów lub ludzi za policjantów się podających. Pan Buchnowicz swoją senatorską dłonią dał mi znak, abym spoczął na skórzanym fotelu i poczęstował mnie cygarem, którego oczywiście nie odmówilem. Na biurku pomiędzy nami znajdowała się butelka koniaku i dwa pełne kieliszki. Z tego poczęstunku twardo zrezygnowałem, mając na uwadze zaparkowany niedaleko samochód. Pan Andrzej przemówił w końcu swoim senatorskim głosem:

- Panie Filipie, nie mam zamiaru owijać w bawełnę. Wiem, że pańska rodzina to ludzie interesu, mam zatem nadzieję, że pan także. Moje pytanie brzmi więc - ile?

- Panie senatorze... - zacząłem. - Czy mógłby pan rozwinąć swoje pytanie, gdyż słowo „ile” nie mówi mi zbyt wiele. Wołałbym raczej usłyszeć od pana w jakiej sprawie miał pan ochotę spotkać się ze mną. Czy mogę w jakiś sposób przysłużyć się władzy? Czy nasz naród jest w niebezpieczeństwie? Bo cóż tak dostojna i poważana osobistość jak pan, może chcieć od takiego robaczka jak ja?

Pan senator uśmiechnął się i pokiwał głową, chociaż dobrze wiedziałem, że rozmowa ze mną nie sprawia mu przyjemności. Popatrzył mi w oczy i powiedział:

- Skoro tak, to postawię sprawę jasno. Proszę mi oddać to, co wyniósł pan z mieszkania tego szewca, czy kim on tam był. Obiecuję panu, że w zamian za pomoc otrzyma pan sowite wynagrodzenie. Jaka jest więc pańska cena?

- Moja cena? - zapytałem drapiąc się po brodzie.

- Panie senatorze, z łaski swojej... proszę mnie pocałować w mój tyłek i liczyć na to, że mi się odwidzi i postanowię to panu dać. Póki co to śpieszę się na koncert bułgarskiego kwartetu smyczkowego i prosiłbym także, aby nie przysyłał już pan więcej tych dwóch pajacyków bo straszą moją mamę i biedaczka spać nie może w nocy.

Rzuciłem wyzwanie, dałem do zrozumienia, że jestem i dowiem się o co wam wszystkim chodzi, choćby tylko po to, aby widzieć minę tego obleśnego faceta. Zdenerwowany Buchnowicz wstał i opuścił biuro zostawiając mnie z dwójką jego towarzyszy,

którym zdążył jeszcze kiwnąć głową i tyle go widziałem.

- Panowie, zostaliśmy sami! - powiedziałem siląc się na dowcip. - Może w takim razie pogramy sobie w tysiąca? Jestem pewien, że pan senator musi mieć tutaj gdzieś karty.

W odpowiedzi otrzymałem dwa solidne uderzenia pięścią w brzuch i jeden potężny cios w szczękę, po którym wypłułem dwa ze swoich zniszczonych nikotyną zębów. Jeden z ludzi Buchnowicza podniósł mnie i poinformował, że jutro o tej porze mam się tutaj pojawić z wiadomym przedmiotem. W przeciwnym razie nie będą już się ze mną pieścić. Po zakomunikowaniu tych słów wyrzucili mnie za drzwi. Zwijając się z bólu doszedłem do samochodu i wsiałem do środka. Zobaczyłem swoją zakrwawioną twarz w lusterku i uśmiechnąłem się bo zdałem sobie sprawę z kluczowego faktu w tej rozgrywce - tylko ja wiem, że chodzi o płytę winylową. Wiedziałem, że nadszedł czas, aby zacząć rozdawać karty.

Przejmowanie pałeczki rozpocząłem od wizyty na osiedlu XXX lecia w Wodzisławiu Śląskim. Początkowo przyszło mi do głowy, aby odszukać mieszkanie należące do Fojcika juniora. Z pomysłu tego jednak szybko zrezygnowałem. Wiedziałem wszak, że wszystkie cenne rzeczy znajdują się w mieszkaniu krawca. Najcenniejszą jednak z rzeczy miałem ja. Pogrzebałem w kieszeni płaszcza i wyciągnąłem kartkę, na której zapisałem tajemniczo brzmiący ciąg znaków z płyty. Teraz już tajemnica zaczynała znikać. Byłem pewien, że 13/35 to numer bloku i mieszkania, a Jan to pewnie właściciel lub lokator. Odnalazłem więc mieszkanie o takim numerze i zadzwoniłem do drzwi. Z lokalu rozległ się odgłos imitujący ćwierkanie ptaków. Roześmiałem się. Był to taki sam dzwonek jaki w domu mieli rodzice, gdy byłem młodszy. Po parunastu sekundach drzwi otworzyły się i przede mną stanął dwudziestokilkuletni chłopak z dużymi czarnymi okularami na nosie. Zapytał o co chodzi.

- Ja do pana Janka - odparłem spokojnie.

- Tu nie mieszka żaden pan Janek - powiedział przestraszony chłopak.

- Domyślałem się, ale pewnie pan wie o co chodzi. Mam rację? - zapytałem pewny siebie.

Chłopak rozejrzał się dokoła i wpuścił mnie do środka. Mie-

szkanie było małe, lecz schludnie urządzone. Na stoliku w pokoju gościnnym leżała szklana lufka służąca młodzieży do palenia marihuany. Mój młody gospodarz nie przejmując się moją obecnością podniósł lufkę i spokojnie ją zapalił, wypuszczając dym prosto w moją twarz. Po skończeniu tej czynności wstał i udał się do innego pokoju, z którego przyniósł pudełko po butach. Przekazał mi pudło i uczynił głową znak, że nadszedł czas, abym opuścił jego siedlisko. Nie przejmując się tym zbytnio zapytałem:

- Mama wie, że zdarza ci się łamać prawo?

- Myślę, że dostał pan to co chciał, więc możemy się już pożegnać - odparł spokojnie chłopak.

- Nie jestem pewien... - powiedziałem i wyciągnąłem z kieszeni telefon. - Powiedzmy, że w poczuciu obywatelskiego obowiązku zadzwonię na policję i poinformuję ich, że w tym właśnie lokalu ma miejsce handel nielegalnymi środkami. Myślę, że nie byłbyś zbytnio zadowolony z takiego rozwoju sytuacji.

Popatrzył na mnie i wzruszył ramionami.

- Czego zatem pan chce? - zapytał. - Wiem niewiele.

- Chciałbym głębiej poznać historię tego pudła - odpowiedziałem i zapaliłem papierosa. - Wydaje mi się, że jest jakiś powód, dla którego znalazło się ono u ciebie. Czyż nie mam racji?

Chłopaczek rozsiadł się wygodnie, pociągnął ze swojej lufki i zaczął opowiadać.

- Wie pan, czym się zajmuję. Pan nie jest pies, ale wiem, że od pierwszej chwili gdy pan zobaczył mnie to wiedział, że handluję. Jakoś na czesne trzeba zarabiać... Pudło? Należało do nieboszczyka Fojcika, co mieszkał niedaleko. Przychodził do mnie czasem na małe zakupy, mówił, że mu pomaga się rozluźniać, ale to nie moja sprawa. Jakiś tydzień temu przyleciał do mnie cały wystraszony z tym oto pudłem. Poprosił mnie o przechowanie i dał mi stówkę. Zastrzegł, że mam dać to osobie, która zapyta o pana Janka. Pomyślałem wtedy, że co to za debilny pomysł z tym panem Jankiem? Ale ja to nie wiem, nie interesuję się tym, więc wrzuciłem pudło pod szafę i nawet do niego nie zaglądałem. Dzień później Fojcik wypadł z okna... czy zeskoczył... sam nie wiem...

- Czy mówił coś jeszcze? - zapytałem, a następnie na stoliku położyłem sto złotych.

- Czy mówił? - zamyślił się student, w tym samym czasie

sięgając ręką po pieniądze.- On w zasadzie mało mówił. Czasami tylko pogadaliśmy co słyhać, ale ogólnie mało. Pytał się mnie tuż przed śmiercią, czy nie znam jakichś ludzi co kolekcjonują płyty, ale skąd ja miałbym niby znać? A kręcił się z taką jedną laską, mówię panu, taka ostra, że się dziwiłem...

- Dobrze - przerwałem mu. - Dziękuję za pomoc.

Opuściłem mieszkanie młodego diler'a i trzymając pudło pod pachą udałem się do samochodu. Wiedziałem już, że cynk o płycie dostałem od młodego Fojcika, któremu najwyraźniej zależało na tym, by ktoś spoza jego środowiska poznał pewną tajemnicę. Zatem młody Fojcik wiedział, że długo już nie pociągnie. Wizja przypadkowego wychylenia się przez okno nie wchodziła w grę.

Siedząc wygodnie w samochodzie wziąłem pudło na kolana i zajrzałem do środka. Wewnątrz była brązowa koperta. Nie zwlekając ani chwili rozerwałem ją i oczom moim ukazały się zdjęcia i list. Zdjęcia przedstawiały młodą dziewczynę w towarzystwie pana senatora Buchnowicza. Zrobione były z ukrycia i prezentowały ich w dość intymnej sytuacji. Dziewczyną była Dominika Matuszczyk.

Czytanie listu odłożyłem na później, chciałem być w miejscu, gdzie nikt mi nie przeszkodzi. Kolejne elementy układanki zaczynały się dopasowywać. Młody fotograf zrobił zdjęcia znanego polityka w towarzystwie niepełnoletniej kochanki i pewnie chciał go szantażować. Ten z kolei chciał pozbyć się dowodów oraz świadków zdarzenia i mamy wszystko jasne. Oczywiście wiele elementów nie pasowało do tych klocków, dlatego postanowiłem się dowiedzieć wszystkiego. Zacząłem odczuwać pewnego rodzaju obsesję, chęć posadzenia za kratki senatora, którego widok przyprawiał mnie o mdłości. Wiedziałem, że będzie to trudne ale chciałem to zrobić dla niej. Dla osoby, której obraz wciąż pozostawał w mojej głowie. Obraz kobiety idealnej, która potrzebuje pomocy. Zapragnąłem więc przywrócić etos rycerstwa i pokazać damie, że są ludzie, na których można liczyć.

Przyjechałem do domu i z kopertą w dłoni poszedłem do ogrodu, który prezentował się ponuro, podobnie zresztą jak wszystko wokoło otoczone zimową aurą. Rozglądałem się i ujrzałem dąb, który stał w tym miejscu odkąd pamiętam. Podszedłem do niego i bez problemu znalazłem dziuplę, w której w dzieciństwie zdarzało mi się chować moje małe skarby.

Wsunąłem tam kopertę, uprzednio wyciągając z niej jedno zdjęcie. Przyjrzałem się jeszcze postaci senatora ze spuszczonymi spodniami i młodej dziewczynie, która nie wydawała się być do niczego zmuszana. Następnie udałem się do łazienki, aby przyrzeć się sobie w lustrze. Wargi wciąż były zakrwawione a dziąsła bolały mnie pewnie tak samo, jak Andrzeja Gołotę po kilku słynnych walkach. Spędziłem kilka minut próbując doprowadzić się do porządku, a następnie zadzwoniłem do Dagmary.

Tym razem umówiliśmy się w Wodzisławskim parku, znajdującym się tuż obok dworca autobusowego. Kiedy przybyłem na miejsce, kobieta idealna czekała już na mnie krocząc zaśnierzonymi ścieżkami. Pomachałem jej na przywitanie, na co ona odpowiedziała pięknym uśmiechem.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytała.

- Niezbyt wiele - mruknąłem.

- Wiem tylko, że rzeczywiście w tej sprawie macza palce znana osobistość.

Po krótkich słowach wstępu pokazałem Dagmarze zdjęcie, które ku memu zaskoczeniu nie zmieniło jej wyrazu twarzy. Przyglądała mu się w ciszy, a po chwili zapytała skąd je mam.

- Powiedzmy, że od człowieka, który niewiele nam już pomoże - odparłem siłąc się na uśmiech. - Pewien człowiek zrobił zdjęcia panu senatorowi i dlatego zginął. Pytanie tylko - jak wpadł na ten trop?

Piękna moja towarzyszka nic nie mówiła, przyglądała się tylko moim oczom i nagle, bez wyraźnej przyczyny pocałowała mnie w usta. Delektowałem się jej smakiem przez chwilę, po czym odsunąłem ją od siebie i spojrzałem jej w oczy.

- Przepraszam... - wyszeptała.

- Tyle dla mnie robisz i widzę, że dobry z ciebie człowiek. Myślę, że zanim wszystko się skończy zdążę się już w tobie zakochać.

Zaskoczenie prawie odebrało mi rozum. Chciałem krzyczeć z radości i chwalić Pana. Jednak moje nawrócenie musiało jeszcze poczekać, gdyż kątem oka ujrzałem obserwującego nas pieska na smyczy pana senatora. Tego, który był tak rozmowny w ogrodzie moich rodziców. Pożegnałem Dagmarę i kazałem czekać na telefon. Patrzyłem jak odchodzi, a tuż za nią ruszył człowiek, przez którego straciłem zęby. Począłem chwilę i ruszyłem za

nim. Śledził kobietę, która przed paroma minutami okazała mi wdzięczność w wyjątkowy sposób, a sam nie miał pojęcia, że może być śledzony. Szedł w kierunku kina i domu kultury, mijając pocztę i wodzisławskie muzeum. Przyśpieszył i dogonił Dagmarę, co wcale jej nie zdziwiło i od tego momentu szli już razem, razem także wsiadając do zielonego Fiata Punto zaparkowanego na pobliskim parkingu.

Wróciłem do domu i spokojnie wyjąłem kopertę z dziupli. Wyciągnąłem list i resztę schowałem z powrotem. Rozsiadłem się w fotelu w pokoju gościnnym i racząc się należącym do ojca whiskey, czytałem co też chciał powiedzieć mi zza grobu fotograf denat.

6.

Nigdy nie lubiłem nadmiaru wiedzy. Im człowiek rozumie mniej, tym spokojniej śpi i mniej boli go głowa. Moja głowa pękała już od wszystkiego czego się dowiedziałem. W nocy nie zmrużyłem oka wiedząc, że pewnie z samego rana odwiedzą mnie dwie osoby, które będą chciały ubić ze mną interes. Lub w ostateczności ubić mnie. Po liście, który był dla mnie oświeceniem nie zostało już zupełnie nic, miałem jednak możliwość obserwowania jak płonie w koszu na śmieci. Zdjęcia spaliłem również, zostawiając sobie jedno, które włożyłem do kieszeni i zadzwoniłem do Dagmary. Umówiłem się z nią o trzynastą na placu kościelnym przy ulicy, a jakże - Kościelnej. Oczekując wielu ludzi o tej porze, była przecież niedziela, miałem na myśli zapewnienie sobie bezpieczeństwa. Następnie zadzwoniłem do pana senatora i powiedziałem mu, że jeżeli dalej chce dobijać targu, to oczekuję go osobiście w tym samym miejscu co Dagmary, jednak godzinę wcześniej.

Zjadłem śniadanie i rozpocząłem przeszukiwanie domu. Po godzinie znalazłem to, czego szukałem - rewolwer ojca. Leżał sobie spokojnie w pudle na dnie szafy z ubraniami należącymi do matki. Wembley & Scott kaliber 38. Wiedziałem, że ojciec posiada go bezprawnie i zapewne nigdy z niego nie strzelał. Pomimo to w pudle znalazłem także naboje, które załadowałem do magazynku. Schowałem broń do kieszeni płaszcza i udałem się samochodem ojca w wiadome miejsce. Przyjechałem znacznie wcześniej, lecz był to mój zwyczajny objaw zdenerwowania.

Czekałem zatem ponad godzinę w samochodzie, próbując zebrać swoje myśli i poukładać wszystko raz jeszcze. Kiedy zegar pokazał kwadrans przed dwunastą stanąłem na placu kościelnym i w tłumie wiernych próbowałem wypatrzyć pana senatora lub któregoś z jego ludzi. Po kilku, lub kilkunastu minutach poczułem coś twardego, przyłożonego do moich pleców.

- Nie odwracaj się - usłyszałem znajomy głos stróża prawa na usługach Buchnowicza.

- Gdzieżbym śmiał - odparłem. - Nie wstyd ci tak? Pan senator z prawicowej partii, a ty pistoletem wywijasz pod kościołem?

- Zamknij się i idź prosto - uciął pogawędkę mój towarzysz.

Stawiałem więc powoli kroki, czując broń na wysokości swoich nerek. Kazał skrócić mi w prawo, gdzie stał zaparkowany czarny mercedes należący do Buchnowicza. Drzwi otworzyły się i zaproszony wsiadłem do środka. Senator Andrzej Buchnowicz wydawał się być zdenerwowany, siedział z założonymi rękami i obracał swoje kciuki wokół własnej osi. Siedział z przodu na miejscu pasażera, kierowcą był poznany przeze mnie już wcześniej niemy policjant. A mój ulubiony towarzysz rozmów usiadł obok mnie, celując mi prosto w głowę.

- Schowaj tę pukawkę, misiu, bo może się okazać, że wydali wam ostrą amunicję i komuś stanie się krzywda poinformowałem go robiąc durny uśmiech.

- Dość już - wykrzyknął pan senator.

- Ja naprawdę nie mam czasu ani ochoty na zabawę. Sądzę, że wie pan o co chodzi, dlatego wypada mi tylko prosić o zrozumienie - sposób w jaki mówił, wskazywał na szczerość.

- Ja nie jestem świętym, ale chyba nikt nie jest - ciągnął. - Chcę tylko, aby oddał mi pan zdjęcia, bo wnioskuje, że są u pana.

- Oczywiście, że nie jest pan świętym - odparłem spokojnie. - Tylko dla czego musiał się pan pozbyć tej małej?

- Nikogo się nie pozbyłem! - krzyknął na mnie Buchnowicz. -

Dominika zniknęła tuż po tym, gdy nie chciałem już dłużej płacić tym szantażystom!

- Ależ oczywiście! - zakomunikowałem i roześmiałem się. - Pan przecież nic nie wie! Pan tylko dobrze się zabawiał z młodą dziewczyną i myślał, że ujdzie mu to na sucho! Ale okazało się, że pański cyngiel, który mam nadzieję nie jest prawdziwym policjantem, miał powody, by jej się pozbyć.

Senator aż podskoczył na swoim fotelu, a następnie spojrzał

na mnie i na siedzącego obok mnie psa. W oczach jego widziałem furję. Twarz przybrała czerwoną barwę i zaczął krzyczeć coś po adresem mnie, pozostałych pasażerów, Boga i całego świata. Sięgnął do schowka, z którego wyciągnął broń i odwracając się wymierzył w mężczyznę siedzącego obok mnie. Rzucił jeszcze pod jego adresem kilka wulgarnych słów, jednak nie zdążył pociągnąć za spust. Wystrzelił natomiast pistolet, który jeszcze niedawno miałem za sobą. Kula trafiła w głowę senatora, rozbryzgując krew na tapicerce pięknego mercedesa. Kierowca, będąc w szoku nie dał rady wyciągnąć swojej broni i kolejna kula trafiła właśnie w niego. Wszystko to trwało kilka sekund i wiedziałem, że teraz już nikomu nie będą potrzebne zdjęcia i ja będę następny. Dla niego byłem jednak zwykłym śmieciem, który nie pracował dla nikogo i z powodu dziwnych kolei losu znalazł się w epicentrum wydarzeń. Dlatego przedtem mnie nie przeszukał i nie domyślił się nawet, że mogę mieć przy sobie broń. W tym samym momencie w którym kula trafiła kierowcę samochodu, wyciągnąłem rewolwer z kieszeni i skierowałem go w twarz siedzącego obok mnie. Zamknąłem oczy i wystrzeliłem.

Po kilku sekundach, które wydawały się trwać co najmniej trzydzieści lat, otworzyłem oczy. Zobaczyłem obok siebie wiele krwi oraz zmasakrowaną twarz człowieka, który przed chwilą chciał mnie zabić. Dotknąłem swojej twarzy i czułem, że także na niej znajduje się krew. Schowałem rewolwer do kieszeni i chciałem jak najszybciej wybiec z samochodu, zanim jednak to zrobiłem, sięgnąłem do kieszeni najświeższego z denatów i wyjąłem jego portfel. Znalazłem tam odznakę policyjną i poznałem w końcu tożsamość tego przeuroczego człowieka. Młodszy Inspektor Policji Robert Burda. Przez głowę przeszło mi wiele myśli, między innymi ile dostawał za dorabianie sobie po godzinach oraz czy do końca wiedział, co robi. Jednak słysząc syreny policyjne uciekłem z samochodu i pobiegłem w kierunku Peugeota rodziców. Usiadłem za kierownicą i odjechałem czym prędzej. Przyjechałem do domu i zmyłem z twarzy krew pana młodszego inspektora oraz włożyłem na siebie starą kurtkę narciarską, którą znalazłem w szafie. Po odczekaniu chwili zadzwoniłem do Dagmary.

- Lepiej się zwijaj stamtąd, maleńka - powiedziałem. - Czekaj na mnie za pół godziny na parkingu na starym targowisku.

Kiedy dotarłem na miejsce, zobaczyłem ją palącą niecierpliwie papierosa. Na mój widok przybiegła w moją stronę i kiedy tylko opuściłem samochód, przytuliła mnie.

- Bałam się o ciebie... - powiedziała zdenerwowana. - Podobno była jakaś strzelanina i zginął senator Buchnowicz. Policja nie wie, kto to za tym stoi.

- Niepotrzebnie się bałaś o mnie, złotko - odparłem, wciąż ją przytulając. - Czy chcesz może coś mi powiedzieć, zanim zacznę?

Spoglądała na mnie w zdziwieniu, a ja, wciąż ją przytulając, włożyłem rękę do kieszeni jej płaszcza. Wyjąłem stamtąd nóż, którym śmiało mogła zrobić kilka solidnych wcięć w moim ciele. Była zbyt roztrzęsiona, by się zorientować, rzuciłem go więc na śnieg, tuż za nią. Odsunąłem ją nieco od siebie i przyglądałem się jej twarzy w milczeniu. Była nieziemsko piękna. Była kobietą, dla której mężczyźni chcieli zrobić wszystko i marnie na tym wychodzili. Wziąłem głęboki oddech, a następnie włożyłem rękę do spodni w poszukiwaniu papierosów. Wyjąłem jednego i zapaliłem zaciągając się bardzo głęboko. Trzymając papieros w lewym kąciku ust powiedziałem:

- Senator został zastrzelony przez policjanta, którego opłacał. Wyszło to zupełnym przypadkiem, gdyż to Buchnowicz był agresorem. Wściekł się, gdy przypadkiem wygadałem, że młodszy inspektor Burda zabił twoją siostrzyczkę. Zastanawiałem się tylko, dlaczego miałby to zrobić? Wiesz może? - zapytałem, zaciągając się kolejny raz bardzo mocno. - Już wkrótce wszystko ci wyjaśnię - ciągnąłem. - Twoja siostra była młodą dziewczyną, jednak bardzo ładną i dojrzałą jak na swój wiek. To chyba u was rodzinne, mam rację? Maleńka, nie szlochaj bo na to przyjdzie dopiero czas. To jak słuchasz mnie? To słuchaj uważnie - mówiłem, a Dagmara trzęsła się ze strachu. - Dominika poznała senatora Buchnowicza dzięki tobie prawda? Byłaś z nim w związku i utrzymywał cię, płacąc ci całkiem spore pieniądze. Nie mogliście być oficjalnie razem, miał on przecież żonę i był szanowanym politykiem. Kiedy jednak poznał twoją siostrzyczkę zupełnie dla niej zwariował. Utrzymywali stosunki przez pewien czas w tajemnicy przed tobą. W końcu zerwał z tobą myszko, płacąc ci kupę kasy za milczenie. Słuchasz mnie? - kontynuowałem swój wywód, obserwując reakcję Dagmary. - Ty oczywiście dowiedziałaś się o ich romansie i nie mogłaś tak tego zostawić. Zagrałaś na dwóch frontach, uwodząc młodego fotografa, oraz

policjanta, którego znałaś, bo zapewne nie raz zawoził was na schadzki.

- Dość! - krzyknęła Dagmara. - Ty nic nie wiesz! Nie masz prawa tak mówić!

- Złociutka, o prawie porozmawiamy za chwilę - spokojnie odparłem delektując się resztkami papierosa. - Jednak wiem co nieco, gdyż twój kochanek fotograf napisał list w nadziei, że znajdzie się ktoś, kogo ta sprawa zainteresuje. Pozwól zatem, że przybliżę ci moją wersję wydarzeń. Dzięki policjantowi wiedziałas, gdzie Buchnowicz zabiera twoją siostrę i wysłałaś tam Fojcika, który zrobił kilka kompromitujących senatora zdjęć. Szantażowaliście go, pieniędzmi dzieląc się w trójkę do czasu, kiedy senator postanowił przestać płacić i zająć się sprawą osobiście. Chcieliście wystawić zatem Fojcika i pozbyć się go jako świadka. Wcześniej jednak, powodowana kobiecą dumą i zazdrością, pozbyłaś się swojej siostry, dzięki której już dużo zarobiłaś. Fojcik wiedział o tym i przeczuwał, że będzie następnym - mówiłem coraz szybciej, a Dagmara przerażona, zaczęła grzebać rękami w kieszeniach.

- Maleńka, nie szukaj tam noża, bo rozbroiłem cię podczas naszego czułego przywitania. Pozwól mi skończyć. Burda pozbył się Fojcika wyrzucając go z okna, nie udało się mu jednak odzyskać zdjęć, które w wyniku zaginięcia Dominiki mogły jeszcze bardziej oczernić Buchnowicza. Stąd trafiłaś zatem do starego krawca, który wziął rzeczy syna, potem trafiłaś do mnie i tak Buchnowicz wpadł na mój trop. Teraz maleńka pozwolisz, że spytam - co zrobimy?

Przerażenie Dagmary było ogromne. Cała trzęsła się i belkotała coś pod nosem. W końcu powiedziała zrozumiale:

- Nie weźmiesz mnie! Nie dam ci się, rozumiesz? Policja nic mi nie zrobi! Nie mają dowodów! Sprytny jesteś i udało ci się dowiedzieć wszystkiego, jednak nic mi nie udowodnią! Nikt ci nie uwierzy!

Pod tych słowach Dagmary wyjąłem z kieszeni dyktafon i nacisnąłem przycisk stop. Widziałem łzy na jej twarzy i jej obłądny wzrok wędrujący wkoło. Wzrok pięknej, lecz obłąkanej z zazdrości kobiety. Widziałem, jak szukała drogi ucieczki i jak wypatrzyła wyjazd z parkingu. Obserwowałem gdy zaczęła biec po śniegu w kierunku jezdni i jak wskoczyła wprost pod nadjeżdżającego z ponad przepisową prędkością Volkswagena Golfa, z któ-

rego dobiegała głośna dyskotekowa muzyka. Widziałem młodego chłopaka, który wyszedł przerażony z samochodu i tłum ludzi, którzy w sekundzie znaleźli się na miejscu. Obserwowałem, karetkę, która opuszczała miejsce wypadku bez włączonego sygnału, spokojnie zmierzając prosto do kostnicy.

Dziesięć lat temu popełniłem błąd i pozbawiłem kogoś życia. Teraz chcę tylko istnieć w świecie swojej muzyki i mieć jak najmniej wspólnego z ludźmi. Zbieram rzadkie płyty winylowe i pokutuję za to co zrobiłem w przeszłości. Nazywam się Filip Wolny i tym się właśnie zajmuję.

*Podziękowania dla Marzeny Bonieckiej, Mateusza Stanka
i Sebastiana Krala za wsparcie, oraz dla Roberta Burdy
za użyczenie nazwiska.*



POŻAR W BAZIE WPK I CO Z NIEGO WYNIKŁO

Niczego nie podejrzewając, jak co dzień poszłam do pracy. Pracowałam na WPK, w barakach, stojących nad brzegiem „Sekwany”, jak przewrotnie nazywaliśmy ściek, płynący przez nasze miasto. Baraków nie było. Ściślej mówiąc były, ale w charakterze dopalających się zgliszcz. Panował chaos. Milicja i straż pożarna próbowały zapanować nad zamieszaniem, ale z mizernym skutkiem, ponieważ wyjątkowo nikt z pracowników nie spóźnił się do pracy i wszyscy chcieli wiedzieć co do cholery się dzieje. Stałam tak przez chwilę jak żona Lota i usiłowałam zebrać myśli. Po dłuższej chwili, kiedy dotarło do mnie, że to co widzę, dzieje się naprawdę, zaczęłam się rozglądać za jakąś znajomą twarzą. Znalazłam Alojza, który pracował w warsztacie.

- Panie Alojzu, dobrze, że pan żyje, co się stało, wie pan?
- Sama pani widzi, wszystko się sfajczyło.
- Jak to? Warsztaty też? Bo widzę, że lakiernia i nasza kanciapa.
- I warsztaty, tapicernia... Wszystko szlag trefił.

Ogarnęły mnie złe przeczucia. Pracowałam w lakierni razem z Edkiem i Stefanem. Właściwie nie w lakierni, tylko obok, w małej kanciapie, w której stał piecyk, ogrzewający oba pomie-

szczenia. Piecyk to może zbyt szumna nazwa dla tego urządzenia, pamiętającego pewnie I wojnę światową i noszącego dumnie nazwę „koza”. Nikt tego cholerstwa nie umiał rozpalać, z wyjątkiem Edka, lakiernika. Dlatego Edek przychodził do pracy najwcześniej. Zostawiłam Alojza i poszłam szukać współpracowników. W tym samym momencie wśród strażaków przeszukujących zgłiszczu wszczął się gwałtowny ruch. Zaczęto wołać pogotowie i milicję, zobaczyłam, jak strażacy wynoszą leżące na noszach ciało przykryte płachtą, więc musiał to być nieboszczyk. Poczulałam, jak robi mi się niedobrze. Zaraz potem znalazł mnie Stefan.

- Dobrze, że nic ci nie jest, chodź, idziemy do biura, kierownik na nas czeka.

- Ale... Edek... co z Edkiem?

- Jeszcze nic nie wiem, chodź, w biurze się pewnie dowiemy.

Biuro, razem z dyspozytornią i pomieszczeniem dla kierowców, mieściło się również w baraku, tyle że metalowym, oddalonym od naszych o jakieś 500 metrów. Kierownik już na nas czekał. Ciasno było niemożliwie, bo oprócz pań z biura, dyspozytorów i nas, pracowników technicznych, przyszli jeszcze wszyscy kierowcy, pracujący na ranną zmianę. Kierownik poprosił o spokój i oświadczył, że powiadomił już dyrekcję w Jastrzębiu i czeka na polecenia, w związku z czym my również mamy czekać, a dyspozytorów i kierowców prosi do siebie. Wszyscy zaczęli się przekrzykiwać i rejewach się zrobił niemożliwy.

- Niby na co mamy czekać?

- Wszyscy my som?

- Widzieliście? Kogoś wynieśli!

- Panie kierowniku, czy ktoś jest ranny?

Kierownik usłyszał ostatnie pytanie.

- Nic jeszcze nie wiem, dowiecie się wszystkiego od milicji - powiedział znękanym głosem, ale widziałam, że ręce mu się trzęsą. Zrobiło mi się zupełnie zimno w środku. Edek miał oryginalny sposób na rozpalać naszej „kozy”. Otóż najpierw wkładał węgiel, drewno i jakieś papiery (najczęściej gazety) na podpałkę, potem otwierał piecyk z góry i polewał wszystko naftą, której był u nas duży zapas. Potem wystarczyło tylko podpalić i ... bum! „Koza” wytrzymała, ale dekiel z komina często leciał w górę, co do białej gorączki doprowadzało kierownika, a mnie i Stefana do częstych spóźnień do pracy. Piecyk, raz rozpalony,

grzał nieźle. Spojrzałam na Stefana. Minę miał ponurą.

- Edka dzisiaj widziałaś? - spytał. Pokręciłam przecząco głową, bo do powiedzenia czegokolwiek nie byłam na razie zdolna.

- Niech to szlag... - jęknął.

W tym momencie do biura weszła milicja.

* * *

Więc jednak to Edka znaleziono w pogorzelisku... Edek nie żyje...

Jak to się stało?... Zastanawialiśmy się nad tym ze Stefanem, pijąc herbatę w pomieszczeniu, udostępnionym nam przez PKS. Niedługo dołączyła reszta pracowników.

- Musimy tu siedzieć? Nie możemy iść do domu? - narzekała pani Zosia, tapicer.

- Milicja musi nas wszystkich przesłuchać - odpowiedział jeden z kierowców, pan Tadek.

- Igrał, igrał, to i się doigrał - ktoś mruknął.

- Kto?

- No Edek! Lał tę naftę no i zrobiło się ognisko! Co teraz będzie z nami?!

- Poczkej, już nom znojdom robota. Bydziesz widzioł - odezwał się Alojz.

Zaczęły się przesłuchania. Milicja kolejno wywoływała pracowników. Siedzieliśmy w milczeniu i zastanawialiśmy się, co teraz będzie. Spalił się przecież zakład pracy, w którym wielu z nas przepracowało niemal pół życia. W wyniku pożaru stracił życie jeden z kolegów, ceniony i lubiany fachowiec. Przez głupi przypadek? Niedopatrzienie? Spojrzałam na Stefana, który siedział zamyślony. Przyjaźnił się z Edkiem od dawna, znał go chyba najlepiej ze wszystkich. Spojrzał na mnie:

- Wiesz, nie wierzę w to, że Edek spowodował ten pożar. Przecież nie był idiotą. Samobójcą też nie był. Coś mi tu nie pasuje...

Zauważyłam, że pan Tadek drgnął i zerknął na Stefana. Zastanowiło mnie to. Napiłam się herbaty. Fakt, Edek był wesoły, robił nam różne dowcipy, ale nie do tego stopnia. Dobrze wiedział, czym grozi zaproszenie ognia w lakierni pełnej chemikaliów. Co do samobójstwa... Kłopotów osobistych nie miał, pracownikiem był lubianym, najlepszym lakiernikiem w całej bazie. Ostatnio chodził wprawdzie taki trochę zamyślony, ale ...

Stefan miał chyba rację, rzeczywiście coś było nie tak.

Późnym popołudniem zwolniono nas wreszcie do domów. Ekipa śledcza milicji pracowała nadal, zajmując biuro kierownika. Przedtem jednak władza wykonawcza w osobie sierżanta oświadczyła, że śledztwo trwa, więc mamy być przygotowani na to, że będziemy musieli złożyć dodatkowe zeznania. W związku z tym powinniśmy jutro stawić się normalnie w pracy.

- Niby kaj? Momy sam tu koce rozłożyć i piknik robić? - oburzył się Alojz.

- Ogniska już nie rozpalisz, było dzisiaj - rzucił sarkastycznie jeden z kierowców, pan Zdzisiek.

- Proszę o ciszę! Jeśli milicja wpuści nas jutro na teren pogorzeliska, postaramy się je uprzątnąć. Trzeba uratować co się da - powiedział kierownik.

„No to czeka nas jutro wesóły dzionek” - pomyślałam. Jeszcze raz rzuciłam okiem na pana Tadzia. Siedział zasępiiony przy ścianie i wpatrywał się w podłogę.

* * *

Następnego dnia wprawdzie byliśmy wszyscy obecni w pracy, tak jak nakazała władza ludowa, ale nikomu tak naprawdę nic się nie chciało. Przygnębienie spowodowane wypadkiem ogarnęło nas wszystkich. Wciąż nie mogliśmy zrozumieć, jak mogło dojść do pożaru.

- Kto zawiadomił milicję? - spytała pani Zosia.

- Pan Czesio chyba - odpowiedział Stefan.

- Ja, Czesiek - potwierdził jeden z kierowców, pan Heniek - Godoł, że robił obchód i naroz jak gruchło! Zarozki baraki zaczęły gorzeć. No to poleciał na dyspozytorka i zadzwonili po milicja i fojermanów.

- Ale że tak szybko się to wszystko spaliło? No i czemu gruchło? - pytała dalej pani Zosia.

- No dyć z dykty zrobione, to wartko zgorzały - ciągnął pan Heniek. - A czamu gruchło? Nie wiem, ale jak w piecu była nafta i ogień się tam dostał to gruchło, bo musiało.

W tym momencie do baraku wpadł zdyszany kierownik. Towarzyszył mu funkcjonariusz milicji, z racji wieku zdyszany nieco mniej.

- Wszyscy są obecni? - zapytał niepotrzebnie kierownik.

- Zaszły nowe okoliczności - odezwał się milicjant, który, jak się później dowiedziałam, był w stopniu kapitana. - Pewne poszlaki wskazują na to, że śmierć waszego kolegi nie była spowodowana wypadkiem. Musimy ponowić przesłuchania wszystkich pracowników - zwrócił się do kierownika, po czym obaj przeszli do biura, gdzie nadal w pocie czoła pracowała ekipa śledcza.

Spojrzelismy po sobie zdumieni. Zaczęliśmy przywykać powoli do myśli, że jednak Edek nawalił a teraz... Edek nie zginął w wypadku?!

- No to nie ma siły, ktoś go zabił? Bo w samobójstwo nie wierzę - odezwał się jeden z kierowców.

- Dziółchy za nim latały, ale łon był kawaler, to mógł - z lekkim smutkiem stwierdził inny.

- A co ma piernik do wiatraka?!

- Kierownik go załatwił, za ten dekiel, co mu w powietrze leciał - odezwał się pan Zdzisiek.

- Tynie bądź taki dowcipny!

- Ale co ty! Prędzej wkurzony pasażer, że mu się rozkład jazdy nie zgadza!

- Za rozkład jazdy powinien raczej zabić mnie - mruknęłam.

Moim zadaniem było pisanie rozkładów jazdy autobusów na żeliwnej tablicy, pokrytej specjalną farbą. Pisałam na niej tuszem przy pomocy piórka, co było benedyktyńską robotą i wymagało dużego skupienia, potem to wszystko było pokrywane bezbarwnym lakierem i po wyschnięciu przymocowywane śrubami do słupów na odpowiednich przystankach. Pół biedy latem, ale zimą, kiedy śruby przymarzały, wymiana tablic była naprawdę ciężką pracą i wtedy najczęściej prosiłam o pomoc Stefana, bo Edek nie miał czasu.

Zaczęły się ponowne przesłuchania. Na pierwszy ogień poszli kierowcy, bo jednak kursy autobusów nie mogły ulec zawieszeniu nawet pomimo tragedii, jaka nas wszystkich spotkała. Stałam przy oknie w pokoju dyspozytorów i bezmyślnie patrzyłam w przestrzeń, czyli na pana Tadzia, który stał na placu i rozmawiał z jakimś facetem. Spojrzałam uważniej. Nieznajomy facet był jakby mocno wkurzony, pan Tadzio natomiast wyglądał na przestraszonego. Po chwili facet odszedł. Pan Tadzio stał dalej, drżącą ręką próbując zapalić papierosa. Zdziwiłam się, co też mogło go tak wystraszyć. Był najodważniejszym kierowcą w bazie. Kiedy prowadził autobus, żaden pijak ani chuligan nie miał

prawa zaczepiać pasażerów, potrafił zatrzymać wóz i wysadzić takiego zadymiarza w szczerym polu. Rozejrzałam się, czy ktoś jeszcze widział tę scenę i postanowiłam z panem Tadziem pogadać. Wysłałam na zewnątrz.

- Panie Tadius, co za historia z tym Edkiem - zaczęłam dyplomatycznie. - Jak pan myśli, co się naprawdę stało? Kto mógł go załatwić?

Pan Tadzio drgnął wyraźnie i spojrzał na mnie z niepokojem.

- Oco pani chodzi?

- Nie wydaje się panu, że coś tu śmierdzi? - spytałam z naciskiem - Widzę przecież, że pana coś męczy. Jak pan coś wie, to niech pan powie.

- Właśnie nie wiem czy wiem - odpowiedział z wahaniem. Postanowiłam trochę go przycisnąć.

- Panie Tadius, wie pan coś o Edku? Pracuje pan dłużej niż ja, może coś pan słyszał?

Pan Tadzio spojrzał na mnie przeciągle i w jego oczach zobaczyłam strach.

- Nic nie słyszałem i nic nie wiem - oświadczył stanowczo i głośno. Patrzył przy tym jakby trochę za mnie. W tym momencie otworzyły się drzwi biura, wyjrzał z nich Stefan i zawołał mnie na przesłuchanie. Odwróciłam się i kątem oka dostrzegłam faceta. Stał u wylotu ulicy. Więc jednak Tadzio bał się. Czego? A może kogo? Musiałam iść, ale postanowiłam, że przy najbliższej okazji wypytam Tadzia porządniej. Może jednak uda mi się coś z niego wyciągnąć, bo jak na razie nic z tego wszystkiego nie rozumiałam. Co takiego Edek zrobił lub wiedział, że musiał zginąć? I kto go zabił? I dlaczego Tadzio się bał?

Podczas przesłuchania kapitan wypytывał mnie, jak układały się stosunki w bazie między Edkiem a resztą pracowników, czy Edek miał wrogów, czy słyszałam, żeby ktoś mu groził. Zdziwiłam się, ale odpowiadałam zgodnie z prawdą, że nic takiego nie słyszałam. Maglował mnie tak jeszcze przez chwilę, po czym widząc, że niczego więcej się nie dowie, zakończył przesłuchanie.

- Jeśli się pani coś jeszcze przypomnia, proszę mnie o tym powiadomić - zarządził.

Usiłowaliśmy się dowiedzieć, co takiego odkryła milicja, że przestała wierzyć w nieszczęśliwy wypadek, ale nikt nie chciał z nami gadać. Spróbowaliśmy sami pomyśleć.

- Może ktoś przyszedł wcześniej, wlał do piecyka więcej nafty i Edek sam się wysadził w powietrze? - powiedział Stefan.

- Coś ty, Edek wlewał górą, poczułby zapach - odpowiedziałam.

- Jo bych zrobił tak - odezwał się, przysłuchujący się naszej dyskusji Alojz - Włólbych ta nafta, dołożył drzewa i papiórów, przyczepił lont, doczkołbych, aż Edek przidzie i podpolił.

- Ale byłoby widać ogień!

- Ni, lont bych przewiesił za okno, a Edek by się przebierał i nic by nie widziół - dodał Alojz.

Popatrzyłam na niego z podziwem. Rzeczywiście, nasza kanciapa była tak mała, że od piecyka do okna było ledwie 30 cm, z drugiej strony piecyka, przy drzwiach, stały szafki z roboczą odzieżą, więc gdyby Edek się przebierał, to rzeczywiście nie zauważyłby ognia, zasłaniałyby go otwarte drzwiczki szafki.

- Panie Alojz, niech się pan przyzna, pan go załatwił? Bo wymyślił pan genialnie - powiedziałam.

- Ale wiecie, co to znaczy? - Stefan z emocji zaczął się jąkać. - To znaczy, że mógł go zabić ktoś z nas! Ktoś, kto mógł wejść niezauważony, kto wiedział, jak Edek piecyk rozpala, o której do pracy przychodzi, wszystko!

Alojz się wystraszył.

- To nie jo! Jo był hajer, jo robiył na grubie i beztóż wiym takie rzeczy! Jo nic do Edka nie miół - wykrzyknął.

Popatrzyłam na Stefana. Minę miał niewyraźną.

* * *

Okazało się, że zabójca wykonał wszystko tak jak opisał Alojz, więc dla milicji automatycznie stał się on pierwszym podejrzanym, gdyż ktoś usłuźnie przekazał milicji treść naszej rozmowy. Na dodatek zaczęły krążyć szeptane plotki, jakoby Alojz groził Edkowi, że go załatwi. Dlaczego miałby go załatwić, szeptane plotki nie precyzowały. Alojz przysięgał na wszystkie świętości, że jest niewinny i wierzyliśmy mu, bo rzeczywiście nikt z nas nie umiał sobie wyobrazić, jaki mógł mieć motyw, ale cień niepokoju pozostał.

Przez kolejne dni siedzieliśmy beczynnie w bazie, a milicja oddawała się niekończącym się przesłuchaniom i tajemniczym czynnościom w terenie.

Mieliśmy już tego serdecznie dość, atmosfera w bazie robiła się coraz bardziej napięta, tym bardziej, że byliśmy wszyscy ciemni jak tabaka w rogu, jeśli chodzi o wyniki śledztwa. Pani Zosia wyraziła się bardziej dosadnie, mówiąc, że barany to na pastwisko a nie do milicji, na co odezwał się pan Leszek, kierownik, że jeszcze parę takich komentarzy i miło mu będzie pani Zosi paczki przez kraty podawać. Niewiele brakowało a pokłócilibyśmy się wszyscy, ale wszedł kierownik z taką miną, że momentalnie zrobiło się cicho.

- Słuchajcie, mam wam przekazać, że zatrzymano osobę, podejrzaną o zabójstwo Edka - powiedział, a mnie ciarki po krzyżu przeleciały.

- Gienek, siadaj, bo się zaraz przewrócisz! - rzuciła się w jego stronę pani Zosia.

- Kto? Kogo aresztowali? - wykrzyknął Stefan.

- Zatrzymano Alojza - szepnął błady na twarzy kierownik.

Wybuchł rejewach nie z tej ziemi. Milczałam. Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Podeszłam do kierownika, który pił wodę, podaną mu troskliwie przez panią Zosię, prywatnie jego żonę. Dowiedziałam się, że z Edzia był lepszy numer. Kobiciarz to mało powiedziane. Romansował na prawo i lewo, nie zważając, czy aktualny obiekt jego uczuć posiada męża, czy też nie. Wyszło na jaw, że podczas jakiejś imprezy zakładowej poznał małżonkę Alojza, a że kobieta niebrzydka, a on był aktualnie wolny, zaczął jej asystować podczas całej imprezy. Żadnego tańca nie odpuścił. Kiedy Alojz się zorientował, co się święci, dał mu w mordę, a małżonkę zawiózł do domu. Niestety, sprawa miała ciąg dalszy, widocznie Edek miał gadane albo magnes na kobiety, w każdym razie podobno o romansie dowiedział się Alojz, odgrażał się, że Edka urządzi, no i to miał być motyw zabójstwa. Popatrzyłam z politowaniem na kierownika i spytałam, czy w to wierzy. Milczał. Odwróciłam się i poszłam szukać Stefana. Postanowiłam się z nim naradzić.

W winę Alojza wierzyliśmy oboje tak samo, jak w obietanki rządzących, że będzie coraz lepiej dla ludu pracującego miast i wsi, czyli wcale.

- Z Alojza choleryk, obilby Edkowi gębę, ale go nie zabił, ja ci to mówię - powiedział stanowczo Stefan.

- Tym bardziej, że Tadzio się boi - dodałam i zrelacjonowałam Stefanowi rozmowę z Tadzkiem.

- Zastrześliłaś mnie. Kompletnie nie wiem czego Tadek mógłby się bać. Widział mordercę? - Stefan był naprawdę poruszony.

- Słuchaj, do mnie to on pewnie pary z gęby nie puści, ale ty to co innego. Pogadaj z nim, może tobie coś powie i wreszcie się czegoś dowiemy. Jest jeszcze w pracy? - spytałam.

- Nie wiem, idź do biura i sprawdź na grafiku. A o tym, co widziałaś, mówiłaś jeszcze komuś? Na przykład glinom?

- Zwariowałaś? Chciałam najpierw pogadać z Tadzkiem - popukałam się w głowę.

Niestety, nie zdążyliśmy wypytać Tadzka. Skończył pracę i pojechał do domu. Zrobiliśmy to samo.

Po zatrzymaniu Alojza kierownik zwołał zebranie pracowników. Dowiedzieliśmy się, że śledztwo trwa dalej, więc możemy być wzywani na milicję celem składania dalszych wyjaśnień. Trochę mnie pocieszyła ta informacja, bowiem wynikało z niej, że milicja ma pewne wątpliwości co do osoby sprawcy i zatrzymanie Alojza jeszcze o niczym nie świadczy. Następnie dowiedzieliśmy się, że kierowcy i dyspozytorki będą pracować według nowego grafika, pracownicy techniczni otrzymają urlop bezpłatny za zgodą dyrekcji a ja i Stefan zostaniemy przeniesieni na nocną zmianę.

- Zastróżów będziemy robić czy jak? - zdziwił się Stefan.

- Będziecie wykreślać trasy przejazdów autobusów z zaznaczeniem, ile czasu zajmuje przejazd a ile postój na poszczególnych przystankach. Na papierze milimetrowym - odpowiedział kierownik. - Zaczynacie dzisiaj o 2.00 w moim gabinecie. Przygotuję wam materiały.

- No to będą nam potrzebne rapidografy, jeżeli ma to być równo wykreślone - odezwałam się.

- Proszę w takim razie jechać do dyrekcji, tam w biurze powinni mieć takie coś - kierownik wydał resztę dyspozycji i zebranie uległo zakończeniu.

Pojechałam do dyrekcji, która mieściła się na ulicy Łużyckiej, przy torach kolejowych, niedaleko mostu. Czekając na wydanie narzędzi pracy z magazynu, wdałam się w pogawędkę ze znajomą panią z działu kadr. W pewnym momencie zauważyłam przechodzącego faceta. Miałam wrażenie, że już go gdzieś widziałam i w tym samym momencie przypomniało mi się gdzie. To był facet, który rozmawiał z Tadzkiem u nas na placu. Prędko spytałam panią z kadr, kto to jest. Dowiedziałam się, że jest to dyrektor techni-

czny z centrali w Jastrzębiu. Zaskoczyła mnie ta informacja. Czyżbym była na złym tropie i Tadzio bał się, bo miał kłopoty natury służbowej? Tym bardziej powinniśmy z nim porozmawiać.

* * *

Jakoś udało mi się nie zasnąć i o drugiej nad ranem, ziewając przeraźliwie, zjawiłam się w pracy. Stefan już był. Rozłożyliśmy narzędzia pracy i zgodnie stwierdziliśmy, że bez kawy się nie obejdzie.

- Słuchaj Stefan, pamiętasz, jak ci mówiłam o Tadzio? - odezwał się znad parującego kubka.

- Pamiętam i nawet myślałem, że uda mi się z nim wczoraj pogadać, ale zwiął.

- Jak to zwiął?

- Normalnie. Podszedłem do niego, ale nawet nie zdążyłem ust otworzyć, bo uciekł! - Stefan był zdumiony. - Schował się w autobusie.

Zachowanie Tadzia było co najmniej dziwne. Opowiedziałam więc Stefanowi, czego dowiedziałam się wczoraj na Łużyckiej.

- Dyrektor techniczny mówiś? - Stefan się zasepił. - Słyszałem o nim. Nieciekawy typ. Nieprzyjemny. Podobno bardzo mściwy. Nie umiem sobie tylko wyobrazić, co takiego mógł zrobić Tadzio, żeby mu się narazić. Jako kierowca jest przecież bez zarzutu, nie spóźnia się do pracy, nawet pasażerowie go chwalą... Poza tym, gdyby chodziło o sprawy służbowe, myślisz, że taki dyrektor pałętałby się po placu i rozmawiał z Tadzio tak, żeby go nikt nie widział?

- Raczej nie. Przyjechałby ze świtą i zrobił rozróżbę, nie tylko Tadzio, by się dostało.

- Gwarantuję ci, że dostałoby się wszystkim.

- Nie ma siły, sami nic nie wykombinujemy, trzeba z Tadzio pogadać. Możemy dzisiaj, zaczyna pracę o trzeciej, pierwszy wyjazd ma o 4.06 linia 403. Rusz się, idziemy! - zakomenderowała.

- Czekajże, gdzie lecisz, przecież Tadka jeszcze nie ma! Jest dopiero 2.20!

Spojrzałam na zegarek. Rzeczywiście.

- Poza tym wykreśliśmy chociaż trochę, bo się kierownik wścieknie - dodał Stefan ponuro.

Przez następne pół godziny wykreślaliśmy w milczeniu na papierze milimetrowym trasy poszczególnych linii autobusowych, gdy nagle od strony placu rozległ się krzyk nocnego stróża:

- Złodziej! Łapać złodzieja! Poczekaj cholero, już ja cię dorwę!

Wybiegliśmy z gabinetu, stłoczyliśmy się z kierowcami w drzwiach wejściowych, ale zdążyliśmy jeszcze zauważyć jakąś zamazaną postać, uciekającą w stronę dworca PKS. Wypadliśmy na plac.

- Zawiadomiłam milicję - odezwała się przejęta dyspozytorka, pani Wiesia.

- Kto to był? Poznał go ktoś? - dopytywał się jeden z kierowców.

- Zwariowałeś?! - oburzył się inny.

- Widzisz gdzieś Tadka? - spytałam Stefana.

- Nie, a powinien już być w pracy, jest po trzeciej.

- Pan Tadzio już przyszedł do pracy? - spytałam stojącego najbliżej kierowcę, którym okazał się Leszek.

- Tak, przed chwilą poszedł do wozu - odpowiedział.

- Panie Leszku, który to wóz?

- Ten na końcu.

Zaniepokojeni pobiegliśmy w stronę autobusu linii 403, stojącego na samym końcu parkingu. Za nami, nie wiadomo po co, leciał Leszek i jeszcze paru kierowców. Pierwszy do autobusu dobiegł Stefan. Wskoczył do środka.

- Jest tutaj! - zawołał. - Żyje! Niech ktoś wezwie pogotowie!

Pan Tadzio leżał wewnątrz autobusu na plecach, a z klatki piersiowej wystawał mu trzonek noża...

Patrzyliśmy w milczeniu, jak karetka na sygnale zabiera Tadeusza do szpitala.

- Cud, że żyje - odezwał się Leszek.

- Do którego szpitala go zawieźli, ktoś wie? - zapytał Stefan.

- Do Nowego, tylko tam jest chirurgia - odpowiedziałam cicho.

- Ale się kierownik ucieszy! - rzucił ktoś smętnie.

- Ale dlaczego Tadek? Co tu jest grane, do cholery?!

- Może wiedział za dużo - usłyszałam za swoimi plecami. Obejrzałam się. Za mną stał nocny stróż, pan Czesio, i z ponurą miną stwierdził:

- Idę do glin, teraz to już muszę im powiedzieć co wiem.

- O nie! - krzyknęłam. - Nigdzie pan nie pójdzie, jeśli nam pan nie powie, co pan wie! Dość już tych tajemnic!

- Ona ma rację, mów pan, co pan wiesz! - poparł mnie Leszek.

Pan Czesio westchnął i powiedział:

- Tego dnia, kiedy zginął Edek, to ja kogoś widziałem. Ten ktoś wychodził zza baraków od strony rzeczki. Myślałem, że to któryś z mechaników albo kierowców, ale dzisiaj, kiedy zobaczyłem tego uciekającego faceta... Myślę, że to ten sam, który wtedy kręcił się koło baraków.

- Skąd pan wie? Przecież jeszcze ciemno? - odezwał się Stefan.

- Tak mi sylwetka pasuje. Poza tym wtedy też było ciemno...

- Jeśli ma pan rację, to znaczy, że widział pan zabójcę!

- Tadzio prawdopodobnie też... - odezwał się kierownik, który przyjechał, zawiadomiony telefonicznie przez panią Wiesię.

- Szkoda, że nie powiedział pan tego wcześniej - powiedział kapitan milicji, który, nie zauważony przez pana Czesia, już od dłuższej chwili przysłuchiwał się naszej rozmowie. - No, ale lepiej późno niż wcale. Poproszę pana teraz ze mną do komendy, trzeba spisać pańskie zeznanie.

Rozejrzał się z namysłem:

- Właściwie musiałbym wszystkich państwa przesłuchać a, jak się domyślam, kierowcy będą panu potrzebni - tu zwrócił się do kierownika. - Poproszę pana o ponowne udostępnienie biura.

- Oczywiście - odpowiedział kierownik. - Acha, dzwoniłem do szpitala, już po zabiegu. Tadek przeżyje, w gruncie rzeczy nic poważnego mu się nie stało, tyle, że stracił dużo krwi.

Odetchnęliśmy z ulgą i spojrzeliśmy w stronę ostatniego autobusu, przy którym pracowała już ekipa milicji.

Westchnęłam:

- Teraz to już i ja będę musiała powiedzieć kapitanowi, co wiem. Zachwycony to on nie będzie...

* * *

W ciągu kolejnych dni w bazie panował względny spokój. Odpoczywając psychicznie po niedawnych wstrząsających wydarzeniach, zastanawialiśmy się, co dalej będzie z bazą i z nami. Kierownik dzwonił nawet w tej sprawie do centrali w Jastrzębiu, gdzie poinformowano go, że decyzja zostanie podjęta w najbliższych dniach, do tego czasu dyspozytorki i kierowcy mają pracować na miejscu, a tapicerzy i lakiernicy zostaną prawdo-

podobnie oddelegowani do pracy w inne miejsca. Gdzie, na razie nie zostało ustalone. Na razie mają pobrać zaległe urlopy, jeśli nie są kierownikowi niezbędni.

Przekazując nam decyzję centrali kierownik spojrzał na mnie i Stefana:

- Przykro mi, moi drodzy, ale was na urlop jeszcze nie puszczę. Musicie dokończyć wykreślanie grafiku.

- Nie możemy zaczynać pracy o jakiejś innej godzinie? - jęknął Stefan.

- Właściwie - kierownik zawahał się, po czym machnął ręką - spróbujemy się tu jakoś pomieścić. Od jutra możecie przychodzić na rano.

Pan Tadzio wracał do zdrowia w szpitalu, pilnowany przez milicję i jak na razie nie można go było odwiedzać. Alojz nadal siedział w areszcie. Pogrzeb Edka, na który zgodę musiała wydać milicja, miał odbyć się w poniedziałek. Zanim jednak doszło do tej przygnębiającej uroczystości, kierownik został pilnie wezwany do centrali w Jastrzębiu.

Po jego wyjeździe w baraku zapanował spokój. Kreśliliśmy ze Stefanem w milczeniu, starając się jak najszybciej skończyć tę żmudną i nudną robotę.

- Zastanawiam się, gdzie nas przydzielą - przerwał milczenie Stefan.

- Mogliby na Łużycką, ale obawiam się, że do Jastrzębia - westchnęłam. - Szkoda, że nie odbudują naszych baraków, fajnie się tu pracowało.

- Fakt - westchnął tym razem Stefan.

Nagle do biura wpadł jak burza nasz kierownik.

- Słuchajcie, ale afera! - wykrzyknął.

Słyszac hałas, do biura wleciały dyspozytorki i paru kierowców. Ciasno się zrobiło niemożliwie, na dodatek zaczęło dość intensywnie zalatywać walerianą. Kierownik próbował uspokoić szalejące w nim emocje, niestety z marnym skutkiem:

- Ale afera! Jak żyję, to jeszcze czegoś takiego nie widziałem! Ale afera! - wykrzykiwał.

- Co się stało? Panie kierowniku! - pytała pani Wiesia, roztańczając dookoła odorek waleriany.

Zapach lekarstwa chyba podziałał, bo kierownik, całą siłą woli próbując nad sobą zapanować, wygłosił pierwsze od przybycia zdanie:

- Dyrektor techniczny został aresztowany! Na moich oczach! Podobno to on jest sprawcą! Ale afera!

- Jak jeszcze raz powtórzy „ale afera”, przysięgam, że walnę go w ucho - warknął Stefan - Zaciął się?!

- Dyrektor zabójcą?! Co mu do łba strzeliło?! - dziwił się pan Zdzisio.

- Władza - skomentował ktoś.

- Cisza! - ryknął Stefan. - Dajcie mówić kierownikowi!

Kierownik podziękował mu spojrzeniem, łyknął mojej kawy i zaczął relację:

- Siedziałem w biurze u naczelnego i omawialiśmy sytuację w naszej bazie, kiedy usłyszeliśmy krzyki, dobiegające z korytarza. Wydawało mi się, że słyszałem, jak ktoś woła: „stój, zatrzymaj się”, „zamknijcie drzwi”, głupio mi było trochę przed naczelnym, ale nie mogłem się powstrzymać i wyjrzałem na korytarz. A tam, wyobraźcie sobie, milicja goni dyrektora technicznego! Ale afera!

Stefan tylko zgrzytnął zębami. Kierownik kontynuował:

- Zabarykadował się w toalecie i groził, że oknem wyskoczy, jak go nie wypuszczą z budynku! Nasz znajomy kapitan tam był, kazał wyważyć drzwi, trochę się tam w środku kotłowali, no i złapali go. Ale a...

Przerwałam nietaktownie, widząc minę Stefana:

- Rozmawiał pan z kapitanem? Skąd wiedzieli, że to dyrektor techniczny? Pan Tadzio go rozpoznał?

- Rozmawiałem z kapitanem. Wszystkiego dowiedzieć się w poniedziałek. Kapitan obiecał, że wyjaśni tyle ile będzie mógł.

- A co z bazą, panie kierowniku? - spytała pani Wiesia.

- Wspólnie z naczelnym ustaliliśmy, że pomieszczenie dla tapicerów uda się wygospodarować na Łużyckiej, u mechaników. Co do was - spojrzał na mnie i Stefana - na Łużyckiej jest tylko jedno wolne miejsce pracy dla lakiernika. Drugie z was będzie musiało przejść do Jastrzębia. Nie będę decydować kto, dogadajcie się sami. Tylko tyle mogę dla was zrobić. „Jednak fajny gość z tego naszego kierownika” - pomyślałam.

Po południu poszłam do szpitala odwiedzić pana Tadzia. Czuli się już na tyle dobrze, że mógł ze mną chwilę porozmawiać. Po zwyczajowych pytaniach o zdrowie i szpitalne żarcie, przesłam do właściwego tematu:

- Wiem już, że to pańskie zeznanie pozwoliło milicji aresztować dyrektora technicznego. Ale dlaczego chciał pana zabić? Dlaczego zabił Edka? Zwariował?

- Edek coś wiedział. Wygadał mi się kiedyś, że coś znalazł i teraz ma haka na dyrektora technicznego - odpowiedział Tadzio.

- Co takiego mógł znaleźć?

- Tego nie wiem, ale byłem mimowolnym świadkiem, jak techniczny dawał Edkowi pieniądze. Słyszałem, jak mówił: „Pary zgęby, zrozumiałeś”, więc chyba za milczenie.

- Kto by się spodziewał, że z Edka taki numer!

- To jeszcze nie wszystko. Pamięta pani aferę z autobusami?

- Coś słyszałam, ale nie pracowałam jeszcze wtedy...

- Przyjechały do naszej bazy trzy nowiutkie Ikarusy. Kierownik się ucieszył, ale okazało się, że jeden z nich ma rysy na lakierze, więc zaraz Edek wziął go do lakierni. Niedługo potem przyjechał dyrektor techniczny i nakazał przewiezienie ich z powrotem do Jastrzębia. Niby nic, pomyłka, ale gdyby pani widziała, jak się awanturował! Kierownik myślał, że faceta szlag trafi.

W tym momencie weszła pielęgniarka i zakończyła naszą rozmowę. Złożyłam jeszcze Tadcowi życzenia powrotu do zdrowia i wyszłam.

* * *

Po pogrzebie Edka, na którym była obecna delegacja kierowców i wszyscy pracownicy techniczni, i nad którym nie będę się zbytnio rozwodzić, wróciliśmy do bazy. Postanowiliśmy ostatni raz wspólnie napić się herbaty, bo od jutra większość z nas zaczynała nowe zawodowe życie. Siedzieliśmy w pomieszczeniu dla kierowców, wspominaliśmy dobre czasy i, co tu kryć, czekaliśmy na wizytę kapitana, mając nadzieję, że przyjedzie i wszystko nam wyjaśni. Opowiedziałam obecnym, czego dowiedziałam się od Tadzia.

- Wychodzi na to, że Edek rzeczywiście coś w tym autobusie znalazł. Ale co? - zastanawiał się Alojz, którego w piątek szczęśliwie zwolniono z aresztu.

- Mogę to państwu wyjaśnić - odezwał się od drzwi kapitan. Ucieszyliśmy się nadzwyczajnie, zrobiliśmy mu kawy, usiedliśmy i zamieniliśmy się w słuch.

- Wasz dyrektor techniczny biegle posługiwał się językiem węgierskim, dlatego chętnie wysyłano go w delegacje na Węgry. Bywał tam na tyle często, że udało mu się nawiązać liczne interesujące kontakty. Wtedy wpadł na pomysł łatwego i dużego zarobku. Wykorzystał fakt, że sfinalizowano właśnie zakup nowych autobusów i pojechał po odbiór. Nie będę wchodził w szczegóły, ale efekt był taki, że w przywiezionych Ikarusach przemycił pokaźne ilości złota i narkotyków. Trzy z tych nafa-szerowanych autobusów trafiły przez pomyłkę do waszej bazy i Edek odkrył przemyt. Znalazł skrytkę i przywłaszczył sobie jej zawartość. Dyrektor techniczny odebrał wam Ikarusy, zorientował się, że ktoś opróżnił skrytkę i dowiedział się, kto. Początkowo płacił Edkowi za milczenie, ale zażądał zwrotu towaru. Kiedy Edek odmówił, zabił go.

Odebrało nam głos. Przez chwilę panowała taka cisza, że słyhać było odgłosy, dochodzące z pobliskiego PKS-u.

- Wychodzi na to, że jednak uczciwość popłaca - wykrztusił z siebie jeden z kierowców.

- Gdyby Edek powiadomił nas o swoim znalezisku, prawdopodobnie żyłby nadal - westchnął kapitan.

- A Tadzio? Dlaczego techniczny napadł na Tadzia? - spytałam.

- Przecież Tadzio nic o przemyście nie wiedział?

- Nie, ale mógł się czegoś domyślić. Był świadkiem wręczania Edkowi pieniędzy przez dyrektora, mógł słyszeć ich rozmowę. Dyrektor nie był pewien, czy nie powiedział wtedy przypadkiem czegoś, co go mogło obciążyć, tutaj jego zeznania są trochę niejasne.

- No to sam sobie zaszkodził. Tadzio przeżył, rozpoznał napastnika i złożył zeznanie.

- To prawda, nie mieliśmy żadnych dowodów, wskazujących na to, że zabójcą jest dyrektor techniczny. Dopiero zeznania pana Tadzia i waszego stróża pozwoliły nam zatrzymać rzeczywistego sprawcę.

- Nie znaleźliście przemytu u Edka?!

- Niestety nie, ale mamy pewien trop. Więcej nie mogę wam zdradzić. Kapitan dopił kawę i powiedział:

- Muszę się z państwem pożegnać. Obowiązki wzywają. Wprawdzie sprawę zabójstwa udało nam się rozwiązać, ale pozostaje jeszcze sprawa przemytu. Dziękuję za kawę i życzę powodzenia - dodał.

-Dziękujemy- odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

Po wyjściu kapitana jeszcze przez chwilę panowała cisza. Każdy z nas przetrawiał usłyszane dziś rewelacje. Po chwili odezwała się pani Zosia:

- No popatrzcie, jak to nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi...

- Chciwość go zgubiła - filozoficznie stwierdził kierownik.

- Kogo? Edka czy zabójcę?

- O obu.

- Na co mu było tela geltu? Baby ni miał, miyszkoł som, po co mu to było? - zastanawiał się Alojz.

- Kobiety. Wiadomo, że one zawsze nas najwięcej kosztują - niebacznie odezwał się pan Zdzisio, po czym gorzko tego pożałował. Pani Wiesia była w bojowym nastroju i kłótnia wybuchła natychmiast.

Popatrzyłam na nich wszystkich jeszcze przez chwilę i pomyślałam, że będzie mi ich brakowało...

Pożegnałam się i wyszłam.



WYMARŁE MIASTO

Pani Sierawska leżała martwa w swoim mieszkaniu na parterze. Zgromadzeni u wejścia sąsiedzi widzieli jedynie jej nogi, gdyż reszta ciała znajdowała się w pokoju poza polem ich widzenia. Niektórzy powątpiewali wręcz czy owa reszta w ogóle istnieje.

- Ależ z pana makabrysta, panie Wojski - obruszyła się Natalia Malikowska, spoglądając na rośłego sąsiada z obrzydzeniem. Zaraz też szepnęła do Kali - muszę iść, chore dziecko zostawiłam samo w domu. - Po czym odeszła schodami na górę.

Kala, wraz z innymi, zaciekawiona czekała na działania policji. Stojąca obok niej niższa, starsza pani, spytała, nie mogąc niczego dojrzeć spoza pleców widzów:

- Kochanie, co się tam dzieje? Co widzisz? Ale nie opowiadaj mi żadnych okropności!

- Komisarz dokonuje oględzin. Ciała na razie nie ruszają, czekają chyba na koronera.

Starsza pani pewnie przytaknęła głową, choć Kala dałaby własną, że staruszka nie wiedziała kim był koroner. Po raz pierwszy spotkały się kilka dni temu, ale na tyle poznała już sąsiadów, że wyrobiła sobie na ich temat wstępne opinie. Starsza

pani nazywała się Korbicka i wraz z obłożnie chorym mężem mieszkała w lokalu tuż nad zamordowaną. Była jedyną osobą, którą Kala od momentu wprowadzki odwiedziła.

Miało to miejsce w tych niezwykłych okolicznościach, około godziny dziewiętnastej. Gdy padł strzał, Kala mościła się właśnie wygodnie na kanapie z gorącą herbatą i książką, na opatulonych kocem kolanach. Herbata znalazła się natychmiast na stronicach książki a Kala na równych nogach. W pierwszym odruchu zawahała się, czy wybiec na korytarz, mając przed oczami sceny z filmów sensacyjnych, gdy ledwo stając na progu dostaje kulkę w sam środek czoła i majestatycznie spada przez barierkę trzy kondygnacje w dół i ... brrrr. Dziewczyna otrząsnęła się z wizji i ostrożnie uchyliła drzwi. Na korytarzu panowała cisza, za moment zmacona jedynie ostrożnym skrzyknięciem gdzieś poniżej. Kala postąpiła naprzód i zerknęła w czeluść rozjaśnionego przytłumionym światłem żarówki korytarza. Ujrzała siwą głowę pani Korbickiej dwa piętra niżej.

- Słyszała pani? Co to było? Korek z szampana? - spytała starszka, gdy Kala zeszła do niej.

- Nie sędzę - odparła dziewczyna - To był raczej strzał, taki z broni palnej.

- Matko boska! - wykrzyknęła starsza pani i nagłym ruchem wepchnęła Kałę do swego mieszkania. Jak na swój wiek miała niezłą krzepę.

- Co robimy? - zapytała pani Korbicka wyglądając przez wizjer na korytarz, lecz zanim Kala zdążyła cokolwiek powiedzieć, zacydowała - Dzwonimy na policję!

I tak też się stało. Czekaając na stróżów prawa Kala miała okazję posiedzieć w klimatycznym salonie staruszki z widokiem na małe podwórko ukryte wśród uliczek wodzisławskiego starego miasta. Mało kto z obcych tu zachodził, mało kto zapewne wiedział o istnieniu tego podwórka. Na ścianach mnóstwo oprawionych starych zdjęć, Kala rozpoznała na nich młodą właścicielkę.

- Komisarz Lenian - przedstawił się krótko przeciętnej budowy mężczyzna, wieku raczej mocno średniego, z rozwichrzoną rzadką „czupryną” i czerwonym od mrozu nosem.

Następnie rozlokował sprawnie przybyłych z nim policjantów i spytał o dodatkowe klucze.

- Kiedy to właśnie pani Sierawska, jako nowa gospodyni, dysponowała wszystkimi zapasowymi kluczami - poinformował

bezradnie pan Berdzik, który wraz z żoną zajmował mieszkanie pod Kałą.

Lenian skinął na swoich ludzi i drzwi niemal natychmiast stanęły otworem...

Takim to oto sposobem znaleziono ciało gospodyni. Jeszcze ciepło tak samo jak zapewne ciepła była lufa broni, z której oddano feralny strzał. Jednak jeszcze ciepłej zrobiło się zgromadzonemu, gdy komisarz oznajmił:

- Bardzo proszę, aby państwo powrócili teraz do swoich mieszkań. Pierwsze oględziny skłaniają nas do postawienia hipotezy, iż podczas tego wieczoru nikt z zewnątrz nie wchodził do kamienicy. Mordercą jest zatem ktoś z was.

II

- Ledwo panią odnalazłem na tym strychu. Mało brakowało a zostałyby pani pominięta - uśmiechnął się z lekka Lenian, gdy już zasiadł wygodnie w fotelu, acz w ruchach zdradzał pewną niecierpliwość. - Jaka jest zatem pani wersja wydarzeń?

Kała była przejęta i łyżeczka w szklance z herbatą brzęczała szybkim rytmem.

- Jezu, jaka jestem zdenerwowana. Jeszcze ta myśl, że morderca znajduje się w promieniu kilkunastu metrów ode mnie. Czyli to tam jest na dół.

- Tak, niespokojne czasy. Ostatnio tyle złego dzieje się w powiecie. Zabójstwa, zaginięcia - wypalił z refleksją komisarz. - Ale wracając do tematu.

- Dobrze, właśnie - Kała spięła się w sobie - krótko i na temat. Siedziałam tu gdzie teraz, no, może trochę w prawo... o tak..., chociaż...

- Mniejsza o aż takie szczegóły - przerwał uprzejmie. - Siedziała pani, robiąc cokolwiek, i co się stało?

- Nagle padł strzał. Od razu pomyślałam, że to strzał. Taki głośny, wyraźny, jednoznaczny, odbił się echem po korytarzu. Wyjrzałam, spojrzałam w dół, zeszłam do pani Korbickiej, do tej staruszki...

- Tak, wiem. Miałem przyjemność. Czy widziała pani kogoś na korytarzu?

- Oprócz pani Korbickiej nie. A skąd pan wie, że to nie mógł być nikt z zewnątrz?

- Cóż, szczęśliwie mamy teraz zimę. Na półtorej godziny przed zdarzeniem napadał świeży puch i gdy przybyliśmy na podwórku nie było ani jednego śladu.

- Dach od strony ulicy? - w przypływie olśnienia rzuciła Kala. Nagle zdenerwowanie odeszło, a w jego miejsce pojawiło się zdrowe podekscytowanie i żądza przygody.

- Też sprawdziliśmy. Nienaruszony. Nietknięta biel jak okiem sięgnąć.

- To faktycznie zawęży pole manewru. Wszyscy lokatorzy są w domu?

- Odnoszę niejasne wrażenie, że zamieniamy się rolami. - Tym razem Lenian szczerze się roześmiał. Optymistyczny akcent na smutny wieczór. - Tak, wszyscy w domu. Co nasuwa pytanie, dlaczego Pani w nim była? Podobno o tej porze pani pracuje. Czym się pani właściwie zajmuje?

- Jestem lektorką w szkole, która rzeczywiście funkcjonuje w godzinach popołudniowych i wieczornych, ale dziś akurat grupa, taka prywatna firma, odwołała zajęcia.

- Rozumiem. Przejdźmy do innej sprawy. Wiem, że mieszka tu pani od niedawna. Jak to się stało i jak dobrze znała pani świętej pamięci panią Sierawską?

- Od jakiegoś czasu szukałam mieszkania. Poprzedni wynajem się skończył i dałam ogłoszenie w "Nowinach". Myślałam, że długo będę czekać a tu ktoś zadzwonił z informacją, że jest do wzięcia adaptowane mieszkanie na strychu. Obejrzałam, zaskakująco dobrze to wyglądało, nawet kilka niezbędnych mebli. Sam pan może zobaczyć. Skusiłam się jeszcze tą niską ceną. Panią Sierawską widziałam po raz pierwszy gdy przyjechałam zobaczyć lokum. Zrobiła na mnie ambiwalentne wrażenie...

Kilka dni wcześniej

- Mąż mi niedawno zmarł, rozumie pani, tyle lat razem, a teraz tutaj, sama, na mniejszym mieszkaniu.

- Współczuję. Ale ma pani przecież tylu sąsiadów! - Kala przedeptywała z zimna czekając, aż gospodyni domu odśnieży wejście do kamienicy i zaprowadzi ją nareszcie do wskazanego w ogłoszeniu mieszkania. Na wieży pobliskiego starego kościoła zaczęło wybijać osiemnastą. Nim ostatnie uderzenie odbiło się

echem od murów podwórka obie kobiety weszły do środka.

- Proszę, proszę, niech pani wejdzie. Ostrożnie na schodach. Eee tam, kogo ja tu znam...

- Ile tu jest mieszkań? - Kala zmieniła szybko temat.

- Teraz siedem. Ale powiem pani, że to nie to samo, co w poprzedniej kamienicy. - Westchnęła ciężko pani Sierawska wspinając się powoli na pierwsze piętro. - Na przykład tutaj, starszka karmi koty, pełno tu tego potem łązi i sra po kątach. Na straż dzwoniłam, ale kogo to obchodzi. A tutaj Malikowska. Mąż za granicą, pieniądze ciężko zarabia, a ona ciągle wychodzi. Wciąż jest, pewnie z innym.

- Jeśli nie wie pani na pewno to może lepiej tak o ludziach nie opowiadać - wybąkała niepewnie Kala, przytłoczona ogromem informacji jak i samej gospodyni.

Ta, niezrażona, ciągnęła dalej, mijając kolejne mieszkanie.

- Tutaj pijak. Żadna baba go nie chciała. Wojski. O, a tu niewydarzona rodzinka. - Pani Sierawska ciężko już sapała tracąc oddech zarówno na wspinaczkę jak i opowiadanie. - Mówiłam im, co to za życie? Dzieciak chyba w więzieniu siedzi. W ogóle go nie widziałam.

Kala starała się ogarnąć obraz ewentualnych przyszłych sąsiadów. Gospodyni dotarła do drzwi na strychu. Całkiem nowe, ładne, porządne. Oczom Kali ukazało się przestronne wnętrze.

- A mieszkanie naprzeciwko pani? - spytała, aby dopełnić obrazu. Zaczęła przechadzać się po nad wyraz przyjemnym lokum. Nie tego się spodziewała po adaptowanym strychu. Ciepło, przytulnie.

- "Haj lajf". Tak to chyba młodzi nazywają. Też do straży kilka razy dzwoniłam z powodu hałasu. Ale przyjadą, postraszą, a tam dalej swoje. - Gospodyni machnęła ręką.

Kala uchyliła okno, nowe szczelne i wyglądnęła na uliczkę poniżej. Cisza i spokój, żadnego przechodnia. Wymarłe miasto...

- Proszę mi opowiedzieć po kolei co pani dzisiaj robiła. - Lenian przygotował notatnik.

- Tak więc rano byłam w pracy. To znaczy, w szkole podstawowej, w której uczę tylko w dwa początkowe dni tygodnia. Wróciłam około trzynastej, zrobiłam obiad. Następnie poszłam na spacer. Bo lubię. - dodała szybko dziewczyna jakby na usprawiedliwienie niemodnego hobby - A potem to już chyba było morderstwo.

Chociaż nie. Przygotowywałam zajęcia do szkoły prywatnej i zerkałam w międzyczasie na telewizor, ale za Boga nie powiem panu, co leciało.

- Nie trzeba. Czy ktoś był wtedy jeszcze w kamienicy?

- Oczywiście! Pani Korbicka. Ona nigdy nie wychodzi, opiekuje się chorym mężem. Zapewne też pani Malikowska, bo miała chore dziecko i prosiła mnie nawet rano bym w drodze z pracy wstąpiła jej do apteki. Na pewno był pan Wojski, bo z kolei nie słyszałam, żeby jego pies szczekał, a ponoć zawsze szczeka, gdy jest sam w domu i ktoś przechodzi po schodach. Byli studenci z parteru, bo głośno grała muzyka. A wie pan, że ja ich jeszcze nie widziałam? Zabawne...

- Rzeczywiście - zgodził się dyplomatycznie komisarz.

III

Teoretycznie każdy z lokatorów mógł zabić panią Sierawską. Uprzykrzała im życie plotkami i telefonami do służb miejskich. Ale czy to jest powód do morderstwa? Należałoby się dowiedzieć, komu najbardziej zaszkodziła albo mogła zaszkodzić? Czy to była zemsta czy prewencja?

Kala snuła rozmyślenia wychodząc z komisariatu, gdzie do protokołu powtórzyła to, co mówiła dzień wcześniej Lenianowi. Na palcach miała jeszcze proszek daktyloskopijny, którym już zdążyła ubrudzić sobie kurtkę. Spieszyła się na zajęcia, więc szybszym krokiem skierowała się na przystanek. Od czego by tu zacząć?

- Cześć, Kala! Dawno cię nie widziałam! - wysoka dziewczyna przepchnęła się przez ściśniętych w Erce ludzi. - Co u Ciebie?

Standardowe pytanie. Kala ani nie lubiła na takowe odpowiadać, ani ich zadawać. Kompletnie jej nie interesowało, jak żyją inni ludzie. Uśmiechnęła się.

- Przeprowadziłam się na Stare Miasto. Klimatyczne mieszkanie na strychu, gwiazdy nad głową, trup na parterze...

- Ej, na Jana może mieszkasz? Eeeeeeeeeeej, jaki trup?!?!?

Kala opowiedziała po krótko historię ostatnich dni.

- Skąd wiedziałaś, że na Jana? - spytała przypominając sobie, że koleżanka pracuje w Urzędzie Miasta.

- Pamiętam taką naprzykrzającą się kobietę, która to załatwiała. Bywała u nas tak często, że praktycznie nie opłacało jej

się wracać do domu. - Madzia roześmiała się głośno. - No to na razie, muszę lecieć, zobaczymy się na kolejnym wieczorku w Bibliotece, pa! - pożegnały się.

* * *

Kala wyszła po zajęciach, które z powodu braku prądu skończyły się wcześniej niż zazwyczaj i opatulona szczerze szalem podążyła do nowego domu. Do tej pory nie miała czasu aby zebrać myśli i zastanowić się nad wiadomą sprawą. Śnieg tłumił odgłosy kroków po brukowanych uliczkach. Przeszła, niepokojona najmniejszym hałasem, przez rynek, choć wcale nie było jej to po drodze. To jej się w Wodzisławiu podobało najbardziej, wrażenie, że jest się samym na świecie... Minęła bramę na swoje podwórko i zaskoczona ujrzała światło w piwnicy. Piwnica! Jeszcze do niej nie zaglądała. Pani Sierawska nic o niej nie wspominała, a być może przynależy jej jakaś komórka lub schowek? Otworzyła drzwi na kłatkę starym klasycznym kluczem. Instynktownie zachowywała się bardzo cicho, aby nie zdradzić swojej obecności. Zerknęła w głąb krótkich schodów piwnicznych. Wejście znajdowało się za ich zakrętem, więc powoli zaczęła po nich schodzić.

Korytarzyk wydawał się krótki, choć jego koniec ginał w ciemnościach. Spod jedynych drzwi w zasięgu wzroku wypływała delikatna strużka światła. Kala nasłuchiwała. Kilka głosów z pewnością. I jakieś dziwne pomruki. Ani to muzyka, ani odgłos kotła... Dziewczyna postąpiła krok naprzód i wpadła na coś. Dopiero teraz oczy przywykły do warunków i ujrzała pod ścianą stertę rzeczy. Jakieś worki, żelastwo, kawałki drewna, słoiki. I żadnych innych drzwi. W tym momencie odgłosy za drzwiami ucichły, a światło zniknęło. Ktokolwiek był za drzwiami, usłyszał jej obecność. Kala wstrzymała oddech. Intuicja jej podpowiadała, że kilkadziesiąt centymetrów od jej twarzy, za ciężką żelazną granicą, ktoś także przestał oddychać. Nie wytrzymała napięcia i jak rażona piorunem wybiegła na górę, nie zważając już na hałas jaki czyni. Skierowała się do drzwi pani Korbickiej i energicznie zapukała. Tutaj również odpowiedziała jej głucha cisza. Trzęsącymi się dłońmi wyszukała w torbie klucze do swojego mieszkania. W piwnicy skrzypnęły drzwi i delikatne kroki zaszurały na schodkach. Kala nie oglądając się wbiegła susami na

strych i starając się opanować czym prędzej otworzyła podwoje bezpiecznego, jak jej się wydawało, schronienia.

* * *

Pukanie do drzwi wyrwało ją z „myślakowego letargu”, jak zwykła określać ten stan. Po raz kolejny w przeciągu ostatnich dni wewnątrz przewróciło jej się do góry nogami. „Muszę zacząć brać coś na uspokojenie, bo za chwilę na dzwonek telefonu będę reagować histerią” pomyślała, wyglądając przez wizjer. Uspokoiła się widząc siwy koks sąsiadki.

- Słyszałam pukanie, ale nie mogłam otworzyć, gdyż właśnie zajmowałam się mężem. Pomyślałam, że to ty, bo nikt inny do mnie nigdy nie zagląda. - Powiedziała staruszka, stojąc w progu z kartonowym pudełkiem w rękach.

- Tak, to ja. Niech pani wejdzie. Napije się pani czegoś?

- Czy mi się wydaje, czy jesteś roztrzęsiona? - spytała pani Korbicka, przyglądając się Kali uważnie i równocześnie podsuwając pudełko - Weź sobie, kochanie, przyniosłam ci prezent. Mnie już się te rzeczy nie mieszczą, a tobie będzie ładnie pasować. Nie, pudełko wezmę, przyda się.

- Dziękuję bardzo! Prześliczny. - Kala szczerze się ucieszyła, oglądając mosiężny świecznik.

- To jak, coś się stało? - staruszka skorzystała z zapraszającego gestu i przycupnęła w fotelu.

Kala przyniosła sok i opowiedziała o tym, co wydarzyło się w piwnicy.

- Ale co w tym szczególnego, kochanie? - spytała staruszka. Masz coś mocniejszego?

Nastole wylądowało półwytrawne wino.

- Jedyna piwnica jaką mamy, a wszystkie rzeczy, które powinny się w niej znajdować, walają się na korytarzu. To do czego ona służy, skoro nie do przechowywania gratów i zapasów?

- Nie wiem, aniołku. Może nasi studenci zrobili sobie tam jakiś przytulny kącik. Nie mam pojęcia. Nie schodziłam tam już dawno. Wiesz, co mnie interesuje bardziej? - staruszka zawiesiła głos z wyraźnym podekscytowaniem. Haust wina jeszcze wzmoćnił czerwień na jej policzkach. Pochyliła się ku dziewczynie i konspiracyjnie wyszeptala - Co pan Berdzik robił dzisiaj w mie-

szkaniu zamordowanej gospodyni! - niemalże zapiszczała z radości.

- Jak to, był w mieszkaniu? Przecież tam jest taśma policyjna! Skąd pani wie? - Kala zapomniała o piwnicznych lękach, żyłka detektywa odżyła w niej na nowo. - Trzeba powiadomić policję!

- To znaczy, albo pan Berdzik, albo Wojski - zafrasowała się staruszka. - Oczy już nie te, a oni tacy podobni. Wysłałam podłać moją palemkę na korytarz i przez chwilę przyglądałam jej się zachwycona. Ona tak pięknie rośnie... I wtedy usłyszałam, że drzwi na dole się pomalutku otwierają, jakby ktoś chciał coś ukryć. Wyrzłam przez barierkę i zobaczyłam .. no właśnie, kogo ja zobaczyłam? - staruszka zmartwiła się jeszcze bardziej.

- Dobrze - Kala pocieszająco pogładziła sąsiadkę po ramieniu - Jutro zgłoszę na policję fakt zerwania taśmy i niech oni sobie z tym zrobią, co chcą. Odprowadzę panią, późno już, pani pewnie zmęczona.

Zanim Kala wróciła do siebie, zeszła na parter. Taśma faktycznie została przecięta, powiewała swobodnie na zimnym wiatku wiejącym od nieszczelnych okien. Kala potarła chłodne dłonie i niczego na wszelki wypadek nie dotykając poszła na górę.

IV

Komórka poderwała ją tym razem ze snu około trzeciej nad ranem.

- Kochanie, jeden z nich właśnie wychodzi z kamienicy! - konspiracyjny szept w słuchawce skutecznie odegnał wszelkie senne nastroje.

Kala w mgnieniu oka wskoczyła w sztruksy, bluzę i buty i zbiegła do drzwi wejściowych. Wyrzała ostrożnie przez okienko obok nich. W bladym świetle księżyca zobaczyła jak przez podwórko w kierunku ulicy idzie męska barczysta postać. Tak jak pani Korbicka, Kala nie była w stanie stwierdzić, który to z sąsiadów. Po co o takiej nieludzkiej porze miałby jednak któryś z nich wychodzić ukradkiem z kamienicy? Niechybnie tylko po to, aby pozbyć się obciążającego dowodu, który wcześniej zabrał z mieszkania denatki.

Gdy tylko postać zniknęła w czeluściach ulicy Kala wyszła z kamienicy. Truchtem przebiegła podwórko i wyrzała zza za-

łomu. Ciemna sylwetka zakręcała w kolejną uliczkę. Kala biegnąc przy samej ścianie budynku zaczęła odczuwać pewnego rodzaju odrealnienie. Kolejny załom. Mężczyzna niezmiennie wędrował wyludnionymi uliczkami nie oglądając się za siebie. Kala stanęła niezdeterminowana. Postać kierowała się ku uliczce Minorytów. Należało więc niezauważenie przemknąć przez dłuższy odcinek wolnego terenu koło sądu, w dodatku, jak na złość, latarnie rzęsiście w tym miejscu świeciły. Jednakże nie ma tego złego, mężczyzna w tych warunkach także nie mógł tak łatwo zniknąć z oczu. Poczekała i widziała jak dochodzi do końca ulicy, a następnie przecina na wprost historyczną ulicę Wałową. Pobieгла jak najszybciej, schylona, co wbrew nadziejom nie czyniło jej niewidzialną i dotarła do skrzyżowania w momencie, gdy postać rozplywała się w mrokach ulicy Pośpiecha. Kala kojarzyła, że znajdują się na niej korty tenisowe i zabytkowa kapliczka, ale nigdy nią nie szła. Jakoś nie było okazji. Bała się, że trafi w zaułek bez wyjścia. Szła za podejrzanym w bezpiecznej odległości. Nasyp parkingu dodatkowo nakrywał ją cieniem, a śnieg tłumił odgłosy kroków. Minęli korty, uliczka stała się węższa, po obu stronach ciągnęły się płoty prywatnych domów. Kala zaczęła odczuwać jeszcze większe emocje. Co chwilę przycuppywała przy cokolikach, by zminimalizować ryzyko odkrycia. A mężczyzna szedł dalej, pewnie minął domki i wszedł w wąwóz. „Super, odludzie. Sama się proszę o szybki bilet na tamten świat”, pomyślała stawiając pierwsze kroki na śniegu tuż za śladami mężczyzny. Coraz częściej traciła go z pola widzenia. Nie miała pojęcia, czy przez wąwóz prowadzi jedna ścieżka czy można swobodnie zboczyć w bok. Nigdy tu nie była. Wstyd, mieszka w Wodzisławiu tyle lat, a są miejsca, o których nie ma pojęcia. W miarę oddalania się od zabudowań w ciszy ustawały nawet poszczekiwanie psów i odgłosy sporadycznie przejeżdżających samochodów. Do Kali zaczęło dochodzić skrzypienie ciężkich butów na śniegu. Jeśli ona słyszy jego to on może usłyszeć ją! Kucnęła. Z pomocą przyszedł jej przypadek. Z oddali zaczął narastać stukot pociągu. Wyraźny, jak gdyby osobowy miał przejechać tuż obok niej. Osłaniana hałasem przebiegła kilkadziesiąt metrów, dzięki czemu zdołała ujrzeć, jak mężczyzna wykonuje szeroki zamach i wyrzuca coś daleko od ścieżki. Kalę w jednym momencie ogarnęło szczęście, że jednak... że odkryła... że jest tuż tuż rozwiązania zagadki... a z drugiej

przerażenie, że mężczyzna zaraz zawróci i na nią wpadnie. Gdy przebrzmiewał ostatni gwizd lokomotywy runęła bez namysłu w bok, przylegając całym ciałem do podłoża. Chwilę później mężczyzna, który na tle granatowego nieba wydawał się jeszcze potężniejszy, minął jej kryjówkę. Podniosła głowę, starając się dojrzeć jakiś charakterystyczny szczegół, który pomógłby jej zidentyfikować sprawcę. Niestety, ciemność skrzętnie skrywała swoją tajemnicę. Kala odczekała kilka minut nie czując, jak kurtka i spodnie zaczynają jej przesiąkać przejmującą wilgocią. Myśli miała zaprzątnięte odnalezieniem wyrzuconego przedmiotu. Czy naprawdę mógłby to być ten pistolet? Ten, z którego zastrzelono panią Sierawską?

Uznała, że minął wystarczający czas i jest bezpieczna. Odetchnęła głęboko otrzepując się ze śniegu. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo zmarzły jej ręce. Cholerne rękawiczki, zawsze jej giną. Przeszła kilkanaście metrów z nosem niemalże przy ziemi, by dostrzec miejsce, gdzie mężczyzna się zatrzymał. Znalazła, dalej ciągnęła się tafla nietkniętego puchu. Odwróciła się w kierunku, w którym zdawało jej się, że pofrunął pistolet. Bo to musiał być ten pistolet! Ruszyła powoli naprzód macając zgrabiętymi palcami po śniegu. Nie trwało to długo. Natrafiła na torebkę z jakąś zawartością. Sięgnęła do środka i spośród jakichś papierowych ścinków wyciągnęła przedmiot pożądanego. Mimo iż właśnie tego się spodziewała, serce zabiło jej chyba milion razy szybciej. Dzierżyła w dłoni koronny dowód zbrodni, któremu w tych egipskich ciemnościach nie mogła się nawet dokładnie przyjrzeć. Ale nawet gdyby na niebie królowało oślepiające słońce, także by niczego nie zobaczyła. W tej bowiem właśnie chwili poczuła za sobą czyjś oddech a ułamek sekundy później na twarzy jakąś ohydłą szmatę. Serce nie zdążyło stanąć z przerażenia. Kala spróbowała tylko złapać powietrze, gdy zmorzył ją nagły sen...

V

Tym razem obudził ją świergot ptaków. Otworzyła oczy. Dziwna jasność. Dłuższą chwilę dochodziła do siebie. Gdy w końcu zdarzenia minionej nocy powróciły w całej wyrazistości rozejrzała się spłoszona dookoła. Leżała, a teraz już siedziała, w tym samym miejscu, gdzie znalazła pistolet. Z tą tylko różnicą, że teraz go tutaj nie było. Okropnie zziębnięta zdobyła się na

wysiłek i na czworakach odgarnęła śnieg w promieniu kilku metrów, ale dowód zniknął. Musiał go zabrać ten, kto ją uśpił. Wzdrygnęła się na skutek wspomnień jak i dotkliwego zimna. Jak nic będzie miała grypę. Ruszyła do domu. Miasto nadal sprawiało wrażenie wyludnionego po zarazie, z czego Kala wywnioskowała, że albo przeleżała tu ponad dobę, co było raczej niemożliwe, albo jednak minęły zaledwie dwie godziny. Na wprost zamajaczył kościelny zegar. Prawie szósta. Tylko ptaki już wstały. Zastanawiała się, czy opowiedzieć o wszystkim komisarzowi Lenianowi. Jeszcze pomyśli, że chce odwrócić uwagę od siebie. Albo wręcz przeciwnie, nareszcie ją na siebie zwrócić! Zdziwaczała stara panna z kompleksem Miss Marple.

Niespodziewanie, blisko swojego podwórka, spotkała jednego ze swoich uczniów. Zmieszał się niezmiernie, co od razu nasunęło Kali na myślacharzemżliwych miejsc, z której o tej porze mógł wracać.

- Dzień dobry panie Karolu! - zagadnęła przyjaźnie widząc, że mężczyźnie chwilowo odjęło mowę. - Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu zobaczymy się na zajęciach w firmie? Czy znowu panowie gdzieś jadą?

Pan Karol bąknął coś pod nosem, odwrócił się na pięcie, uszedł kilka kroków, zawrócił, uklonił się i pospiesznie podreptał z powrotem w kierunku, z którego nadszedł. Kala zdziwiona odprowadziła go wzrokiem. Co prawda wyglądała nieszczególnie cała przemoczona, czerwona i generalnie nieuporządkowana, ale żeby zaraz tak reagować? A dotychczas wydawał jej się taki kulturalny.

* * *

Postanowiła zaczekać z rewelacjami do rana. Pani Korbicka musi przecież kiedyś spać, skoro o trzeciej nad ranem tego nie robi. Wchodząc do kamienicy Kala także miała zamiar od razu się położyć, lecz mroczna głusza piwnicy przykuła jej wzrok. „Gorzej już być nie może”, pomyślała i zdecydowanie acz po cichu zeszła do zagraconego korytarzyka. Nie spodziewała się wiele gdy pchnęła feralne drzwi. Ustąpiły bez walki i Kala, zaskoczona, z impetem znalazła się w środku. Małe zakratowane okienka pod sufitem były szczelnie okryte kartonami. Wymacała kontakt, zabłysnęła przyćmiona żarówka. W pomieszczeniu było czysto,

widać było, że ktoś dołożył wielu starań, aby właśnie tak wyglądało. Kala ściągnęła mokrą kurtkę, w piwnicy było ciepło. Właściwie trudno to było nadal nazywać piwnicą. Starając się niczego nie dotykać dziewczyna obeszła niewielkie pomieszczenie. Na środku stał elegancki stół, wokół niego kilka jednakowych krzeseł. Całość zaś spoczywała na pięknym dywanie. Ściany były odmalowane na bladoczerwono, trochę turpistyczny kolor jak na jej gust, na jednej wisiała na płótnie grecka inskrypcja, na drugiej olbrzymie lustro. Kala o mało nie krzyknęła ze strachu, gdy pierwszy raz ujrzała w nim własne, pozał się Boże, odbicie. W kącie stał regał, a w nim różnej grubości książki. Kala nie mogła się powstrzymać i otworzyła jedną z nich.

- Lykaon - przeczytała pierwszy tytuł. - Co to ma być, biblioteka osiedlowa? - wydeła pogardliwie wargi. Księga zawierała okraszone rycinami mity bądź legendy. - Deukalion - przeczytała kolejny tytuł.

Odłożyła wolumin. Do zbadania pozostała jeszcze tylko jedna rzecz. Oprawiony w szkło pergamin, którego wchodząc nie zauważyła, gdyż znajdował się obok drzwi. Drobną, ozdobną i przez to trudną do odczytania czcionką widniało na nim coś na kształt przykazań czy też punktów regulaminu. Kala nie była w stanie odczytać żadnego pełnego zdania, jedynie urywane frazy. Coś o uczciwości, prawach, człowieczeństwie i wszechwiedzy. Acha i o potopie. Nic więcej nie było do obejrzenia. Opukała w kilku miejscach ściany i podłogę, aby upewnić się, iż nie ma tutaj ukrytych przejść lub schowków, po czym wyszła z piwnicy. Przez nikogo nie niepokojona dotarła na swój strych, szybko zrzuciła z siebie mokre ubranie, łyknęła witaminy i jak kłoda zwała się na łóżko. Uznała, że pomyśli nad tym wszystkim rano. Tak, rano będzie najodpowiedniejszym ku temu czasem. Rano. A teraz spaaaaaać.....

VI

Jako że po nocnej przygodzie spała jak kamień, niemalże zaraz po przebudzeniu musiała zbierać się na zajęcia. Dlatego dopiero wieczorem miała czas, aby wrócić do śledztwa. Zrobiła sobie kawy, usiadła na kanapie po turecku i przysunęła bliżej stolik z laptopem. Połączyła się z Internetem i wstukała w wyszu-

kiwarke sekwencję słów „uczciwość, prawa, człowieczeństwo, wszechwiedza, potop.” Ukazało się sporo stron, w których jednak podane słowa były rozrzucone po różnych fragmentach tekstów i nie udało jej się znaleźć nic, co by przypominało regulamin z piwnicy. Zaczęła bębnić palcami o stół. Jakie to były tytuły w księdze? Coś na L... Lakeon? Nie, nie wchodzi. Likoen? To też nie to. Może Lykaon?

Pukanie rozległo się w chwili gdy naciskała enter.

- Kochanie, martwiłam się, cały dzień się nie odzywałaś!

- Pani Adelo, jak się pani czuje? Żle pani wygląda. Nie powinna pani wchodzić po schodach, mogła pani zadzwonić, zesłałym.

Pani Korbicka opadła ciężko na fotel.

- Wszystko w porządku, wszystko dobrze. Opowiedz mi w końcu co się stało w nocy? - błysk w oku zdradzał, że starsza pani nadal była w formie.

Kala opowiedziała dokładnie sensacyjne zdarzenia. W trakcie relacji pani Korbicka chwytiała się za głowę albo pokrzykiwała z przejęcia. Kala opowiedziała jej także wszystko o piwnicy.

W naszej piwnicy? - zdziwiła się starszuszka niezmiernie - Ale co to wszystko znaczy?

- Jeszcze nie wiem, ale być może zaraz się dowiem. - Kala doskoczyła z powrotem do laptopa i kliknęła pierwszy link od góry. - Szukam właśnie, co to jest Lykeon...

- I cóż to takiego? - spytała pani Korbicka gdy Kala z nagłą urwała. - Dziecko, co się stało? Pobladaś jak ściana!

Pusty na szczęście kubek po kawie spadł na podłogę. Kala drżącą ręką naciskała klawisz przesuwając tekst w dół.

- Nie chce pani wiedzieć. Nie lubi pani słyszeć okropności - niewyraźnie wymamrotała dziewczyna. Obok wytłuszczonego hasła, które okazało się imieniem, przeczytała jego grecką wersję. Przed oczami stanęła jej inskrypcja na piwnicznej ścianie. Matko Boska... Przypomniała sobie słowa Leniana: „Ostatnio tyle złego dzieje się w powiecie. Zabójstwa, zaginięcia.”

- To oni! - wykrzyknęła tak nagle, że pani Korbicka chwyciła się za serce. - Dzwonimy na policję!

- Jacy oni? - spytała zdezorientowana starszuszka, starając się nie stracić z oczu miotającej się po pokoju dziewczyny. - O co tu chodzi?

Kala trzęsącymi się dłońmi chwyciła telefon. Pani Korbicka,

jakby pod wpływem nagłego zastrzyku energii, wyrwała jej aparat z ręki.

- Ja zadzwonię, ty jesteś zbyt roztrzęsiona. Usiądź, w międzyczasie zaparzę ci coś ciepłego.

* * *

Komisarz Lenian zjawił się błyskawicznie w asyście trzech mundurowych. Kala nie mogła opanować emocji. Ledwo przekroczyli próg mieszkania doskoczyła do niego, ciągnąc go w dół schodów i wyrzucając z siebie wszystko na raz o tajemniczym lokum w piwnicy. Hałasy przyciągnęły mieszkańców kamienicy.

- Spokojnie. - Lenian uwolnił płaszcz i ramię. - Co tam się niby znajduje?

- To jest jakaś obrzydliwa sekta! To oni stoją za wszystkimi ostatnimi zaginięciami! Niech pan przeczyta! - podała mu wydrukowaną stronę z Internetu.

- Kto to są ci oni? - komisarz skinieniem głowy nakazał funkcjonariuszowi rozprawić się z drzwiami w piwnicy. Wszyscy sąsiedzi zgromadzili się w ciszy na wąskich schodkach.

- Nie wiem, którzy dokładnie. Zaraz pan wszystko zrozumie! To jest ich miejsce praktyk!

Napięcie zawisło w powietrzu. Ale gdyby Kala zerknęła wcześniej na korytarz wiedziałaby, co teraz nastąpi.

Policjant otworzył drzwi i zapalił żarówkę. W pomieszczeniu ujrzeni stertę worków, żelastwa, drewna i słoików. Ściany były odrapane, po meblach, dywanie i inskrypcji nie było śladu.

Wróćmy na górę. - Lenian zakończył krótki rekonesans.

Grupka sąsiadów podążała za nimi w milczeniu. Całkowicie zdeorientowana Kala z komisarzem i dwoma funkcjonariuszami weszli z powrotem do mieszkania.

- Znaleźliśmy broń. Leżała w wózku. Są na niej pani odciski palców - poinformował Lenian, patrząc na dziewczynę z nieskrywanym napięciem.

- Miałam panu powiedzieć. To było poprzedniej nocy... - Kala ucieszyła się, że nareszcie może wszystko wyjaśnić.

- Tak, wiem. Pani Korbicka widziała panią z okna. Zadzwoniła do nas.

- Pani Korbicka? - Kala stanęła jak wryta. - Ale ja tą broń zna-

lażłam! Wyrzucił ją morderca, a potem ktoś mnie napadł i już jej...

- Tylko, że pani Sierawskiej nie zabito z tego pistoletu.

- Nie? - Kala zaczęła gubić wątek. Coś tu zdecydowanie nie gra.

- Nie. I nie zabito jej z żadnego innego. Po pierwsze, musiała zginąć przed osiemnastą, jako że podwórko było nieodśnieżone, a czyniła to zawsze o tej porze. Po drugie, zginęła od uderzenia w głowę czymś mosiężnym.

Teraz to Kala poczuła się jakby dostała czymś ciężkim. Odruchowo spojrzała na podarek od staruszki prezentujący się dumnie na regale.

- Tak, zapewne właśnie tym świecznikiem. - podsumował Lenian.

Ale przecież dostała go w prezencie już po morderstwie! Muszą być na nim też inne odciski palców! Przywołała z pamięci wizytę staruszki. Jak wręcza jej świecznik... w pudełku...

- Pan naprawdę myśli, że to ja? Jaki miałabym motyw? - nie mogła uwierzyć, że sprawy tak się potoczyły. Czy jej się to śni?

- Tego jeszcze nie wiemy. Ale pani Sierawska zginęła w czasie, gdy w kamienicy była tylko pani. Wszyscy inni mają alibi.

No tak, wystarczyło, aby został jeden z nich i wykonał wyrok. Razem wykonali resztę.

- Ale w pani stanie... może od tak, po prostu? Nagły impuls? Nie pani przyzna, jak to było.

- W jakim stanie? O czym pan bredzi?

- Sąsiedzi od samego początku zauważyli, że jest pani, jakby to powiedzieć, niespełna władz umysłowych. Że pani konfabuluje, żyje we własnym świecie.

- Co za bzdury! I pan im uwierzył na słowo? Kto tak mówi?

- Wszyscy. Ja też. Pani Karolino... - Lenian chwycił ją za ramiona niemal opiekuńczym gestem - Pani Malikowska nie ma żadnego dziecka, pan Wojski nie ma psa, na parterze nie mieszkają studenci, tylko samotny informatyk. A teraz jeszcze ta sekta.

Dziewczyna wpatrywała się w niego tępo. Jak to? Zaraz ... a rozmowa z panią Sierawską, czyżby ona o nich nie mówiła?

- No i pani Korbicka, emerytowana aktorka, mieszka sama, nigdy nawet nie miała męża - dodał Lenian.

Kala opadła z sił. W jednej chwili wszystko zrozumiała. Jakby oglądała film sensacyjny, w którym po poznaniu zakończenia wracamy do początku, aby odnaleźć wskazówki, na które wcześniej nie zwróciliśmy uwagi. Zdjęcia w mieszkaniu staruszki... Fakty-

cznie, pochodziły z przedstawień i występów. Świetnie odegrała swoją rolę. Poprowadziła ją i policję dokładnie tam, gdzie chcieli.

Tylko kto należał do sekty? Zaskoczyła ich wtedy w piwnicy, gdy wróciła wcześniej. Chwileczkę... krzesel przy stole było sześć. Licząc same realne osoby: Korbicka, Malikowska, Wojski, Berdzikowie, informatyk...

- Do sekty należeli wszyscy, cała kamienica!

Policjanci nie zareagowali, krępowali jej ręce sprawnie i bez cienia wzruszenia.

Myśli galopowały w głowie dziewczyny. Stara gospodyni zmarła, nowa była przykra i niebezpieczna. Może też ich nakryła? Musieli się jej pozbyć. Ale trzeba było zrzucić na kogoś winę. Zwabili Kalę pięknym mieszkaniem, które sami szybko załatwili i przygotowali. Zadbali, aby uwierzyła w historie, których nie było. Odwołali zajęcia, aby była w domu...

- A zajęcia? Przecież o tej porze powinnam być w pracy. Odwołali zajęcia!

- Pan Karol, ten informatyk z parteru, zeznał, że to pani odwołała lekcje w ich firmie - odparł sucho Lenian otwierając drzwi. Grupa sąsiadów rozstąpiła się.

Nawet już ją to nie zdziwiło. Obmyślili wszystko dokładnie, byli wszędzie. Nawet rękawiczki zabrali, aby być pewnymi, że zostawi odciski na broni.

- Gdy zorientowała się pani, że w momencie morderstwa była sama w budynku, zaryzykowała pani upozorowanie zabójstwa na późniejszą godzinę. Tylko, że rana nie była śmiertelna.

- Ale równocześnie wyjrzałyśmy z panią Korbicką...! - Kala rozejrzała się po otaczających ją twarzach. Zdała sobie sprawę, że nie ma punktu oparcia. Bóg wie, co stara jęcza zmyśliła. Sprytnie też wepchnęła ją do mieszkania, aby Kala nie zobaczyła prawdziwego sprawcy.

Zamilkła. Była sama. Niczego nie udowodni. Jej rola również się skończyła, kurtyna opadła.

* * *

Gdy wyprowadzano ją na zewnątrz było ciemno i spokojnie. Sąsiedzi wylegli w papuciach przed drzwi wejściowe, odprowadzając ją szeptami „biedna dziewczyna” i „kto by pomyślał”.

Zwyczajni sąsiedzi w zwyczajnej kamienicy. A Wodzisław stał piękny i niewzruszony. Teraz jej własne, osobiste wymarłe miasto, w którym była całkiem sama...



CENA SZTUKI

Światło latarni na ulicach Loslau nigdy nie wydawało mi się tak rażące, jak dzisiejszego wieczora. Nawet księżyc świecił jakby jaśniej niż zwykle, a odgłosy szumiących drzew dochodzące z parku boleśnie raniły moje uszy. Trzeba jednak przyznać, że objawy przemęczenia musiały w końcu dać o sobie znać. Ostatnie dni nie należały do łatwych, lecz przyzwyczailem się do tych trudnych dni, które następowały po zakończeniu dochodzenia.

Przechadzałem się uliczkami w pobliżu rynku i zastanawiałem się jak zakończyć ten wieczór. Powinienem być zadowolony z takiego obrotu sprawy... Rozwiązałem zagadkę morderstwa Klausa Bachmanna. O sprawie słyszano chyba już w całej okolicy. Faktycznie... To był cholernie ciężki orzech do zgryzienia. Brak śladów na miejscu zbrodni, zero podejrzeń... no ale nie istnieje przecież zbrodnia doskonała. Taka była moja teoria i sprawdzała się ona zawsze - prędzej czy później. Normalny człowiek puchłby z dumy mając na koncie takie dokonanie. Niestety posiadałem pewną natrętną cechę, której żadne sukcesy nie były w stanie zmazać. Pomimo sukcesu, ja - Maksymilian Wolf, nie potrafiłem się cieszyć. Mój perfekcjonizm był na tyle męczący, że zaśta-

nawiałem się od zawsze - co mogłem zrobić lepiej, skuteczniej, inaczej...? Nie cierpiałem tego uczucia, lecz oswoiłem je, podobnie jak przywykłem do trudnych dni. Moje demony stały się częścią mnie, którą musiałem akceptować ja i moje otoczenie, a przynajmniej te osoby z otoczenia, które były na mnie skazane.

Właśnie dlatego postanowiłem pracować na własny rachunek. Ograniczenia, które narzucała mi praca w policji nie jeden raz przypierały mnie do muru i dawały poczucie bezradności. Poza tym mój zwierzchnik wyjątkowo lubował się w utrudnianiu mi życia. I tutaj poczuwam się w obowiązku przytoczyć kolejną moją teorię: szefom lepiej się nie sprzeciwiać... no chyba, że chcemy przejść na wcześniejszą emeryturę lub zmienić zawód. Nic jednak nie przeszkodziło mi w tym, aby po piętnastu latach służby w policji podjąć wyzwanie, które rzucił los i zacząć pracę jako prywatny detektyw. Z pracy w policji zachowałem niezawodne i niezwykle użyteczne kontakty. To niewiarygodne, ile czasami można załatwić jednym telefonem do właściwej osoby... Lekarze, sklepikarze, osoby duchowne, handlarze, którzy oferowali zarówno broń, jak i zagraniczny tytoń, wszelakie alkohole i cięższe używki; oni wszyscy, łącznie z tutejszymi prostytutkami i kilkoma innymi "dobrymi duchami", byli nieocenionymi obserwatorami zwykłej codzienności, w której zdarzają się rzeczy niecodzienne. Zawsze na miejscu, zawsze przygotowani na moje pytania.

Mijałem już Kloster Strasse, kiedy uświadomiłem sobie, że jest naprawdę późno. Zegar na wieży kościoła wskazywał drugą w nocy. Czas wracać do domu, który był zresztą jednocześnie moim biurem. Przyśpieszyłem kroku, aby przejść niezauważonym przez drobnych pijaczków, szwendających się nocami po bramach, koniecznie chcących podzielić się ze mną zawartością pierśiówki ukrytej pod marnym płaszczem. Taka jest cena zawierania przyjaźni na ulicy. Jednak przyjaźnie te nie są nigdy bezinteresowne. Ci ludzie są moją nocną strażą i kiedy trzeba, chętnie zdają raport za niewygórowaną cenę. Zacząłem już prawie biec, bo silny wiatr nie sprzyjał spacerom, a poza tym chciałem jak najprędzej napić się ulubionego koniaku i udać się na zasłużony odpoczynek.

Po niedługim czasie trafiłem do swojego mieszkania, gdzie z kanapy przywitał mnie ziewnięciem mój czarny kocur. Zwierzę spojrzało na mnie z pogardą i oburzeniem, bo przecież inni

właściciele kotów nie wracają w środku nocy i nie przerywają swoim pupilom snu.

Moje rozmyślanie nad złożonością kociej natury przerwał głośny dźwięk telefonu. Tym razem to ja się obruszyłem i przez parę sekund miałem poważny dylemat, czy podnieść słuchawkę, czy też udać się do sypialni zapominając o natręcie, który chciał zniweczyć mój plan. Wrodzona ciekawość jednak zwyciężyła. Podniosłem słuchawkę telefonu wibrującego na potężnym biurku znajdującym się w gabinecie. Usłyszałem podniecony głos mojego dobrego znajomego z policji:

- Maks? Słuchaj, musisz tutaj przyjechać... Wiem, że jest już cholernie późno, ale rano mógłbyś mi tego nie wybaczyć.

- Może łaskawie powiesz w końcu o co chodzi...? I masz rację. Jest cholernie późno i lepiej, żebyś miał coś ważnego.

Arthur Schultz nawet nie musiał mnie przekonywać, że dzwoni w ważnej sprawie. On nigdy nie dzwonił bez istotnej przyczyny...

- Maks, zdejmuj szlafrok i zakładaj płaszcz. Za dziesięć minut w parku zamkowym.

Odłożył słuchawkę.

W sekundę otrzeźwiałem. Arthur miał coś dla mnie i zapewne był na miejscu jakiegoś niezwykłego wydarzenia! Gdy odchodziłem z policji zawarliśmy potajemną umowę. Kiedy w mieście dzieje się coś niezwykłego, Arthur miał do mnie dzwonić, aby mnie o tym informować. Nie miałem na celu narzucania się rodzinom zamordowanych czy też posiadaczom skradzionych dzieł sztuki, lecz moja dociekliwość nakazywała mi być zawsze na miejscu tam, gdzie zło zostawiało swoje piętno.

W rekordowym czasie założyłem płaszcz i lakierowane czarne buty. Chwyciłem także kapelusz oraz laskę, która bardziej miała mi dodawać powagi i elegancji, niż ułatwiać szybkie przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Jakaś wielka siła ciągnęła mnie ulicami Loslau, po których przechadzałem się jeszcze godzinę temu. Chłonałem wilgoć powietrza i klimat miasta nocą; tym razem na nowo, aby przygotować się na nowe okoliczności.

Już z odległości mniej więcej dwudziestu metrów dojrzałem spokojnie czekające konie policyjne oraz samych mundurowych przeganiających tłum ludzi, którym, tak samo jak mnie, coś musiało przeszkodzić w nocnym odpoczynku. Z tego całego zamieszania wyłonił się Schultz i odciągnął mnie na stronę. Kiedy

stanęliśmy twarzą w twarz poza zasięgiem wzroku zebranych, zauważyłem, że mój towarzysz, nieprzerwanie gestykulując, próbuje mi coś powiedzieć.

- Nikt nie może nas tu razem zobaczyć. Wiesz jak jest... Szef nie przepada za tobą, a poza tym zaczął ostatnio węszyć w wydziale. Podejrzewa, że ktoś cię może informować o dokonanych przestępstwach. Lubię cię i szanuję, ale Anette nie wybaczyłaby mi, gdybym teraz stracił robotę - wysapał jednym tchem.

No tak... Teraz, gdy żona Schultza spodziewa się dziecka, z pewnością utrata jedyne go źródła dochodu nie wróżyłaby niczego dobrego. Czasy nie były łatwe.

- Możesz być spokojny, przyjacielu. Dobrze wiesz, że nie puszczę pary z ust. Poza tym postaram się aby Keller mnie tutaj nie wywęszył.

Moje słowa wyraźnie dodały mu otuchy, bo lekko się uśmiechnął i poklepał mnie po ramieniu. Za chwilę zniknął mi z oczu, aby zatopić się w gąszcz zebranych ludzi.

Postanowiłem zgodnie z obietnicą trzymać się poza zasięgiem wzroku osób, które nie powinny mnie tam zobaczyć. Panujące zamieszanie stwarzało idealne warunki do zorientowania się w sprawie. Trzymając się trochę z boku przedarłem się przez grupę ludzi komentujących coś między sobą. Stałem za pobliskim drzewem, których nie brakowało w parku. Z tego miejsca mogłem dokładnie dojrzeć ciało, które wyglądało jakby rzucone na środek alejki. Był to mężczyzna żydowskiego pochodzenia. Jego eleganckie ubranie świadczyło o jego zamożności i dobrym guście. Wyglądał na jednego z tych bogatych kupców, których pełno w mieście. Nie powinno mnie to dziwić. Napady na tle rabunkowym zdarzały się dość często, a zwłaszcza kiedy ktoś jest na tyle nierozsądny, aby spacerować po parku o tej porze. Oczywiście było, iż człowiek ten został zamordowany całkiem niedawno. Krew sącząca się z ran w brzuchu jeszcze była świeża. Była pewna rzecz, która nie pasowała mi do całości tego, co widziałem. Skoro motywem zabójstwa mógł być rabunek, to dlaczego ofiara nie została pozbawiona licznych złotych pierścieni i zegarka, który podczas wydarzenia musiał wysunąć się z kieszonki kamizelki. Teraz ów zegarek i pierścienie już nieużyteczne dla swojego właściciela połyskiwały i kusily, lecz dla mnie wydawały się tak samo martwe jak ich posiadacz. Oprzeć się takiej pokusie... Nie mieściło mi się to w głowie.

Ktoś chwycił mnie nagle za ramię i odciągnął energicznie do tyłu. Odwróciłem się zaskoczony, lecz moje zdziwienie minęło, kiedy zobaczyłem, że to tylko Arthur.

- I co o tym myślisz? - zapytał.

- Sam nie wiem, co myśleć. Początkowo sądziłem, że chodzi o rabunek, ale... widzisz te sygnety? Ten z rubinem jest wyjątkowo okazały...

- Maks, dlatego właśnie zadzwoniłem do ciebie. Wszyscy zastanawiają się, o co w tym wszystkim chodzi. Znaleźliśmy w jego kieszeni dokumenty. Denat przybył tutaj z Breslau i nazywał się Emmanuel Kaufman, ale w jakim celu i z kim się spotkał ... tego nie wiemy.

- Kto znalazł ciało?

- Ktoś podrzucił nam informację zapisaną na kawałku papieru. Pewnie ktoś przypadkowy znalazł ciało i nie chciał mieć kłopotów, dlatego zgłosił sprawę anonimowo.

- Trzeba będzie dotrzeć do kogoś z otoczenia Kaufmana. No ale to już wasza działka. Chciałbym jeszcze tylko porozmawiać z Braunem, kiedy ciało znajdzie się w jego rękach. Może znajdzie coś ciekawego.

Hans Braun był lekarzem sądowym, który, podobnie jak Schultz, dość chętnie ze mną współpracował.

- Kiedy już dowiem się czegoś nowego, od razu dam ci znać. Teraz powinieneś już chyba wracać do domu. Za chwilę zabieramy ciało - poinformował mnie Schultz.

- Masz rację. Chociaż nie wiem, czy ta sprawa pozwoli mi zasnąć. W każdym razie dziękuję za ściągnięcie mnie tutaj. Dobranoc.

Wróciłem tą samą drogą do domu, nie mogąc pozbyć się myśli o tym, co widziałem. Tak jak przewidywałem, nie mogłem tej nocy zmrzyć oka.

Po długim czasie musiałem jednak zapaść w drzemkę, bo obudziło mnie czyjeś natarczywe pukanie do drzwi. Zerknąłem na zegarek - było już po dwunastej. Niepocieszony przerwany odpoczynkiem dowlokłem się do drzwi. W korytarzu stała niewątpliwie urodziwa, aczkolwiek zapłakana kobieta. Mogła mieć około trzydziestu lat. Może nawet gdyby ująć oznaki zmęczenia... jeszcze mniej.

- Pan Maksymilian Wolf? Ja przepraszam bardzo... Najwyraźniej pana obudziłam. Jestem Estera Kaufman, jestem żoną.

Emmanuela. On... Ktoś go wczoraj zamordował.

Ostatnie słowo wymieszało się z wybuchem płaczu. Zrobiło mi się żal tej niedbale ubranej i nieuczesanej młodej kobiety, która trzęsła się jak osika stojąc w drzwiach mojego mieszkania.

- Coś słyszałem o tym strasznym wydarzeniu. Bardzo współczuję. Zapraszam do środka. Wskazałem kobiecie krzesło w biurze i zaoferowałem filiżankę kawy. Może to egoistyczne, jednak propozycja ta wzięła się z mojej osobistej chęci wypicia kawy. Najwyraźniej czekała mnie ważna rozmowa i musiałem się błyskawicznie obudzić. Wręczając kobiecie filiżankę gorącego płynu usadowiłem się naprzeciwko niej i czekałem.

- Panie Wolf, jestem tutaj, bo wiele czytałam w prasie o pana pracy. Wiem, że jest jeszcze bardzo wcześnie... Mój mąż został zamordowany tej nocy. Ja jednak nie potrafię spokojnie siedzieć i czekać. Widziałam w kostnicy jego ciało. To okropne. Najgorsze jest to, że policja nie wie, kto mógł to zrobić. Dlatego proszę pana o pomoc w odnalezieniu mordercy.

Takiego obrotu sprawy nie mogłem się spodziewać. Zapomniałem o stygnącej kawie. Już jej nie potrzebowałem.

- Pani Kaufman, podejmę się tej sprawy i mam nadzieję, że jej rozwiązanie przyniesie pani spokój. Proszę mi powiedzieć, w jakim celu pani mąż przyjechał do Loslau?

- Mój mąż był znanym w Breslau kolekcjonerem sztuki. Interesowały go głównie obrazy. Czasami kupował je ze względu na ich wartość, a czasami tylko ze względu na własne odczucia estetyczne. W każdym razie przyjechał tutaj, aby spotkać się z posiadaczem jakiegoś obrazu, na którym bardzo mu zależało. Bez przerwy o tym opowiadał, a przed samym wyjazdem cieszył się jak dziecko.

- Czy może mi pani powiedzieć od kogo konkretnie pan Kaufman chciał kupić ten obraz?

- Niestety nie. Od zawsze trzymał swoje kontakty w największej tajemnicy. Nie wiem nic o jego interesach.

Kolejna niewiadoma. Zacząłem się zastanawiać, czy nie jest to zbyt beznadziejna sprawa, aby się jej podejmować. Postanowiłem jednak brnąć dalej i zadać pytanie, które dla wielu osób byłoby w sytuacji pani Kaufman niewygodne.

- Czy jest w stanie mi pani zdradzić czy mąż spisał jakiś testament? Mniemam, iż skoro był posiadaczem cennych dzieł, to musiało mu zależeć na tym, aby w razie jego śmierci trafiły w dobre ręce.

- Tak, mój mąż spisał testament. Pewnie sądzi pan, że to mnie przepisał swoją kolekcję. Muszę pana zmartwić, bo te dzieła należą teraz do muzeum w Breslau. Mnie pozostawił dom i spory majątek. Emmanuel chciał aby po jego śmierci do dzieł mieli dostęp inni ludzie. Pragnął, aby każdy mógł podziwiać i docenić pracę wielkich artystów. Mój mąż z pewnością nie przypuszczałby, że dojdzie do tego tak szybko.

Z dalszej rozmowy z panią Kaufman dowiedziałem się, że w czasie, gdy zamordowano jej męża, przebywała u swojej kuzynki. Pożegnałem się z moją klientką i wróciłem go gabinetu. Wypiłem na raz całą kawę, która już całkowicie ostygła w filiżance. Pani Kaufman nie miała nic wspólnego z zamordowaniem męża. Mimo, iż bardzo skorzystała na jego śmierci, to i tak miała alibi. Poza tym zatrudnianie prywatnego detektywa byłoby w tej sytuacji krokiem samobójczym.

Teraz kiedy już oficjalnie pracowałem dla żony zamordowanego, postanowiłem zadzwonić do Brauna, który mógł mieć już coś do powiedzenia na temat zwłok.

- Halo, Braun? Mam pytanie odnośnie tego zabitego Żyda, którego znaleziono w parku. Jego żona powierzyła mi rozwiązanie sprawy. Wiesz coś nowego?

- Witaj Wolf! Założę się, że już co nieco widziałeś kiedy do parku przyjechała policja. Już ja cię znam... Przechodząc do rzeczy, to niewiele mogę ci powiedzieć. Miał około czterdziestki, został zastrzelony. Żadnych śladów po walce czy szarpaninie. Miał przy sobie parę osobistych rzeczy: dokumenty, biżuterię - w tym całkiem niezły zegarek, trochę gotówki.

- I to wszystko? Nic poza tym?

- Przykro mi, Wolf. Wygląda na to, że czeka cię ciężka robota. Aha... Jest jeszcze jeden szczegół. Pan Kaufman musiał wcześniej sporo wypić.

- Wyczułeś alkohol?

- Wyczułem nawet całą butelkę alkoholu. Poza tym jego krew była bardzo rozrzedzona.

Po odłożeniu słuchawki już wiedziałem gdzie powinienem kontynuować poszukiwania. Karczma przy Sohrauer Strasse. Tam musiałem się udać dzisiejszego wieczora.

Była godzina dwudziesta druga, kiedy znalazłem się w cuchnącym starym piwem i tytoniem wnętrzu. Panowało tutaj normalne dla takich miejsc zamieszanie wypełnione brzękiem szkła i po-

krzykiwaniami lekko otumanionych bywalców. Podszedłem do szerokiej lady i zamówiłem koniak u żydowskiego karczmarza. Ten wyćwiczonym ruchem długich palców przelał resztę alkoholu z butelki do szklanki i podsunął prosto do mojej ręki.

- Pan jest właścicielem tego lokalu, prawda? - zapytałem go.

- Tak. Lubię mieć oko na swoje interesy.

- To zapewne również ma pan oko na nowych gości.

- To prawda. Dlatego też wiem, że pan tutaj raczej nie pasuje.

Mówiąc to wyprostował się i spojrzał na mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Chciałbym tylko dowiedzieć się pewnej rzeczy. Byłem tutaj umówiony wczoraj z moim znajomym, ale niestety nie mogłem przyjść. Przyjechał z innego miasta... wysoki, dobrze ubrany, nosi sporo sygnetów na palcach. Jest Żydem, jak pan. Na pewno by go pan zapamiętał.

- Przykro mi ale nie było tu nikogo takiego. Przyjezdni zostawiają tutaj sporo gotówki, a wczoraj miałem słaby utarg.

Po tej rozmowie postanowiłem przenieść się z moim koniakiem w pobliże mężczyzn siedzących w głębi karczmy. Jeden z nich odznaczał się łagodnym wyglądem i pocziwymi oczami. Drobný, nieszkodliwy pijaczek jakich wielu. Postanowiłem zapytać go czy był tutaj wczorajszego wieczora. Kiedy potwierdził, zadałem mu to samo pytanie, które wcześniej zadałem już karczmarzowi.

- Aa... tak. Był tutaj taki. Wie pan, przyszedł i postawił wszystkim kolejkę. Bardzo miły jegomość. Wykrzykiwał coś, że zrobił świetny interes. Dawno nie widziałem kogoś w tak dobrym humorze.

- Zauważył pan może, żeby ten jegomość miał przy sobie jakiś większy pakunek?

- Owszem. Ciągle go poklepywał i nie spuszczał z oczu. Taki uprzejmy i elegancki...

A więc jednak. Czyli wiadomo, że Kaufman, kiedy dotarł do karczmy, był już w posiadaniu obrazu.

- Czy zauważył pan, kiedy ten człowiek wyszedł?

- Prawdopodobnie tuż przed zamknięciem. Siedziałem tutaj dosyć długo i kiedy wychodziłem, on jeszcze był. Najwidoczniej nie był zbyt wprawiony w picie, bo chyba biedak już przysypiał. Proszę zapytać właściciela. Czemu pan tak wypytuje o tego miłego człowieka? To jakiś pana znajomy?

Pozostawiłem moją rozmówcę bez odpowiedzi. Nie skorzy-

stałem również z porady dotyczącej rozmowy z karczmarzem. Skoro ten twierdził, że Kaufmana nie obsługiwał, to znaczyło, że albo nie wzbudziłem jego zaufania, albo ma bardzo krótką pamięć, lub też... miał coś do ukrycia.

Pochłonięty myślami zacząłem powoli oddalać się od karczmy, gdy drogę zastąpił mi człowiek, który wyrósł przede mną jak spod ziemi.

- Dobry panie, dajże markę. W gardle mi tak strasznie zaschło.

Byłem jak magnes na takich typków. Nigdy nie odpuszczali sobie zaczepiania mnie na ulicy. Postanowiłem obrócić tę przypadłość na swoją korzyść.

- Często pan tu bywa? - zapytałem.

- Wolałbym być w karczmie, ale tam z pustymi kieszeniami nie ma po co chodzić. No to bywam tu, bo czasami ktoś uprzejmy rzuci monetą, a potem do karczmy blisko.

Faktycznie, brama, z której prawdopodobnie wyłonił się nieznajomy, znajdowała się naprzeciwko karczmy. Po wytartym płaszczu, dziurawych butach i wielodniowym zaroście tego pijaczka można było domniemywać, że owa brama była dla niego wygodnym lokum i jedynym schronieniem przed niesprzyającą pogodą.

- A był pan tutaj może wczorajszego wieczora? Albo w nocy...?

- A byłem, i wieczorem, i w nocy. Leczyłem kaca. He he, zresztą chyba nie tylko ja dzisiaj leczę kaca, bo ten biedak, co go wynosili też nie wyglądał za dobrze - zaśmiał się chrapliwie.

Nie wiedziałem, o czym dokładnie mówił ten człowiek, ale coś mi podpowiadało, że powinienem się tego dowiedzieć. Wyciągnąłem kilka marek i wcisnąłem pijakowi do pomarszczonej, sztywnej dłoni.

- Umówmy się tak: ja pomogę panu w wyleczeniu kaca, a pan mi opowie, co tu wczoraj widział - zaproponowałem.

Na widok pieniędzy oczy mu się zaświeciły, a uśmiechnięte wargi pokazały ubytki po zębach.

- Ja szanownemu panu jeszcze nieba uchylę... A jak pan chce wiedzieć co się działo, to tak jak mówiłem... Upił się jakiś biedak w karczmie i musiał zasnąć tak jak siedział, bo wynosili go we dwóch stamtąd.

- Jakich dwóch? Kto dokładnie wynosił tego człowieka?

- Wie pan, dokładnie to nie wiedziałem, bo zmęczony już byłem. Pewnie karczmarz z kimś jeszcze, bo kto inny, skoro o tej porze to

on już interes zamyka. Nie wiem co to byli za ludzie, bo było ciemno. Poza tym usnąłem zaraz po tym, jak zniknęli za rogiem kamienicy.

- Nie słyszał pan wcześniej żadnych hałasów?

- Wcześniej mnie tu nie było. Wracalem właśnie z synagogi, kiedy zobaczyłem jak niosą tego biedaka. Dzisiaj pewnie leczy kaca...

Wiedziałem już, co powinienem zrobić. Udałem się prosto do domu Schultza, który mieszkał niedaleko przy Malzhaus Strasse. Kiedy otworzył mi drzwi i wpuścił do środka opowiedziałem mu o wszystkim, czego się dowiedziałem.

- Czyli myślisz, że ten karczmarz zastrzelił Kaufmana? - zapytał zaskoczony.

- Mam świadka na to, że ofiara była tego wieczora w karczmie. Poza tym został jako ostatni klient. Ktoś inny twierdzi, że dwie osoby wynosiły kogoś z karczmy tuż przed jej zamknięciem. Niestety nie mogę ręczyć za wiarygodność tego drugiego świadka...

- Czy ten świadek rozpoznał drugą osobę niosącą ciało?

- Niestety nie. Tak naprawdę nie potwierdził nawet, że jedną z tych osób był właściciel karczmy.

- W porządku. Trzeba będzie przesłuchać karczmarza i przeszukać lokal. Przesłuchaniem zajmę się osobiście. Braun mówił mi, że zajmujesz się sprawą oficjalnie. Podeślę ci później raport z przesłuchania, abyś mógł wszystko wyjaśnić swojej klientce.

Po opuszczeniu mieszkania policjanta poszedłem do siebie. Celowo wybrałem dłuższą drogę, która prowadziła przez park. Usiadłem na ławce niedaleko miejsca, gdzie znaleziono ciało żydowskiego kolekcjonera sztuki. Zacząłem się zastanawiać, co miałoby skłonić karczmarza do morderstwa tego człowieka. Kim był drugi człowiek, który pomagał przenosić ciało? Może to on zabił... W każdym razie karczmarz zdecydowanie musiał coś ukrywać i miałem wielką nadzieję dowiedzieć się, co to była za tajemnica.

Kolejna noc nie przynosiła mi większej ulgi niż poprzednie. Obudziłem się z dodatkowym dyskomfortem w postaci mrowienia w nodze. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że przyczyną tego był mój kot, który uznał moją łydkę za świetne legowisko. Odzyskując czucie w nodze, udałem się do gabinetu.

Najpierw zadzwoniłem do Arthura z zapytaniem o wyniki w sprawie karczmarza.

- Maks, właśnie miałem do ciebie dzwonić! Nie uwierzysz... Właściciel karczmy ukrywał w piwnicy swojego lokalu kilka bardzo cennych obrazów... kradzionych obrazów! Poza tym zatrzymany nie przyznaje się do morderstwa. Nie posiadał broni palnej i nie znaleźliśmy takowej, ani w karczmie, ani w jego domu. Nie mamy pewności czy obraz, który kupił Kaufman, znajduje się wśród obrazów ze znalezionej przez nas kolekcji...

- Wspomnił coś o wspólniku?

- Twierdzi, że współpracował ze złodziejami dzieł sztuki sam. Nic nie wie o morderstwie i twierdzi, że nie pamięta, aby Kaufman był w jego karczmie.

- Arthurze, to wszystko nie ma sensu.

- Może po prostu twoi świadkowie mają bujną wyobraźnię... lub też było to zwykłe majaczenie typowe dla osób, które nadużywają alkoholu?

- Być może... W każdym razie dzięki za informacje.

- Zawsze do usług.

Zdecydowanie coś nie pasowało w tej układance. Nie mogłem uwierzyć, że policja tak łatwo uwierzyła w wersję karczmarza, pomimo informacji, które im przekazałem.

Kolejny telefon wykonałem do Brauna, aby uprzedzić go o swojej wizycie w kostnicy.

Wychodząc z bramy zauważyłem tutejszego doktora - Erwina Nuemanna, z którym zresztą byłem zaprzyjaźniony. Gdy Erwin również mnie dostrzegł, podniósł wolną rękę w przyjacielskim powitaniu. Drugą rękę zajmowała mu sporych rozmiarów torba podróżna.

- Witaj Erwinie! Gdzie się wybierasz z takim bagażem? - zagadnąłem.

- Och... Maks, witaj. Dopiero co przyjechałem z konferencji, a dokładniej z Gleiwitz. Właśnie wracam z dworca. Jestem padnięty. Czterodniowe dyskusje na temat wirusów są naprawdę wyczerpujące - wysapał.

- Ha ha... nie wątpię, Erwinie. Nie wątpię - zaśmiałem się - Dlatego też nie będę cię już zatrzymywał. Zapewne chcesz odpocząć po podróży.

Po tej wymianie zdań i obietnicy, że w niedługim czasie wpadnę do Erwina na lampkę domowej nalewki, udałem się w dalszą drogę,

aby dotrzeć w końcu do budynku z kostnicą, mieszczącego się koło miejskiego szpitala na Wall Strasse.

Przemierzając głuche korytarze jeszcze nie wiedziałem, o co dokładnie chcę zapytać Hansa. Uznałem jedynie, że oglądanie ciała jest raczej zbędne. Dotarłem do potężnych, brązowych drzw, i za którymi dostrzegłem Hansa pochylonego nad nagim, wyblakłym ciałem Emmanuela Kaufmana.

- Witaj Maks! Przyszedłeś zaspokoić ciekawość? Uwierz mi, że powiedziałem ci wszystko przez telefon, kiedy rozmawialiśmy o zamordowanym pierwszy raz - powiedział z lekką ironią w głosie.

- W to nie wątpię drogi Hansie. Wierzę w twoje umiejętności i skuteczność w pracy.

- Miło mi to słyszeć, Maks; rzadko słyszę takie pochwały. W takim razie w czym ci mogę jeszcze pomóc?

- Mógłbyś mi pokazać rzeczy osobiste, które miał przy sobie Kaufman?

- Jasne. Chodź za mną.

Przeszliśmy korytarzem do pomieszczenia, w którym trzymano wszystko, co należało do ofiar morderstw, a czego z różnych przyczyn nie odebrały ich rodziny. Braun sięgnął po skrzynię znajdującą się na jednej z wielu półek.

- To są jego rzeczy: ubranie, trochę gotówki, jakieś papiery, biżuteria...

Zabrałem się do przeszukiwania zawartości skrzyni. Faktycznie nie było w niej nic konkretnego prócz jednego drobiazgu. Dostrzegłem dobrze ukrytą kieszeń wewnątrz kamizelki, którą wcześniej miał na sobie Kaufman. Gdyby nie to, że jej brzeg nieznacznie się uchylił, to prawdopodobnie uszłaby ona mojej uwadze. Wnętrze kieszeni zajmował arkusik papieru listowego z zapisanym nazwiskiem i adresem: Friedrich Rosenberg, Rattiborer Strasse 17, Loslau.

Pospieszenie przepisałem te dane do swojego notesu i wyszedłem z kostnicy pozostawiając Hansa w pełnym zdumieniu i zaskoczeniu.

Moja podróż do domu na Rattiborer Strasse była dość długa. Byłem jednak pewien, że trud może się opłacić. Sądziłem, iż Friedrich Rosenberg mógł być osobą, od której Kaufman kupił obraz. Był też prawdopodobnie jedyną osobą, którą mąż mojej klientki poznał w Loslau...

Byłem już przy ulicy Rattiborer Strasse przed domem z numerem 17. Dom ten był położony z daleka od ruchliwego centrum. Pomyślałem również o tym, że warunki do robienia interesów bardzo sprzyjają w tak spokojnym i wolnym od ciekawskich oczu miejscu. Zakolatałem do drzwi. Po chwili otworzył mi dobrze zbudowany mężczyzna o siwiejących włosach, ze starannie utrzymanym i wypielegnowanym wąsem.

- Dzień dobry panu. Mam przyjemność z panem Rosenbergiem, prawda?

- Tak. W czym mogę pomóc?

- Nazywam się Maksymilian Wolf. Jestem prywatnym detektywem.

Najwyraźniej zaintrygowany gospodarz, poprowadził mnie do wielkiego salonu. Ściany pomieszczenia wypełniały obrazy, większości oprawione w zdobione, rzeźbione ramy.

- Czy napije się pan kawy? - zapytał.

- Z przyjemnością.

Kiedy Rosenberg wrócił z kawą powiedziałem mu, jaki jest cel mojej wizyty.

Na wieść o morderstwie żydowskiego kolekcjonera zauważyłem na jego twarzy dezorientację, którą próbował ukryć.

- Więc proszę mi powiedzieć, czy robił pan interesy z Kaufmanem?

- Panie Wolf... Musi pan wiedzieć jedną rzecz. W środowisku kolekcjonerów i handlarzy dzieł sztuki panuje podstawowa zasada: nigdy nie zdradzamy swoich kontaktów. Tak więc ja nie mogę zdradzić nazwiska żadnego ze swoich klientów. Muszę, dbać o reputację.

- Będzie pan o nią dbał nawet, jeśli jedyny trop w sprawie morderstwa prowadzi do pana?

- Nic pan na mnie nie ma prócz świstka papieru z moim nazwiskiem i adresem. Poza tym mam na ten czas alibi. Przedwczoraj w nocy byłem w domu, co potwierdzi moja żona - odpowiedział wzburzony.

Od jakiegoś czasu rzucałem ukradkowe spojrzenia na terminarz w brązowej, skórzanej oprawie, leżący na stoliku obok ręcznie malowanej wazy. Postanowiłem użyć trochę kompromitującego moją osobę, aczkolwiek skutecznego zagrania. Sięgając po moją filiżankę z kawą, rozlałem całą jej zawartość na ławę, a przy okazji również na spodnie siedzącego naprzeciwko Rosenberga.

- Och nie! Przepraszam bardzo za moją niezgrabność. Tyle szkody...

- Proszę się nie przejmować. Zaraz wrócę, tylko się przebiorę - odpowiedział, wstając z fotela.

Gdy tylko mężczyzna wyszedł, podszedłem do stolika, na którym leżał terminarz i szybko schowałem zdobycz do kieszeni płaszcza. Kiedy podnosiłem laskę pozostawioną w holu, akurat wrócił gospodarz i ze zdumieniem zapytał, dlaczego wychodzę tak nagle. Widziałem, że fakt ten przyniósł mu niemałą ulgę, bo mógł w końcu pozbyć się niewygodnego gościa. Po uprzejmym podziękowaniu za gościnę, opuściłem dom kolekcjonera i nie tracąc czasu pośpieszyłem do swojego mieszkania.

Siedząc przy biurku i trzymając skradziony terminarz w dłoniach myślałem tylko o tym, że jest to prawdopodobnie moja ostatnia szansa na wyjaśnienie sprawy. Przeglądanie zapisków pod datami zacząłem od dnia śmierci Kaufmana. Intuicja mnie nie zawiodła. Znajdował się pod tą datą zapisek o spotkaniu z Emmanuelem Kaufmanem. Właściciel notesu zapisał nawet tytuł sprzedanego obrazu: Rubens - „Starcy”, początek XVII wieku. Będąc w posiadaniu takiej informacji, mogłem sprawdzić, czy wśród odnalezionych w piwnicy karczmy obrazów, znajdował się ten, który Rosenberg sprzedał kolekcjonerowi. Czułem, że drobnymi krokami zmierzam do końca. Zacząłem odruchowo przeglądać terminarz Rosenberga, powracając do dat sprzed spotkania z Kaufmanem. W oczy rzuciło mi się nazwisko, które znałem. Początkowo uznałem to za zbieg okoliczności, lecz po przewróceniu jeszcze kilku stron, utwierdziłem się w przekonaniu, że to nazwisko pojawia się w terminarzu kilkakrotnie. Arthur Shultz.

Wiedziałem dobrze, że Arthur nie jest znawcą dzieł sztuki i nie miałem pojęcia, co oznaczało umieszczenie jego nazwiska w tym terminarzu.

Postanowiłem złożyć wizytę Anette. Arthur zapewne będzie jeszcze w pracy, więc będę miał sposobność do zadania jego żonie paru niewinnych pytań.

Stojąc przed drzwiami mieszkania przyjaciela, nie byłem pewien, czy rozmowa z Anette wyjaśni cokolwiek. Jak mogłem dowiedzieć się, jakie interesy prowadził Arthur z Rosenbergiem? Drzwi otworzyła mi drobna blondynka o niebieskich oczach. Jej brzuch był już dość mocno zarysowany. Poczułem wyrzuty sumienia...

- Maks, to ty! Wejdz, proszę.

- Przepraszam Anette, że cię niepokoję, ale mam do Arthura sprawę niecierpiącą zwłoki.

Usiedliśmy przy stole w kuchni. Z pieca kaflowego dochodziło do mnie przyjemne ciepło. Prawdziwa rodzinna atmosfera.

- Niestety Arthur nie wrócił jeszcze z pracy, ale za chwilę powinien być. Możesz na niego poczekać. Tak dawno cię nie widziałam.

- Faktycznie praca detektywa nie pozostawia wiele czasu na życie towarzyskie. Pewnie Arthur ma podobny problem...?

- O tak. Czasami pracuje nawet do nocy. Z tego wszystkiego nabawił się wrzodów na żołądku. Martwię się trochę o niego. Nie powinien się tak przepracowywać - powiedziała wyraźnie zasmucona.

Na stercie papierów przeznaczonych do spalenia zauważyłem zwinięty papier do pakowania. To jednak nie było aż tak intrygujące, jak napis znajdujący się na papierze: Dla Emmanuela Kaufmana. Postanowiłem bezwzględnie przystąpić do ataku.

- Anette, powiedz mi... czy w piątek Arthur również pracował dopóźna?

- W piątek? Hm... Wtedy zaraz po pracy udał się do lekarza. Skarżył się na silny ból.

- Czyli powiedział ci, że był wtedy u lekarza...

Nagle drzwi mieszkania się otworzyły i stanął w nich Arthur we własnej osobie.

- O, Maks! Czekasz na mnie?

- Owszem. I mam parę pytań - odpowiedziałem.

Wyłożyłem wszystkie karty na stół informując policjanta o znalezionym terminarzu, o tym, że spotkałem wcześniej lekarza, wracającego z konferencji. Nie ukryłem też faktu, że zauważyłem koło pieca papier z nazwiskiem Kaufmana.

- No tak. Karczmarz nie miał broni, ale policjant zawsze ma przy sobie rewolwer, prawda Arthurze? Nie rozumiem tylko dlaczego... Co dokładnie łączyło cię z właścicielem karczmy?

- Dobra, Maks. Dotarłeś do mnie. Nie będę niczemu zaprzeczał, bo i tak reszty byś się domyślił. Anette, proszę cię zostaw nas samych.

Zdezorientowana kobieta, nie wiedząc zupełnie co się dzieje, wyszła z kuchni.

- Teraz opowiedz mi, jak się w to wplatałeś? - zapytałem. Jak starzy, dobrzy przyjaciele usiedliśmy naprzeciwko siebie.

- To ja zabiłem tego Żyda. Nie zauważyliśmy, że zasnął pod stołem. Kiedy wszyscy wyszli przyszedłem do karczmarza, aby porozmawiać o interesach. Byliśmy współnikami. Ten Kaufman obudził się i usłyszał za dużo. Spanikowałem i sięgnąłem po broń. Zajmowałem się wcześniej kilkoma sprawami dotyczącymi kradzieży cennych obrazów. Kiedy już miałem dowody na złodzieja, zapewniałem mu ochronę w zamian za łupy. Stąd te obrazy w piwnicy karczmy. Mojemu współnikowi podczas przesłuchania również obiecałem, że jeśli mnie nie wyda, to wypłacę go ze sprawy morderstwa Kaufmana. Kiedy go zabiliśmy, zabrałem obraz i ukryłem tutaj.

- Stąd twoje nazwisko pojawiało się w terminarzu Rosenberga? Sprzedawałeś mu obrazy, kiedy sprawa kradzieży już ucichła?

- Dokładnie. Maks... Ja naprawdę nie chciałem, aby tak wyszło. Nie planowałem morderstwa.

Ze smutkiem spuściłem głowę. Kolejne pytania były niepotrzebne.

Wspominając dzisiaj tą historię, z żalem myślę o ludzkich słabościach i mrocznej stronie ich natury. Wyciągnąłem też z tych wydarzeń kilka cennych lekcji dla siebie. Kończę opisywanie sprawy morderstwa Emmanuela Kaufmana z nadzieją, że kolejne nie będą wiązały się ze stratą przyjaciela i moim wielkim żalem. Loslau, 3 października, 1913 roku.



CO SIĘ STAŁO W MAŁYM MIASTECZKU

Pani Maria należała do tych kobiet, którym nie można było wierzyć w żadnym wypadku. Wcale nie dlatego, że była oszustką - w całym swym sześćdziesięciokilkuletnim życiu nie oszukała chyba nikogo. Była zacną, kulturalną i wielce pobożną warszawianką, która brzydziła się kłamstwem. Pani Maria po prostu miała wyobraźnię, przez bardzo duże „W”, która kazała pani Marii każdą opowieść, przekazywaną sąsiadkom, zmieniać w historię mrozącą krew w żyłach - gdy przechodziła przez ulicę „omal nie zginęła pod kołami”, u lekarza „o mało nie straciła życia”, każdy pasażer autobusu o niezbyt miłej fizjonomii okazywał się - oczywiście w opowieściach pani Marii - poszukiwanym bandytą. Dobrze, że nie miała wnuków ani dzieci, bo kto wie, jak owa zwyrodniała fantazja mogłaby ewaluować u potomstwa. Starsza pani miała bowiem tylko dwa lata młodszą siostrę, równie samotną jak ona sama.

Jednakże w przypadku owej siostry fantazja pani Marii zawodziła całkowicie. Otóż Basia - bo tak miała na imię, uczyniła w mniemaniu pani Marii rzecz haniebną i wymykającą się fantazji, na tyle nudną, że nawet wyobraźnia naszej bohaterki nie

mogła nic na to poradzić. Otóż kilkadziesiąt lat wcześniej ... wyszła za mąż! Sam ten fakt nie byłby niczym nagannym, gdyby nie to, iż wyszła za mąż za górnika, dokładniej sztygara, poznanego w nadmorskim ośrodku wczasowym i wiedzona uczuciami zamieszkała wraz z nim na samym końcu świata, w miejscowości nudnej, nieciekawej i małomiasteczkowej - według słów pani Marii, a według bardziej obiektywnej opinii - w niezbyt wielkim miasteczku na Śląsku, czyli w Wodzisławiu. Na domiar złego, wkrótce została wdową, i postanawiała już na zawsze pozostać na Śląsku.

O tym właśnie myślała przygnębiona pani Maria, podążając pociągiem do swej jakże niemądrej siostry i jakże nudnego - w opinii bohaterki - Wodzisławia. W jeszcze większe przygnębienie wprowadziła ją przesiadka w Katowicach, ale po tym wszystkim co zobaczyła widok zaniedbanego dworca w Wodzisławiu nie zrobił już na niej większego wrażenia. Powtarzała tylko: „moja biedna siostra...”.

W podobnym nastroju przywitała się z Barbarą, kiedy dotarła już do obszernego mieszkania. Po ogólnych lamentach i powitaniach, padło w końcu pytanie, jakie paść musiało:

- Ale powiedz, jak to się stało? Jak złamałaś nogę?

- Ach, lepiej nie mówić, moja droga - kryminał, czysty kryminał! Dobrze, że żyję!

- Jak to „kryminał”?

- Był tylko jeden, ale za to jaki. Zadzwoił, pytałam, kto to, no to powiedział, że z gazowni...

a potem to już poszło... otworzyłam drzwi, wepchnął mnie do środka, potknęłam się przy tym i stąd ta noga... leżałam, a on myślał o mieszkaniu...

- Coś strasznego! W Warszawie, moja droga, by Cię to nie spotkało! Okradli Cię na pewno?

- Tak za bardzo to nie, tylko takie bieżące pieniądze, resztę trzymam w banku.

- No dobrze, że chociaż tyle... a co na to policja?

- Jak to policja - przyjechali, porobili zdjęcia, przesłuchali mnie i tyle, pewnie dla kilkuset złotych na głowie nie staną. I nie mów mi, proszę, że w Warszawie byłoby inaczej, akurat u Was najwięcej bandytów.

- Ale tam miałybyś mnie, moja droga!

- Tak, rzuciłabyś się na bandytów z szydełkiem.... a zresztą, było, minęło, i tak miałam wiele szczęścia.

- Co racja, to racja, zresztą, jak powiedziałam, masz mnie, zaraz się wszystkim zajmę.

I pani Maria z właściwą sobie energią zabrała się za rozpakowywanie, sprząatanie, gotowanie i wiele innych czynności, które męczyły panią Barbarę i każdego obserwatora, który znalazłby się w mieszkaniu, nie męczyły tylko samej Marii, która miała jeszcze energię na zrządzenie i gderanie.

- Gdzie Ty masz rozum, chyba zanieczyszczenie Ci szkodzi zdecydowanie, biżuterię na wierzchu w szkatułce trzymać! Kamea po mamie, złoty zegarek, który dostałaś od ojca (zresztą nie wiem, czemu nie dał go starszej z nas), przecież to ciągnie złodzieja... i ten nóż do papieru z rubinem, jeszcze po pradziadku! Oj, zawsze byłaś nierozsądna!

Barbara próbowała się tłumaczyć energicznej siostrze, że lubi otaczać się pięknymi przedmiotami, że przywołują one wspomnienia, ale do Marii nic nie docierało. Umysł miała bowiem zajęty czymś zupełnie innym... otóż miała przeczucie, że przed chwilą powiedziała coś ważnego, co wymaga rozwinięcia i przemyślenia, jednak zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, co to takiego. Przeklinała więc w duchu swoją słabą pamięć, do której jednak w życiu nie przyznałaby się siostrze ani nikomu innemu. Zamiast tego włączyła ulubiony serial i zasiadła przed telewizorem.

Na ekranie - jak zwykle - ktoś kogoś kochał, porzucał, zdradzał, a że serial był produkcji południowoamerykańskiej - to także ktoś kradł, zabijał, bił. I właśnie w trakcie takiej sceny Pani Marii otworzyła się w głowie jakaś szkatułka, jakieś wcześniej zatrzęsnięte okienko - z takim skutkiem, że aż wyłączyła telewizor, wzbudzając protest siostry.

- Cicho bądź! Głupie jesteśmy!

- Co?

- Głupie jesteśmy i tyle. To przecież niemożliwe, to po prostu nie mogło się zdarzyć! - ciągnęła Maria. - Popatrz, te Twoje kosztowności aż biją w oczy. Gdy się tutaj wchodzi, widać najpierw szkatułkę! Jeżeli weszliby prawdziwi złodzieje, nawet bardzo głupi, na pewno by ją skradli.

- A, znowu Twoja słynna wyobraźnia! Coś Ci się wydaje jak zwykle! Złodziej był, moja droga, był, mam gipsową pamiątkę...

a że szkatułki nie wziął, może mu się spieszyło, może nie zauważył, spłoszył go ktoś albo po prostu to był wyjątkowo głupi złodziej!

-Tak, nie zdążył wziąć szkatułki, ale otworzył szafę, wyrzucił z niej wszystko i zabrał pieniądze! To po prostu niemożliwe, askoro niemożliwe, to nie mogło się stać i tyle, widocznie przyszedł tutaj po coś innego.

- Ach, tak, zaraz mi opowiesz, że mają mnie za agenta kontrwywiadu, naczytałaś się Christie i tyle. Chodźmy lepiej spać, zanim zmienisz się w wielkiego detektywa.

Niezdeterminowana pani Maria oddała się opiece nad siostrą, w końcu obie położyły się spać, ale warszawianka nie mogła zasnąć. Jednego była pewna: że złodziejom zależało na czymś zupełnie innym, ale na czym - tego nie wiedziała. Usnęła z przekonaniem, że musi się dowiedzieć.

Następny dzień zaczęła jednak o wiele bardziej prozaicznie, bo od wizyty a targowisku. Siostra zażądała bowiem owoców wyłącznie z targowiska, miała też całą listę innych zakupów, Pani Maria nie miała więc innego wyjścia. Szła w piękny jesienny poranek, ale albo nie widziała, albo nie chciała widzieć uroku tego miasta, które zabrało jej siostrę.

W końcu jednak i ona musiała zwrócić uwagę na śliczny rynek, na wąskie uliczki. Przed zrobieniem zakupów zdążyła jeszcze ujrzeć kościół ewangelicki i piękny budynek sądu. „Nawet ładne - pomyślała - ale jakieś takie...takie małe po prostu i już”. Zrobiła zakupy, dużo czasu poświęcając na wybranie najładniejszych jabłek, śliwek, a nawet kalafiora, bo kupowanie jarzyn sprawiło jej przyjemność.

Zaraz po powrocie humor jej się popsuł. Zdenerwowały ją mianowicie drzwi.

A właściwie tabliczka na drzwiach:

- Jaka Ty jesteś niedbała - dogadywała siostrze - mało, że nosisz to dziwne nazwisko Potysz, to jeszcze „z” Ci odpadło, i czytam „Potys”, no jak można być tak niedbałym, jak można? Zginiesz beze mnie!

- Dawałam radę, tyle lat, to i teraz nie zginę. A wiesz, że to ciekawa historia - bo jest nas dwie, to znaczy nie chodzi o mnie i o Ciebie, jesteśmy dwie Potysowe, po tym, jak mi „z” z tabliczki się odkleiło. No a właściwie byliśmy, bo biednej pani Potysowej już nie ma....

- Umarła?

- Gorzej! To znaczy umarła, ale nie sama, zabili ją wyobraź sobie! Zabili! Udusili!

- Udusili???

- No tak, nawet wyobraź sobie, że jak wywiesili nekrologi, to niektórzy myśleli, że o mnie, a ja nawet na pogrzeb iść nie mogłam z tą nogą.

- To kiedy to było? To morderstwo znaczy się?

- A chyba dwa dni po moim wypadku, nawet tak się złożyło, taka czarna seria, mieszkanie nad mieszkaniem...

- Wiesz co, Ty chyba masz naprawdę - jak to u Was mówią - więcej szczęścia niż rozumu - przecież to mogłaś być ty!

- Ba, każdym mógł być!

- Nie, no pomyśl, to nie może być przypadek: dwie Potysowe, mieszkanie pod mieszkaniem...

- No kto chciałby mnie zabić? Pomyśl sama, przecież ja całe życie przy tych garach, obiadkach, myciu okien...

- Nie narzekaj, trzeba było z Warszawy nie wyjeżdżać na ten koniec świata. Ale pomyśl, najpierw napad na Potysową nr 1, czyli Ciebie, stracił niewiele, więcej bałaganu, potem napadają Potysową nr 2 i ją już zabijają! Wniosek z tego jaki?

- Taki, że moja siostra ma bujną wyobraźnię.

- Nie! Pomyśl, kobieto, że to naprawdę mogłaś być Ty, że wszedł do mieszkania - wydawało się - Potysowej, a tak naprawdę do Ciebie - Potyszowej, zobaczył pomyłkę, to dla niepoznaki ukradł coś tam i zniknął, a dzięki temu Ty uratowałaś biżuterię.

- A coś tam ukradli i szkoda po tym płakać, po prostu jakiś bandyta żeruje na samotnych starszych paniach - strzeż się, bo może i Ty się załapiesz.

- A ta znowu swoje... a powiedz mi, kto teraz jest w mieszkaniu tej zamordowanej?

- Jej siostrzeniec, czy bratanek zdaje się, niewiele młodszy od nas, strasznie nieprzyjemny typ, zarośnięty, gburowaty, jakaś taka zakazana bandycka gęba...

- O właśnie, bandycka! A jeżeli było tak, że ciotunia przeskadzała w przejściu mieszkania, to trzeba było ją sprzątnąć.

- Tak, a najpierw trzasnął mnie dla treningu, no jak Ty już coś powiesz!

- Powiem, powiem - powiem Ci, że pójde teraz do jaskini tego bandyty i zobaczę, co to za jeden!

- Powiesz: dzień dobry, czy pan zamordował swoją ciotkę? A idź gdzie chcesz, byłeś mi tu tylko wstydu nie przyniosła...

Pani Maria nie namyślając się wiele, szybko pobiegła po schodach na górę, naprędce obmyślając, co powie „bandycie” - jak sama mniemała. Zadzwoiła, a wkrótce otworzył jej jego mój około pięćdziesiątki, sprawiający dość sympatyczne wrażenie, o lekko ironicznym wyrazie twarzy. Być może spowodowany był on tym, iż pani Maria miała na sobie - oczywiście oprócz zwykłej odzieży - fartuszek, narzucony nań kożuch i kapcie.

- Dzień dobry - wysapała ta dziwnie ubrana kobieta - zwiedzałam właśnie blok, w którym mieszka moja siostra i tak jakoś mi się słabo na tych schodach zrobiło.... mogę prosić szklankę wody?

- W fartuszk?

- Nie, w szklance.

- W fartuszk pani zwiedzała, pytam?

Na to Pani Maria nie znalazła już mądrej odpowiedzi, wyjęczała więc tylko dość głośno, jak na starszą, słabą kobietę głosem: „Woooddyyyy!” i opadła prosto na ręce domniemanego bandyty. Ten wciągnął ją do mieszkania, posadził na krześle i szybko wylał na nią szklankę wody. Pani Maria zerwała się na równe nogi:

- Bandyta! Kobieta! Woda! Oblewać!

- Sama pani wołała „wody”, zresztą najważniejsze, że pomogło. No już? Obejrzała mnie sobie pani? Ciekawość zaspokojona? Przecież po to pani przysła.

- No wie pan, też coś! Tak obrażać kobietę! Bandyta, cham! Moja noga więcej nie postanie w tym domu!!!

Wzburzona pani Maria szybko wybiegła, żegnana głosem nowego sąsiada. Jej bystre oko zdążyło jednak zarejestrować bogate wyposażenie mieszkania i jego przestronność, szczególnie spodobały jej się stylowe meble. Miotła więc obelgi i przekleństwa: „urządził się, smarkacz jeden”, „sprzątnął ciotunię i ma piękne mieszkanie”, „zamordował dla pieniędzy”... Wszystkie te obelgi powtórzyła wkrótce na głos swojej siostrze. Efekt był taki, że i Barbarę zaczęły ogarniać emocje:

- Nie mów! A to bandyta jeden! Woda Cię oblał?

- Kochana, ja mam nosa do tych spraw, mówię Ci, sprzątnął ciotkę i już ma gdzie mieszkać. Pewnie bezrobotny menel, zresztą tak wygląda!

- Matko! Nie wiedziałam, że na stare lata zamieszkam pod

jednym dachem z mordercą. Ale to trzeba dzwonić na policję! Jaki numer...999...992...zawsze zapominam.

-Po pierwsze to nie Ty zamieszkałaś z mordercą tylko on z Tobą. A co do policji - wyobraź sobie, że dzwonią do nich dwie starsze panie, a potem mówią o sąsiedzie mordercy. No przecież zamkną nie jego, tylko nas. Nie, moja droga, musimy najpierw znaleźć dowody.

- No ale jak? Pójdiesz tam znowu i zapytasz?

- Powiem Ci tak, jak moja ulubiona bohaterka: „pomyślę o tym jutro”. A teraz zrobię Ci jakiś porządny polski obiad, bo Ty tu pewnie nic tylko rolady, kluski i ta...jak to było..aha, modra kapusta! - Tak, a potem popijam piwem i zagryzam golonką. Wbrew pozorom nawet na Śląsku nie mamy trzech par oczu, zielonych czulek i odżywiamy się całkiem normalnie. Ale pierogi możesz oczywiście zrobić.

W związku z tym pani Maria zajęła się intensywnym wyrabianiem, mieszaniem, wycinaniem, klejeniem i innymi czynnościami kuchennymi. Zajęło jej to tyle czasu, że potem pozostało go tylko tyle, żeby obejrzeć ulubiony serial, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, aż w końcu zmorzył ją sen.

Poranek rozpoczęła od poszukiwania pomocy u sił nadprzyrodzonych, czyli poszła do kościoła. Zdziwiła się najpierw, że nabożeństwo przebiegało w taki sam sposób, jak w Warszawie, wierni nie odpowiadali gwarą. Potem jednak wszystkie jej myśli zeszły na dalszy tor, gdyż zastała ją okropna ulewa, a ulubiona parasolka czekała na właścicielkę w mieszkaniu warszawskim. Zbiegła po schodkach ...prosto pod koła jakiegoś terenowego samochodu. Kierowca jednak - na szczęście - wykazał się refleksem i zahamował. Po tym wyskoczył z samochodu i zamiast krzyknąć na Marię, złapał ją za rękę i wciągnął do samochodu! Zaatakowana zaczęła krzyczeć i się szarpać, ale nie miała szans. Dopiero kiedy usiadła, (a raczej została posadzona), na przednim siedzeniu, rozpoznała swego porywacza - był to niedawno poznany bandyta, który ruszył z piskiem opon nie odzywając się. Myśli pani Marii biegły teraz bardzo, bardzo szybko: „zabije mnie, jak nic, zabije, albo przynajmniej wywiezie gdzieś daleko i pobije, Matko, co robić, co robić...” Zaczęła się zastanawiać, jak może się obronić, bo tak łatwo nie zamierzała się poddać. Porywacz milczał, a ofiara robiła pobieżny przegląd (w myślach) swojej torebki: „lusterko,

różaniec, ołówek, pomadka, chusteczki, nic mi się nie przyda". W końcu znalazła swoją tajną broń, swoją przepustkę do życia, drobiazg, który miał ją ocalić.

- Cholera, głupia kobieto, co robisz, chcesz żebyśmy nas zabił? - zaryczał porywacz.

- Proszę mnie nie obrażać!

- A jak mam się wyrażać, jeżeli wsadza mi pani grzebień w oko?! Chcesz żebyśmy nas zabił?

- Właśnie nie chcę i ostrzegam, że zamierzam się bronić z wszystkich sił.

Porywacz zahamował dość ostro i zaryczał, ale ze śmiechu:

- Matko jedyna! Myślała pani, że chcę ją zabić? A niby dlaczego?

- Zabił pan najpierw swoją ciotkę, ale ja o wszystkim wiem, odkryłam to, i teraz pan chce mnie zabić.

- Kobieto! Moja ciotka była najlepszą istotą, jaką w życiu znałem! Ciebie zabrałem do auta, żebyś nie zmokła w tej ulewie; a niby dlaczego miałbym zabijać moją Ciotkę?

- Po to, żeby przejąć jej mieszkanie.

Porywacz i bandyta w jednym nic nie odpowiedział, tylko gwałtownie ruszył z miejsca i gnał dość szybko, zatrzymując się dopiero przed blokiem. Nim odblokował drzwi, jeszcze raz przemówił do przestraszonej pasażerki:

- Moja ciotka była najlepszym człowiekiem, jakiego znałem - mówił dość spokojnie i dziwnie cicho - najlepszym członkiem mojej rodziny. Sama wiele przeszła. Nigdy o tym nie mówiła, nikomu - urodziła się podobnie jak ja, na Podhalu, była twarda. A i tak za mało twarda na to, co ją spotkało.

- Zamordował ją pan.

- Nie, wyszła za męża za diabła wcielonego, za oprawcę, bandytę - łał ją czym się dało i kiedy się dało. W wolnych chwilach był szanowanym urzędnikiem wysokiego szczebla, potem zmieniał się w potwora, dzięki niemu straciła też dziecko.

- Ale jak to się ma do morderstwa?

- Nijak i nie wiem, kto to zrobił, najchętniej odplaciłbym mu tym samym. Co do mojej ciotki, najlepsze, co ją spotkało, to odejście męża - któregoś dnia po prostu zniknął, kradnąc co się dało. Zostały jej po nim długie, ale nigdy go nie szukała. Do tego stopnia, że nigdy nie wspominała o swoim pochodzeniu. Nawet gdzie tylko mogła, jako miejsce urodzenia podawała Jastrzębie.

- Była więc nadal mężatką?

- Tak, i być może z tego powodu nigdy nie ułożyła sobie życia, a być może z innych powodów, ale całe swoje uczucia przelała na syna swej siostry, czyli na mnie. Dzięki temu stałem się tym kim jestem.

- A kim pan jest?

Nic nie odpowiedział, tylko podał wizytówkę, piękną na eleganckim błyszczącym papierze: „Jerzy Robakowski, developer”, a potem numer telefonu, adres mailowy i adres firmy.

- Takie wizytówki sam może sobie każdy zrobić! I co to niby ten developer? Inna nazwa bandyty?

Nic nie odpowiedział, posmutniały nagle, a raczej wyprany z emocji. Otworzył tylko drzwi samochodu i pomógł pani Marii wysiąść. Ta wręcz przeciwnie - wręcz kipiała emocjami - więc nie oglądając się na pana Jerzego pobiegła, by podzielić się nowinkami z siostrą.

Nie było jej to jednak dane. W drzwiach na schodach zderzyła się bowiem z wytwornym, eleganckim starszym panem, który po tym zdarzeniu uchylił kapelusza i skłonił się nisko.

- Szanowna Pani raczy wybaczyć!

„Cóż za miły, elegancki starszy człowiek” - pomyślała Maria, a głośno powiedziała:

- Nie, nie, to moja wina, ale widzi pan... zamyśliłam się.

- A o czym to piękna pani myślała?

- Wie pan, o wszystkim po trochu, jakie to życie smutne, okrutne...

- Piękne, proszę pani, piękne.

- Co pan mówi, przecież ostatni w tym bloku ktoś zaatakował dwie staruszki, jedna z nich nie żyje.

- Wiem, wiem, smutne. Sąsiadka moja.

- O! pan był sąsiadem? Jaka ona była? Kto mógł ją zabić?

- Kto ją zabił, wybaczy pani, nie wiem, ale coś - łatwą sąsiadką nie była, mieszkała pod nami, więc każdy stukot jej przeszkadzał, każdy szmer, od razu stukwała w sufit. Twardy, szorstki charakter, prawdziwie góralski. A nic więcej powiedzieć nie mogę, niedawno się z małżonką moją wprowadziliśmy. Poza tym, ja jestem człowiekiem poważnym, szanowanym w tym środowisku, więc nie interesuję się życiem innych.

Po wymianie paru grzecznościowych zwrotów pan udał się

w swoją stronę, a pani Maria pobiegła do siostry, by podzielić się wiadomościami usłyszczanymi od „porywacza” i podzielić się nieco emocjami. Jakież spotkało ją rozczarowanie, gdy siostra z daleka wołała: „chodź, chodź, mam ci coś ekstra ważnego do powiedzenia”. Chwilę licytowały się obie, która ma mówić pierwsza. Wkońcu pani Maria streściła opowieść porywacza.

- Ale ja tam mu nie wierzę, podejrzany typ i tyle. Wizytówkę każdy może sobie sam zrobić, a co to w ogóle jest ten jakiś „delopek” czy „developer” bandyta i tyle.

- No właśnie, mówiłam ci, że mam coś ważnego, czytaj!

Barbara podsunęła siostrze gazetę, a tam, na pierwszej stronie, nieco ironicznie uśmiechał się nikt inny, jak tylko porywacz i bandyta w jednym. Zdjęcie jednak nie było podpisane zwrotem w stylu „poszukiwany, poszukiwana”, ale nieco inaczej: „Jeden z trójki największych developerów w Polsce, Jerzy Robakowski, dzieli się z naszą gazetą opiniami na temat wpływu kryzysu światowego na rynek nieruchomości...”. Potem nastąpił długi artykuł, zdecydowanie zbyt długi i zbyt skomplikowany jak na panią Marię, ale jedno zdanie i tak wywołało piorunujący efekt.

- A taki piękny bandyta by z niego był!

- No, ale akurat na tym zdjęciu to na pewno on, jak żywy!

- Wiem, że on, ale może jednak zależało mu na mieszkaniu i rąbnął ciotkę? A jego opowieści to bzdura?

- Tam piszą, że należy do pierwszej dwudziestki najbogatszych Polaków, więc ciotka mu chyba w tym nie przeszkadzała.

- Ach, nic już nie wiem - zdenerwowała się pani Maria - może ty miałaś rację, mam bujną wyobraźnię i tyle, nic już nie wiem, zajmijmy się lepiej czymś pożytecznym. Poprzeglądajmy stare zdjęcia albo coś, to się mi w głowie poukłada.

Zajął się więc przeglądaniem rodzinnych fotografii, wspominając „dawne, dobre czasy”, rozmawiając o wszystkim, tylko nie o morderstwie. Kiedy zeszło najpierw na nieżyjącego męża Barbary, a potem na innych mężczyzn, Maria opowiedziała siostrze o poznaniu nowego sąsiada.

- Miły był nawet i przystojny.

- Ale on jest żonaty, i - to zabawna historia - świeży z niego żonkoś, ożenił się niedawno z całkiem jeszcze młodą dziewczyną. Złośliwi plotkują, że to ze względu na jej układy.

- Jakie układy?

- No wiesz: córeczka dyrektora kopalni, piękna, bogata. A jej pieniądze potrzebne, podobno firma padła, gdy zachciało mu się karierę polityczną robić. Na posła startował - i nic, ani poseł z niego, ani bogaty, a teraz popatrz, jak mu się ułożyło.

- Ja tam wolę wierzyć, że to była wielka miłość. No i podobno zamordowana sąsiadka dość utrudniała im życie.

- Nie żartuj, taka cichutka, spokojna pani, nosa prawie z mieszkania nie wychylała, nikomu nie wadziła, nie plotkowała.

- A to ciekawe, bo podobno na sąsiada mocno się uwzięła, jak on to nawet o niej powiedział ... "twardy góralski charakter czy jakoś tak..."

W tej chwili pani Maria, wypowiadając owe słowa, zakrztusiła się mocno i wybałuszyła oczy. Przez chwilę nic nie powiedziała, wstała, usiadła i znowu wstała, łapiąc się za serce. Przeraziło to nieco siostrę.

- Co ci się stało? Zawał? Pogotowie?

- Nie! Basiu! Pamiętasz, co ten bandyta opowiadał o ciotce?

- Tak, że jej nie zabił! I ustaliłyśmy wspólnie, że jednak mu wierzymy.

- Nie! o tym, co o ciotce opowiadał? Pamiętasz? Że z Podhala? I że nikomu o swojej przeszłości nie mówiła!

- No, mówiłaś... matko! To skąd sąsiad wiedział, że ona ma góralski charakter??? Może miała z nim romans? Ale nie, bałby się, że straci źródło utrzymania, czyli żonę!

- Chwila, Basiu, bo się już zgubiłam, może ona mu jednak opowiadała o swojej przeszłości? Czy to możliwe?

- Coś ty. Mieszkałyśmy w jednym domu piętnaście lat i niewiele ją znam, taka skryta była, a ten tutaj... a, chyba się Krawczyk nazywa, od miesiąca, i miałyby mu się zwierzać?

- Może jednak? Może komuś opowiadała i tak poszło dalej?

- Wszystko jest możliwe, ale wątpię, przecież ona była naprawdę skryta.

- Wiesz co, Basiu, jest taka ładna pogoda, przejdę się trochę, posiedzę na ławeczce.

- Uważaj, już ja Cię znam, plotkować chcesz, podpytać, żeby tylko tobie nic się nie stało!

Pani Maria uśmiechnęła się tylko, a potem wyszła i usiadła na ławeczce przed domem, wystawiając twarz w stronę jesiennego słońca. Szybko znalazła kontakt z podobnymi sobie paniami, oddając się z pozoru niewinnej rozmowie i zwykłym ploteczkom.

Pokwadransie wiedziała już, że o zamordowanej nikt nie mógł wiele powiedzieć. Uchodziła za osobę skrytą i tajemniczą, a już na pewno nikt nie znał miejsca jej urodzenia.

Umysł pani Marii pracował na szybkich obrotach. Wyobrażnia też. Doszła jednak do trafnych wniosków, dyskutując w duchu sama ze sobą: „to niemożliwie”, „jeden z nich musiał kłamać”, „ale po co siostrzeniec”, „skąd on się dowiedział”, „może jednak mieli romans”. Tak bijąc się z myślami zdecydowała się na rzecz, której wyparła się jeszcze niedawno. Zastukała do drzwi „bandyty”.

- Boże, to znowu pani! Przyprowadziła pani policję? Zabrała gaz? Dalej jest pani pewna, że zabiłem ciotkę?

- Ciotkę to każdy może sobie wymyślić! Ma pan jakiś dowód na to, że byliście krewnymi?

- Mam sobie zbadać DNA?

- Niekoniecznie, ale jeżeli mi pan to udowodni, to dam panu spokój.

- Zdjęcia wystarczą? Mogą być? Niech pani wejdzie.

I Pani Maria obejrzała całą stertę zdjęć rodzinnych, które średnio ją interesowały. Wśród całej sterty zdjęć cioci z siostrzeńcem, zdjęć rodzinnych i mniej rodzinnych było to jedno, które panią Marię szczególnie interesowało. Znalazło się też ono w jej kieszeni, kiedy pan Jerzy porządkował różne szpargały.

- Dziękuję! Już panu wierzę.

- Alleluja, oczyszczono mnie z zarzutów, chwała Bogu, będę mógł z czystym sumieniem opuścić to miasto. A teraz żegnam panią jako człowieka wolnego.

Pani Maria wyszemrała jakieś „przepraszam” i „dziękuję”, ale szybko pognęła do siostry. Tam wyciągnęła swoją zdobycz z kieszeni.

- O matko, co to jest?

- Zdjęcie ślubne twojej zamordowanej sąsiadki. I popatrz, kto jeszcze na nim...

- Poczekaj, założę okulary. No to ona, faktycznie, a obok... no popatrz, popatrz! To jest nasz sąsiad, pan niedoszły poseł Krawczyk! Matko, to on był jej mężem!

- Nie był, nie był! Jest!

- To on jest mężem dyrektorówny.

- Jest! Pamiętasz, jak Ci powtarzałam, co powiedział bandyta? Ze ona nigdy nie ułożyła sobie życia, a on tak!

- Bo... nie mieli rozvodu.

- To znaczy, że on nadal jest, to znaczy był mężem Potysowej!

- A w ten sposób nie mógł być mężem dyrektorki... i motyw morderstwa mamy piękny.

- O Matko jedyna! A skoro małżeństwo nieważne, to kariera na włosku wisi, majątek też, budowana willa nie należy do niego... sam jest przestępcą!

- I co, myślisz, że nas nie rozróżnił i mnie się oberwało?

- Słuchaj, możliwości są dwie: albo zlecił to komuś, albo sam przyszedł i cię rąbnął. Jeżeli zlecił komuś zabić Potasową i dał jej zdjęcie, to mogło być tak, że morderca...

- Nie kończ, wiem: znalazł pierwszą Potasową czyli mnie, ale jak już wtargnął, to poznał, że się pomylił, więc dla niepoznaki coś mi tam ukradł.

- No, ale dlaczego mnie napadł?

- Dla niepoznaki, żeby stworzyć wrażenie, że ktoś napada bezbronne kobiety.

- Możliwe, pewnie za jakiś czas stuknie następną.

Dlatego musimy działać szybko. Lecę dowiedzieć się czegoś o naszym niedoszłym pośle.

- Ty, ale nie pójdziesz do niego do mieszkania? Jednej ofiary śmiertelnej wystarczy.

- Nie, wybiorę bardziej tradycyjne metody.

Tak też zrobiła. Udała się prosto do miejscowej biblioteki, gdzie przedstawiła się jako warszawianka, chcąc dowiedzieć się nieco więcej o - jak się wyraziła - „tym pięknym i jakże urokliwym miasteczku”. Nakarmiła tym potrzebę dumy lokalnej u bibliotekarki, która dwoiła się i troiła, znosząc coraz to nowe roczniki lokalnej prasy. Po dwóch godzinach miała dwie informacje, które mogły wpłynąć w przyszłości na losy wielu osób, a mianowicie:

1. Pan kandydat na posła w młodości był bardzo przystojnym człowiekiem - tym samym, który znajdował się na zdjęciu ślubnym Potysowej.

2. Pan kandydat na posła w młodości trenował boks, więc jest silny i wysportowany.

Poprosiła o zrobienie kopii tych stron, wprawiając w osłupienie bibliotekarkę, która na kopiowanych stronicach nie dostrzegła żadnym informacji o dziejach Wodzisławia. Pani Maria nie zwróciła na to uwagi, spiesząc się do siostry. Po drodze zobaczyła dziwny widok. Był to malec, lat może sześciu czy siedmiu, trudno określić z racji pokrywającego go brudu, który

grzebał w szczelinie po schodami, rzucając wulgaryzmami w powietrze. Śmieci, które wyciągał, przypominały podarte kawałki banknotów stużłotowych.

- „Tyle stów jakiś ch*** potargał - zaklął wcale niesłodko malec.

Głowa pani Marii aż pękała od nadmiaru myśli, w końcu doszła do wniosku, że już wie, co stało się z pieniędzmi ukradzionymi jej siostrze. Przybliżyła się do uszu malca i wyszeptała najbardziej groźnie, jak potrafiła:

- Zostaw to, bo zaraz zabierze cię policja. I nikomu ani słowa.

Malec przeraził się mocno, zaklął brzydko na pożegnanie, a potem zaczął uciekać dość nerwowo. Maria musiała chwilę przysiąść, aż przytłoczona całością wydarzeń, których wizja dopiero teraz do niej dotarła. W głowie przelatywały jej strzępki myśli: „bigamista”, „były bokser”, „pozbył się pieniędzy”, „wyprowadza się” „ratunku”. Podobnymi myślami podzieliła się z siostrą, która zareagowała dosyć stereotypowo, żądając zawiadomienia policji.

- I co im powiesz? Że dwie - no, dobra, powiedzmy to - starszuszki, w tym jedna z bujną wyobraźnią, a druga ze złamaną nogą - podejrzewają kandydata na posła i zięcia dyrektora kopalni o morderstwo?!

- Ale my mamy dowody!

- Tych dowodów nikt nie będzie chciał widzieć, potraktują nas jak jakieś śmieszne paniusie w berecikach, a temu draniowi ujdzie na sucho. Wiem, co musimy zrobić.

Swoim pomysłem wkrótce podzieliła się z siostrą i obie zasiadły do długiej, trudnej pracy. Po jej zakończeniu padły tylko słowa Marii:

- I nasza rola na tym się kończy.

- Co? Starsze panie są niepotrzebne? Mogą odejść?

- Zrobiłyśmy co trzeba, teraz zaniosę to, gdzie trzeba. A potem pójdziemy spać.

- Jutro?

- Jutro jak zwykle, obejrzymy nasz serial, ugotujemy obiad i tyle.

Niedoszły bandyta i porywacz zdziwił się niezmiernie, gdy nad ranem u jego drzwi rozległ się przeraźliwy dzwonek. Natomiast zdenerwował się nieco, widząc, że pod drzwiami nie ma nikogo.

Była tylko ona. Koperta. Po jej otwarciu wysypały się zdjęcia, wycinki gazet i list. Przeczytał go jeszcze w przedpokoju, nadal nie wiedząc, kto jest nadawcą. Wyjaśniło mu to dopiero zakończenie:

„Wierzimy, że pan, jako człowiek bogaty i wpływowy, będzie bardziej wiarygodny niż dwie staruszki, dlatego dajemy panu to, co udało nam się zebrać. Zależy nam na tym, aby mordercę pana ciocii bigamistę spotkała zasłużona kara, na którą będziemy czekać. Życzymy powodzenia”.

Aresztowanie prawie posła Krawczyka odbiło się w Wodzisławiu szerokim echem, które jak każda lokalna sensacja trwało jednak krótko. I tylko dwie starsze panie z większym zrozumieniem i zainteresowaniem śledziły przyjazd wozów policyjnych i wyprowadzanie z bloku kompletnie zaskoczonego posła. Postawiono mu zarzut bigamii i posługiwania się fałszywymi danymi. Rozpoczął się proces. Pewną sensacją był fakt, że rolę oskarżyciela posiłkowego pełnił jeden z najbogatszych ludzi w Polsce - Jerzy Robakowski - co źle wróżyło podejrzanemu, a dobrze - wymiarowi sprawiedliwości. Wkrótce potem dwie panie w Wodzisławiu dostały bukiet kwiatów z liścikiem: „Z podziękowaniami od „Bandyty”. Wtedy Maria powiedziała do siostry:

- Wiesz, co wymyśliłam?

- Co? Aż się boję.

- Że ten Wodzisław nie jest taki zły. Wiele się tu dzieje, w Warszawie i tak mi nikt nie uwierzy, co przeżyłam, a tutaj mamy co wspominać. To może ja się tu do ciebie przeprowadzę, co?

- O Boże, o mój Boże - powiedziała pani Barbara...



PRZYSIĘGA

Był jesienny, listopadowy wieczór, kiedy komisarz Kostecki czekał w swoim służbowym samochodzie marki Seat na swoją partnerkę śledczą Izabelę Kwiaton. Uchylił okno, mając zamiar zapalić papierosa, jednak szybko je zamknął, gdyż na dworze hulał zimny wiatr, przecinając przestrzeń ostrymi kroplami deszczu. Z drugiej strony, palenie papierosa tuż u wrót dawnego sanatorium przeciwgruźliczego, w którym to odwiedzał niegdyś swojego wuja Zbigniewa, a później ciotkę Emilię już na oddziale chorób płuc, byłoby czymś nie na miejscu. Pamiętał, że wizyty w szpitalach nigdy nie należały do jego ulubionych, a szczególnie gdy był jeszcze szczeniakiem. W takich miejscach unosił się według niego jakiś nieprzyjemny zapach, nie wiedział czy wynikający z rzadko przebieranych pościeli i pidżam pacjentów, z zup zamykanych w słoikach, buchających dalekim zapachem domowej kuchni przy otwieraniu wieczek w porze obiadowej bądź odwiedzin i nieznośnie spływających kropel tych rosółków, barszczyków, pomidorówek, podczas ich konsumpcji, po brodach pacjentów z zarostem, czy też może ten nieprzyjemny zapach był kwaśnym aromatem niemiłosiernie ciągnącego się

czasu bez nadziei, że nabierze tempa i nada czemukolwiek sens.

Wtulił się więc głębiej w fotel, zastanawiając się gdzie jest Iza i czemu tak długo jej nie ma. Przecież dzwonił, że dostali wezwanie, że trzeba jechać, póki miejsce zbrodni jest jeszcze dziewicze, nietknięte przez gapiów, przypadkowych świadków, a także techników, którzy badają już pewnie sprawę, zbierają dowody, zamykają wszystko w plastikowych woreczkach. Od zawsze miał wrażenie, że im szybciej znajdzie się na miejscu dokonanego przestępstwa, tym szybciej rozwikła towarzyszącą mu zagadkę. Zapach świeżo dokonanej zbrodni, widok twarzy pierwszych świadków, nieład panujący na miejscu, najmniejszy drobiazg, szczegół, nie umykał wówczas jego uwadze. Im większy chaos panował podczas pierwszego kontaktu ze sprawą, tym więcej komisarz Kostecki potrafił wychwycić, jakby wszystkie jego zmysły wyostrzały się w efekcie wszechobecnego roztańnienia, szoku związanego z tym, co się stało.

Obserwując migoczące światła miasta, które aktualnie tonęło w strugach deszczu i szeptało poprzez liście otaczających go drzew, poprzez skrzypienie furtki obok której zatrzymał samochód, zastanawiał się, ileż z tych osób, krzątających się tam w dole, na obszarze tego małego miasta, przeżywa teraz swoje życiowe tragedie, ileż z nich przeżywa teraz najszcześliwszy moment w swoim życiu i po jaką cholerę on sam ciągle babra się w tym kryminalnym i zbrodniczym świecie, nie potrafiąc zacząć normalnie żyć, nie mogąc stać się po prostu jednym ze zwykłych mieszkańców Wodzisławia Śląskiego, nieznającym ciemnych sprawek tego miasta, nieznającym jego smętnego obrazu, z którym jako komisarz zderza się każdego dnia.

- Teraz to już chyba za późno, Kostecki, żeby spojrzeć na to miasto inaczej, nawet jeśli przestaniesz być gliną, jego ponure oblicze będzie dreptać Ci po piętach każdego dnia - powiedział sam do siebie i usłyszał stukanie w szybę w drzwiach od strony pasażera. Ocknąwszy się ze swoich jesiennych rozmyślań otworzył drzwi Izie, której mina wskazywała na to, że jest co najmniej w złym nastroju.

- Cholera jasna, Kostecki! Czekasz na mnie tyle czasu, a drzwi masz zamknięte i nie otwierasz. Jaja sobie ze mnie robisz? Czy znowu chcesz mi wytoczyć jakąś wojnę z tytułu odmienności mojej płci, co w praktyce oznacza tylko tyle, że oprócz gnata już niczego innego nie noszę w spodniach?

- Daj spokój! Zamyśliłem się i tyle - odparł nie spoglądając nawet w jej stronę.

- Dobra, mów, co mamy! - zagadnęła Iza.

- Spóźnienie! Ot, co mamy! - odparł zauważając jednocześnie, że Iza zaczyna wywracać oczami, co oznacza tylko tyle, że zegar jej cierpliwości tyka, a wybuch może nastąpić lada moment i on nie chce być w zasięgu rażenia. - Mamy wezwanie na osiedle XXX-lecia, znaleziono zwłoki kobiety w windzie.

- Morderstwo?

- Raczej. Sama się chyba nie spakowała do worka i nie obkleiła gotaśmą, tym bardziej, że nie jest w jednym kawałku.

- Nie musisz być ironiczny, Kostecki - odparła nieco już zirytowana Iza - Brałam pod uwagę samobójstwo, dlatego pytałam. Swoją drogą... paskudna sprawa.

- Paskudna pogoda, paskudna sprawa, paskudny listopad - uśmiechnął się do niej zawiadaczając włączając silnik samochodu i dając głośniej radio, które grało właśnie stary przebój zespołu Dwa Plus Jeden „Windą do nieba”.

- I paskudna piosenka. W kontekście naszej sprawy, oczywiście - dodała Iza wsłuchując się w melodię płynącą z radia.

Droga na miejsce zbrodni upłynęła szybko i sprawnie, choć nawet o ósmej wieczorem drogi potrafią być zakorkowane. Pokonując kilka rond, których ostatnio narosło w mieście co niemiara, Kostecki zastanawiał się, czy uda mu się bez problemu przejechać przez skrzyżowanie na ulicy Matuszczyka, gdzie niemal zawsze trafia na czerwone światło, natomiast Iza zastanawiała się, dlaczego to akurat on zawsze prowadzi samochód kiedy jadą na akcję.

- Wojtek... powiedz mi, dlaczego ja nigdy nie prowadzę tego samochodu? Pracujemy już ze sobą dwa lata... - zapytała Iza dodającego właśnie gazu Kosteckiego.

- Nie teraz, błagam. Chyba pierwszy raz przejadę przez to skrzyżowanie na zielonym świetle. Bez czekania, ma się rozumieć - odpowiedział puszczając pytanie w niepamięć i skręcając gwałtownie w lewo.

- Naprawdę, świetny z Ciebie partner! Partnerstwo na poziomie zerowym. To jest jakaś pomyłka, że ja w ogóle jeszcze z Tobą pracuję! Chuck Norris od siedmiu boleści...

- Ej, ej, ej... tylko nie Chuck Norris, wypraszam sobie! Poza tym

widziałem kiedyś, jak parkowałaś pod wydziałem i sorry, ale nie chciałbym oddać pod twoją opiekę swojej ukochanej Ibizy...

- Ibiza to Ci się śni po nocach! Gorąca plaża i gorąca laska, tylko wiesz co, ten Twój sen się nigdy nie ziści, bo jesteś, bo jesteś... - urwała w pół zdania, gdyż podjechali właśnie pod blok, w którym znaleziono ciało i dotarło do niej, że to już, że za chwilę będzie miała okazję pierwszy raz w życiu zobaczyć zamordowaną kobietę i że tak naprawdę cholernie się tego boi. Dotychczas miała do czynienia tylko z samobójstwami.

Kostecki zaparkował na chodniku tuż przy wejściu do klatki nr 56. Iza zdołała zauważyć, oprócz gromadki gapiów na górze tuż przed ferełnym blokiem, kilkanaście głów powychylanych przez okna różnych mieszkań, żadnych wiedzy na temat tego co się stało. Deszcz już nie padał, za to wiatr dalej tarł ludzkie włosy i płaszcze.

- No, nareszcie jesteście - zwrócił się do nich Jarek, który wyszedł z klatki na ich powitanie.

- Cześć, stary - powiedział Kostecki - Mów, co masz... - Po czym całą trójką weszli na klatkę schodową. Winda była otwarta, drzwi zabezpieczone, aby nie mogła ruszyć z miejsca, w środku kilka osób ściągało odciski palców, robiło zdjęcia, słychać było szelest zatraskiwanych woreczków z dowodami, a także tego najważniejszego, czarnego, w którym spoczywało ciało zamordowanej.

- No więc według wstępnych oględzin zwłoki nie są takie świeże. Do morderstwa doszło dwa, maksymalnie trzy dni temu. Oczywiście dokładna sekcja zwłok umożliwi nam sprecyzowanie daty zgonu...

- Na litość boską, Jarek! Do rzeczy... - powiedział zniecierpliwiony Wojtek.

- Kobieta została uduszona, ma ogoloną głowę, włosy są przy niej splecione w warkocz. Ma obcięte obie ręce, a także nogi, to znaczy, wygląda bardziej na to, że odrąbane. Prawdopodobnie oprawca zrobił to już po uduszeniu. Ciało zostało tutaj podźrucię, zapakowane szczelnie w kilka worków i obklejone taśmą. Nie maszans, aby dokonał całej tej operacji właśnie tutaj.

- Jakies ślady? - zapytała Iza chcąc, aby jak najszybciej zakończyć pierwszy etap śledztwa i oddalić się od windy.

- Są dwa rodzaje odcisków palców na ubraniach. Worki sprawdzimy w laboratorium, nie ma tu na to czasu. W samej windzie

odcisków palców mamy od groma...

- Siłą rzeczy. Z tego co widzę, to ciało leży w drugiej części windy, tej, która jest oddzielona od pierwszej drzwiami, prawda? - zapytała Iza spoglądając w głąb dźwigu.

- Tak. Oprawca musiał mieć skądś klucz. Jeszcze jedno, zostawił przy niej karteczkę, zapakował ją w folię, prawdopodobnie po to, aby nie zamokła i była dla nas czytelna. Umieścił ją pomiędzy nogami ofiary, to znaczy, byłaby pomiędzy nogami, gdyby te nogi tam były... Nieważne. Zaraz Wam ją przyniosę - odszedł na chwilę, zostawiając tym samym Izę i Wojtkę samych.

- Słuchaj, Iza. Możemy zrobić tak, że ja się jeszcze przyjrę całej sprawie z bliska, a Ty po prostu zbierz wszystkie informacje... kim była ta kobieta, kto znalazł ciało i zawiadomił policję... Podejrzewam, że nie masz najmniejszej ochoty oglądać tego z bliska - zaproponował Kostecki.

Pewnie, że nie miała na to ochoty, co gorsza, nie potrafiła nawet znaleźć w sobie na tyle odwagi, choć wiedziała, że znów traci na swojej policyjnej reputacji, przegrywając z kobietą wrażliwością.

- Jeśli tak wolisz, to nie ma sprawy... - powiedziała udając, że nie robi jej to większej różnicy, a Kostecki nie odpowiedział, udając, że nie zauważył jej fałszywej obojętności.

- Tutaj jest ta kartka - Jarek zdążył już wrócić i podać woreczek z kartką Kosteckiemu, który od razu przeczytał na głos, co było na niej napisane:

- „I ślubuję Ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz, że Cię nie opuszczę aż do śmierci”... jeszcze raz, gdzie to było umieszczone, Jarek?

- No... tam. W bardzo intymnym miejscu, panie komisarzu... - Iza poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Trzeba to oddać do grafologa i tyle. Póki co wiemy, że użył czerwonego atramentu, a słowo „wierność” jest jakby pogrubione, widzicie to też? - spytała Iza, a obaj panowie skinęli głowami, po czym jeden z nich odszedł, by wyprosić lokatorów wchodzących właśnie do klatki, a drugi, by przyjrzeć się z bliska denatce i otoczeniu, w którym ją pozostawiono.

- Tak więc powtórzmy jeszcze raz. Państwo są nowymi lokatorami tego bloku, dokładnie klatki nr 56 i przyjechali dziś państwo, około godziny dziewiętnastej, z ciężarówką pełną me-

bli, by wprowadzić się do nowego mieszkania, które znajduje się na dziewiątym piętrze... W związku z tym musieli państwo wykorzystać windę, a dokładnie całą jej powierzchnię, by jakoś pomieścić się z meblami i pożyczyli państwo kluczyk do drzwi w windzie od swoich nowych sąsiadów, tak? - podkomisarz Kwiaton sprawdza zeznania młodego mężczyzny i jego wystraszonej, roztrzęsionej żony, siedząc wraz z nimi na sofie, którą zdolali wynieść już z ciężarówki, ale której nieszczęśliwym trafem nie zdolali wwieźć do góry.

- Dokładnie tak. Spod mieszkania 41. - Potwierdził mężczyzna.

- Z pańskich zeznań wynika, że żona czekała na pana i szwagra na dziewiątym piętrze, by otwierać wam drzwi podczas wnoszenia mebli. Kiedy wyciągnęliście z samochodu sofę, pan poszedł otworzyć drzwi w windzie, aby upewnić się, że klucz na pewno pasuje, zanim rozładujecie całość. Podczas próby otwierania drzwi natknął się Pan na opór z drugiej strony, jednak po mocniejszym pchnięciu udało się Panu dostać do środka. Zobaczył pan dość duży, czarny worek. Schylił się pan, by sprawdzić jego zawartość, rozcinając go nożykiem, który miał pan przy sobie z racji przeprowadzki i zobaczył Pan ludzką twarz. Wystraszył się i uciekł, drzwi od windy się zamknęły, a pańska małżonka ściągnęła windę na dziewiąte piętro. Kiedy winda przyjechała, żona widząc coś w środku, weszła do windy, pewna, że już coś panowie wyładowali i w tym samym momencie winda wraz z małżonką ruszyła w dół, gdyż nacisnął pan guzik na parterze, zgadza się?

- Dokładnie tak było. Kiedy żona zjawiała się na dole, ja niezwłocznie zablokowałem drzwi, aby winda już nigdzie nie odjechała i zawiadomiłem policję - dokończył już za Izę mężczyzna.

- Jest też pan pewny, że oprócz rozcięcia nożykiem worka, ani Pan, ani Pańska małżonka, nie dotykali ciała?

- Wie pani, w takim szoku ciężko jest być pewnym czegokolwiek, ale nie.

- W takim razie dziękuję, to chyba wszystko - powiedziała Iza wstrząśnięta tym, co usłyszała i współczując tej biednej kobiecie, która przebyła podróż z trupem przez dziewięć długich pięter. Z drugiej strony cieszyła się, że to nie dziecko wsiadło wtedy do windy, albo ktoś o słabym sercu... a tak naprawdę cieszyła się, że Wojtek odpuścił jej oglądanie zwłok na rzecz zbierania informacji. Wstając z sofy od razu natknęła się na Jacka, do którego miała się

właśnie udać, by zapytać czy zidentyfikowali ciało.

- Cześć Jacek, paskudna sprawa co? - zagaiła Iza.

- Żebyś wiedziała. Mam tylko nadzieję, że to pierwsze i ostatnie morderstwo tego typu... wiesz, że nie mamy do czynienia z seryjnia-kiem...

- Dowiedziałeś się kim jest ta kobieta?

- Tak. To mieszkanka tego bloku, dokładnie tej klatki - skinął głową na środkowe wejście do bloku opatrzone liczbą 56, nieco już wyblakłą, miejscami startą, może od uderzeń odbijanych od ściany piłek przez tutejsze dzieciaki. - Twarz rozpoznała jej sąsiadka, pchała się do windy, żeby zobaczyć, czy nie leży tam jej były kochanek, alkoholik, który wiecznie ją nachodził po pijaku. Koniecznie chciała się przekonać, nie dawała nam spokoju, więc jej pozwoliliśmy, żeby się jej pozbyć. Kobieta nazywa się Monika Padre, ta z windy oczywiście, wiek 38 lat. Mieszkała na piątym piętrze pod numerem 33, z mężem. Są bezdzietni. Sąsiadka zdążyła napomknąć, że ostatnio się kłócili. Mąż jest już w drodze do domu, wraca samochodem z Warszawy, załatwiał tam jakieś interesy.

- No, to ciekawie się wszystko zapowiada - bąknęła Iza. - Nic, idę przesłuchać tę sąsiadkę, może wie coś więcej...

Komisarz Kostecki ostatni raz przyjrzał się dokładnie wszystkim frapującym go szczegółom i kiedy miał się już podnosić znad ciała kobiety, zatrzymując wzrok na jej zastygłych, niebieskich oczach, coś jakby błysnęło na dnie worka. Wyteżając wzrok dostrzegł kawałeczek metalu, może o wymiarach piętnastu milimetrów, z malusieńkim zielonym oczkiem. Zbliżył się jeszcze bardziej do rozharatanego ciała kobiety, podniósł ten okrucuch i kazał go dołączyć do dowodów.

Wychodząc z windy ściągnął rękawiczki i automatycznie sięgnął do kieszeni kurtki, by wyjąć z niej papierosa. Odpalając go, polecił zabrać ciało i wszystko posprzątać, by skończyć w końcu to całe zamieszanie. Kiedy wychodził z klatki, rzucił mu się w oczy mężczyzna stojący wśród gromadki gapiów. Wysoki, dość dobrze zbudowany, z czarnymi włosami, których kolor wyraźnie podkreślał jego daleko posunięte zakola. Stał pośród innych na okalającej blok górze, skierowany wprost na drzwi klatki 56, znieruchomiały, skostniały, bez wyrazu. W zupełności nie pasujący do reszty.

- Słuchaj, Kostecki. Możemy mieć pierwszego poważnego podejrzanego - Iza odwróciła uwagę Wojtka od dziwnego mężczyzny, przerywając ciszę swoim słowotokiem, a także uderzeniem swojego partnera drzwiami w plecy, kiedy podekscytowana wychodziła z klatki.

- Ała - burknął komisarz, zanurzając papierosa w ustach.

- Sąsiadka powiedziała mi, że państwo Padre mieli ostatnio dość burzliwy okres. Prawdopodobnie nasza denatka miała romans. Co gorsza, z dobrym przyjacielem swojego męża, niejakim Piotrem. Pani Maria, sąsiadka, twierdzi, że dokładnie dwa dni temu, około godziny jedenastej w nocy za drzwiami sąsiadów rozgrywała się prawdziwa awantura. Kiedy usłyszała jakieś trzaski, to wyskoczyła z łóżka jak poparzona i pobiegła do drzwi w przeświadczeniu, że to być może jej były kochanek znów ją nawiedza w stanie upojenia i rozbija się po klatce. Wyszła za drzwi, bo przez wizjer nic nie umiała dostrzec, gdyż akurat na klatce panowały egipskie ciemności i usłyszała, jak za drzwiami państwa Padre toczy się jakaś szarpanina. Pani Monika krzyczała coś w stylu „puść mnie i zejdź mi z drogi”, a pan szanowny małżonek coś w stylu „nigdzie nie pójdziesz” i „zabiję Cię jeśli teraz wyjdiesz”. Sąsiadka wskoczyła z powrotem do mieszkania. Zaraz po tym słyszała, jak pani Monika wyszła, a w chwilę po niej ostre trzaśnięcie drzwi i odgłos, jak ktoś zbiega po schodach.

- Słyszała, ale nie widziała, prawda? - zapytał Kostecki zastanawiając się, czy zapalić jeszcze jednego papierosa.

- Prawda. Ale uwierz mi, jak się z kimś piętnaście lat mieszka drzwi w drzwi, to bez problemu można rozpoznać go po głosie, po krokach, nawet po sposobie, w jaki otwiera i zamyka drzwi! No i weź jeszcze pod uwagę tę karteczkę, którą znaleźliśmy przy zwłokach. To słowa przysięgi małżeńskiej... Wyobraź sobie, że facet działa w afekcie, właśnie się dowiedział, że żona ma romans, mało tego z jego najlepszym przyjacielem. Chce odejść, zostawić go. Wiesz, wszystko na raz, emocje, nerwy, złość... wybiega za nią...

- I ćwiartuje, i zamyka w windzie? No nie wiem, pani podkomisarz. Chyba będę musiał się z tymi faktami jakoś przespać... przemyśleć. Dla mnie to zbyt prosty scenariusz. Nawet jeśli zabił w afekcie, to dlaczego miałby jeszcze na siebie wskazywać w tym liściku? Podkreślać słowo „wierność”?

- Możliwe, że to nie on zabił, ale jest pierwszym poważnym podejrzanym. Przede wszystkim miał motyw, jest świadek, który

słyszał, jak się odgraża małżonce, że ją zabije i słyszał jak wybiega za nią z mieszkania. Wraca do domu trzy godziny później, a żony ani widu, ani słychu.

- Trzy godziny później? Skąd to wiesz?

- Od tej sąsiadki. Kiedy mieszkanie ulokowane jest na piątym piętrze, tuż pod piętrem przejściowym, na tym samym, na którym zatrzymuje się winda, doskonale słychać, kiedy dźwig jest wprawiany w ruch, kiedy się zatrzymuje i czy ktoś z niego wychodzi. Wyraźnie słychać zamykające się drzwi i kroki osoby, która opuszcza windę, szczególnie kiedy jest noc, a wokół panuje nieprzenikniona cisza.

- Dobra. Niewykluczone, że jej zeznania okażą się kluczowe, ale na razie to tylko poszlaki. Ruszemy z całą sprawą do przodu po spotkaniu z naszym wdowcem, więc jedyne, co możemy teraz zrobić, to pojechać do domu, wypaść się i odwiedzić jutro pana Padre. - Zakończył dyskusję komisarz Kostecki.

Była dziewiąta rano, kiedy podkomisarz Kwiaton pukała bez rezultatu do drzwi swojego partnera Wojciecha Kosteckiego. Jakikolwiek znaki życia dobiegające z mieszkania usłyszała dopiero po tym, jak zaczęła walić w drzwi pięściami, nie zważając na opinię sąsiadów i klnąc pod nosem, że mógłby sobie naprawić w końcu ten stary, ruski dzwonek, który popsuł się z dobre pół roku temu. Tymczasem Kostecki, który został wyrwany z głębokiego snu, stanął na równe nogi i zrzucił pustą szklankę po wódce, która stała na stoliku nieopodal jego łóżka.

- Psia mać! - burknął komisarz, kiedy szklanka z łoskotem upadła na podłogę i ruszył w stronę drzwi.

- Dzień dobry, Panie Wojciechu! Czy byłby pan łaskaw następnym razem nie wyłączać komórki na noc, żebym nie musiała się do pana osobiście fatygować, żeby sprawdzić czy nic się panu nie stało i czy jest Pan zainteresowany dalszym prowadzeniem śledztwa? - zapytała ironicznie Iza, która stała oparta o framugę drzwi, z rękami włożonymi do kieszeni jej stanowczo zbyt obcisłych, czarnych spodni.

- Daj spokój kobieto, bateria mi padła - powiedział Kostecki.

- No widzę, widzę, że Ci padła. Wyglądasz tragicznie. Zbieraj się i jedziemy.

- Mogę się chociaż napić kawy?

- Możesz. Po drodze. I nie bierz kluczyków do samochodu.

Sądząc po zapachu, nie będziesz dziś prowadził swojego cacuszka, pojedziemy moim autem, skoro i tak już tu nim przyjechałam. Masz pięć minut, weź zimny prysznic, dobrze Ci zrobi. Czekam na dole. - Iza obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę schodów, zostawiając osłupionego Wojtkę samego.

Chociaż policyjny duet mógł spokojnie pokonać odcinek dzielący ich od mieszkania pana Padre na piechotę, gdyż Wojtek mieszkał całkiem niedaleko, wyruszyli w drogę samochodem. Dzięki temu, Izabela mogła wreszcie prowadzić auto podczas pracy, co prawda własne, ale zawsze, natomiast komisarz Wojtek mógł spokojnie dochodzić do siebie, popijając kawę z automatu, którą kupił na szybko w supermarkecie, tuż przed jego blokiem.

- Wiesz, na początku, jak się dowiedzieliśmy, że postawią nam przed blokiem jeden z tych wielkich, obleśnych sklepów, że jak otworzę okno to będę słyszał „pipczenie” tych czytników kasowych, a nad ranem będę mijał się z ciężarówkami przywożącymi towar, to myśleliśmy wszyscy, że nas szlag trafi. Nie wiem nawet, czy nie było jakichś petycji, wiesz, żeby tego tutaj nie budowali... No, ale teraz to sobie myślę, że życie jak w Madrycie. Nawet nie muszę sobie kawy parzyć rano w domu - powiedział Kostecki do swojej partnerki, która czekała, aż ktoś ustąpi jej pierwszeństwa, aby mogła dołączyć się do ruchu.

- Chyba żartujesz?

- Z czym?

- No, z tym, że Ci się ten moloch pod Twoim blokiem podoba.

- Podoba, czy nie podoba. Stoi, to muszę się z nim jakoś zaprzyjaźnić.

- Według mnie jest stanowczo za dużo tych wszystkich supermarketów w tym mieście. Uważam, że zarówno przestrzeń, jak i pieniądze można lepiej zagospodarować. Nieważne. Mamy nowe informacje w sprawie - zakończyła temat Iza i włączyła się wreszcie do ruchu.

- Czekam na nie z niecierpliwością od samego rana, moja droga.

- Moja droga? Nie pozwalaj sobie na takie egzaltowanie uczuć na służbie, komisarzu - roześmiała się w duchu, ale szybko przypomniała sobie sedno ich dzisiejszego spotkania, które nie należy do towarzyskich. - Zgon kobiety nastąpił w nocy z poniedziałku na wtorek, około północy. To ta sama noc, kiedy doszło do awantury

pomiędzy małżonkami. Wykryto też kilka odcisków palców na workach, w które spakowane było ciało.

- Bardzo ciekawe, do kogo należą - powiedział komisarz Kostecki.

Kiedy Izabela zaczęła manewr parkowania, nazywany potocznie zatoczką, Kostecki wysiadł z samochodu, aby zapalić papierosa przed spotkaniem z panem Padre. Był niemalże pewny, że spokojnie zdąży wypalić go do końca, zanim Iza zaparkuje. Niebo było zachmurzone. Spoglądając w górę, grantowo-biały dzieścio-piętrowiec doskonale komponował się z tłem. Gdzieś ponad chmurami leciał samolot, było wyraźnie słychać, jak przeszywa niebo.

- Schody czy winda? - spytał kiedy weszli już do klatki.

- Schody. Trochę ruchu nam nie zaszkodzi - odparła podkomisarz Kwiaton, choć Kostecki doskonale wiedział, że nie o aspekty zdrowotne teraz chodzi.

Lekko zdyszany zatrzymał się przed drzwiami nr 33, puszczając koło uszu uwagi Izy na temat jego kondycji. Po trzykrotnym naciśnięciu na dzwonek w drzwiach wreszcie pojawił się pan Padre.

- Przyszliśmy zadać panu kilka pytań - powiedział Kostecki, kiedy przekroczyli już próg mieszkania.

- I wyrazy współczucia z powodu śmierci żony - dodała Iza, lecz mężczyzna nawet na nich nie patrzył, tylko kiwał głową, jakby miał ją zawieszoną na sznurku. Rozpostartym ramieniem zaprosił ich do pokoju, a sam udał się do kuchni, by postawić wodę na kawę. Nie było go chwilę zanim do nich dołączył.

- Monika mnie zdradzała... i to z tym łachudrą Piotrem. Pseudo przyjaciel... - zaczął sam od siebie, nie nagabywany przez nikogo. - Nie chciała mieć dzieci, to ich nie mieliśmy! Tyle jej poświęciłem! Całe swoje życie, a ona, a ona do mnie, że odchodzi! Że odchodzi! - jego głos stawał się coraz głośniejszy.

- Proszę się uspokoić. Wiemy, że to dla pana trudne, że jest pan w szoku - powiedziała Iza. - pańska małżonka została zamordowana w okrutny sposób i naszym zadaniem jest jak najszybsze ujęcie sprawcy, panu na pewno również na tym zależy... Proszę mi powiedzieć, czy jest ktokolwiek, kto chciałby śmierci Pańskiej żony?

- Nie. Monika była wspaniałą kobietą... wydawała się być wspaniałą... - poprawił się i zawiesił głos.

- Czy może nam pan powiedzieć, jak wyglądał wieczór kiedy -

pańska żona została zamordowana? - zapytał komisarz Kostecki.

- Wróciłem z pracy koło dziesiątej wieczorem. Na stole czekała kolacja. Poszedłem pod prysznic, a kiedy wyszedłem z łazienki, Monika stała w przedpokoju ze spakowaną walizką. Wtedy powiedziała mi, że już mnie nie kocha, że odchodzi, że kocha teraz Piotra, że nic na to nie poradzi, że musi..., że się dusi w tym związku... co ona w nim widziała? Te zakola? - mówił coraz bardziej chaotycznie pan Padre. Po jego spuszczonego wzroku ewidentnie było widać, iż czuł się zakłopotany całą sytuacją, w której musiał się przyznawać do tego, że żona przyprawiała mu rogi. Uratował go gwizd czajnika w kuchni, do której się udał.

- Co było dalej? - zapytała Iza kiedy wrócił.

- Pokłóciliśmy się. Zacząłem się z nią szarpać... Niczego nie rozumiałem, niczego się wcześniej nie domyślałem... to było tak, jakbym dostał obuchem w głowę... Skończyło się na tym, że udało jej się wyjść z domu, ale bez niczego, bez torebki i walizki. Wybiegłem za nią, ale już jej nie dogoniłem. Wróciłem od razu do mieszkania. Myślałem, że ona też wróci, skoro niczego nie udało jej się ze sobą wziąć, ale już nie wróciła. Ani w nocy, ani na następnym dniu...

- Rozumiem - powiedziała Iza. - A czy jest ktoś, kto może potwierdzić, że wrócił pan do domu po tym jak wybiegł pan za małżonką?

- Jak to potwierdzić? Jak to potwierdzić? Czy ja jestem o coś podejrzany? - oburzył się wdowiec.

- Panie Padre. To są rutynowe pytania. Proszę nie brać ich do siebie. Nie jest pan o nic podejrzany. Takie są procedury - wtrącił się Kostecki.

- Wjechałem windą do góry, ale nikt w niej ze mną nie jechał. Nikogo też nie spotkałem po drodze.

- Ale może dzwonił pan do kogoś z domowego telefonu po powrocie?

- Nie.

- W takim razie z pytań to wszystko. Prosimy pana o stawienie się na komisariat w celu spisania pańskich zeznań oraz pobrania od pana odcisków palców. Wie pan, na ubraniach małżonki wykryto kilka. Na workach, w których spoczywało ciało również. Chcielibyśmy je ze sobą porównać.

- I to również jest rutynowa procedura - dodała Iza dla uspokojenia już wystarczająco zdenerwowanego wdowca.

- Oczywiście. Jeśli to konieczne, mogę pojechać z państwem nawet teraz - odparł.

- Znakomicie, im szybciej zbierzemy wszystkie ślady i dowody w całość, tym szybciej ujmiemy sprawcę.

Za oknem powoli zapadał zmierzch, kiedy dwójka prowadząca śledztwo w sprawie brutalnego morderstwa opuszczała budynek szpitala przy ulicy 26 Marca. Dostali wiadomość o próbie samobójczej kochanka ofiary.

- Jak myślisz, dlaczego chciał popełnić samobójstwo? Z miłości czy z poczucia winy? - zapytała Iza.

- Raczej z miłości. Przecież to on wygrał walkę o jej względy, a tak naprawdę nie miał nawet czasu, aby się tym nacieszyć. Widziałem go tamtego dnia, kiedy znaleziono zwłoki. Stał przed jej blokiem wśród innych ciekawskich. Pan Padre miał rację, jego zakola są naprawdę imponujące.

- Nie bądźź złośliwy. Zaczekamy, aż Tobie zaczną się robić - zauważyła Iza i wyciągnęła z kieszeni telefon, który dzwonił już od kilku sekund. - Rozumiem, dzięki - powiedziała kończąc rozmowę.

- To co, moja droga, może należy nam się jakieś piwko po pracy? Jest fajna knajpka niedaleko... - zaproponował Kostecki, otaczając Izę ramieniem.

- Chyba nie dziś, mój drogi - powiedziała z przekąsem. - Dzwonili z wydziału. Nasz nieszczęśliwy kochanek samobójca ma wiarygodne alibi na tamten wieczór, więc odpada z kręgu podejrzanych, choć podejrzanym to on był marnym. Za to mamy czarnego konia. Wyniki od grafologa wskazują na to, iż przysięga małżeńska, którą znaleźliśmy na kartce przy zwłokach, była zapisana męską dłonią. Jego charakter jest bardzo zbliżony do charakteru pisma pana Padre, bynajmniej tyle dało się wywnioskować z porównania podpisu, jaki złożył pod swoimi zeznaniami.

- To jeszcze o niczym nie świadczy...

- Ale ja jeszcze nie skończyłam. Są pewne rozbieżności pomiędzy tym, co powiedział nam pan Padre podczas naszej krótkiej wizyty u niego, a tym, co zeznała jego sąsiadka. Pani Maria twierdziła, że jej sąsiad wrócił do domu późno w nocy, natomiast pan Padre twierdzi, że wrócił do domu od razu, ale nie jest w stanie tego udowodnić. Przygotuj się na to. Odciski palców z worków należą do naszego wdowca.

- Żartujesz? - zdziwił się Wojtek. - To wiele zmienia...

- Wiele zmienia? To potwierdza wszystkie inne poszlaki, które go do tej pory obciążały! To uzasadnia dlaczego kłamał, że wrócił od razu do domu po tym, jak wybiegł za żoną...

- Uzasadnia i owszem, jeśli weźmie się pod uwagę, że to on kłamał, a nie jego sąsiadka.

- A po co ona miałaby kłamać? Wojtek! Wszystko wskazuje na niego. Jego zachowanie. W ogóle nie przeżywał śmierci żony tylko jej zdradę. Miał motyw i klucz do windy.

- Skąd wiesz, że miał klucz do windy? - spytał komisarz.

- Rzucił mi się w oczy już kiedy wchodziliśmy, leżał na szafce z telefonem w przedpokoju. Dla pewności porównałam go do oryginalnego klucza, który noszę w kieszeni. To był ten sam.

- Skąd Ty masz klucz do drzwi z tej windy, Iza? - spytał coraz bardziej zafrapowany całą sprawą komisarz.

- Widzisz, niektórzy pracują ciężiej niż Ty. Udałam się do administracji osiedla, żeby dowiedzieć się dokładnie, kto może wejść w posiadanie takiego klucza i czy spisują, komu taki klucz wydają. Facet, który tam pracował był na tyle uprzejmy, że dał mi oryginalny klucz do tych drzwi i życzył powodzenia w złapaniu tego mordercy.

- No, proszę. Pani podkomisarz kombinuje... choć chyba nie całkiem logicznie! Nawet gdybyś miała listę osób, którym wydawano ten klucz, to potencjalnie może mieć go każdy, kto go sobie dorobi na własny użytek. Tym samym to, że widziałas ten klucz w mieszkaniu pana Padre, wcale go nie obciąża.

- Dobrze, ale odciski palców na workach obciążają go wystarczająco, żeby go zatrzymać.

Tadeusz Padre wjeżdżał właśnie na rondo Karviny, jedyne w Polsce rondo w kształcie nerki, kiedy zdecydował, że pojedzie do swojego biura w centrum miasta i tam spędzi nadchodzącą noc. W chwili, gdy wrócił po przesłuchaniach do pustego mieszkania, powoli zaczęło do niego docierać, co tak naprawdę się stało. Złapał więc za kluczyki do samochodu i czym prędzej wyszedł. Krążył po mieście dobre dwie godziny, próbując się uspokoić i poukładać wszystko w całość. Zastanawiał się też, czy dobrze zrobił kłamiąc tej dwójce, że wrócił wtedy od razu do domu...

- Co się stało, to się nie odstanie - mruknął sam do siebie, przechodząc koło sklepu, na miejscu którego kiedyś było kino,

a jeszcze dawniej synagoga. To do tego kina zabierał ją na randki. To w tym kinie poznał ich ze sobą. Powiedział: „Moniko, pozwól to jest mój wieloletni przyjaciel, Piotrek”. Wzdrygnął się na myśl o tym wspomnieniu. Wiele by dał za to, aby móc cofnąć czas. Zwielu względów.

- Panie Padre, jest pan zatrzymany - wyrwał go z rozmyślań znajomy głos komisarza Kosteckiego, który stał przed drzwiami biura.

- Jak to zatrzymany? Na jakiej podstawie? - zaczął się burzyć.

- Jest pan oskarżony o morderstwo swojej żony Moniki Padre. Są poważne dowody, które pana obciążają. Proszę nie utrudniać i nie stawiać oporu - słowa komisarza docierały do uszu Tadeusza jakby z zaświatów i odbijały się echem w jego głowie.

Było piątkowe popołudnie. Zarówno komisarz Kostecki, jak i podkomisarz Iza Kwiaton, siedzieli w biurze nadrabiając zaległą, papierkową robotę.

- No, więc można powiedzieć, że sprawa tego morderstwa jest zamknięta komisarzu - zwróciła się Iza do swojego kolegi, rozciągając się na krześle.

- Tak się wydaje, wszystko na to wskazuje, ale ja w dalszym ciągu mam przeczucie, że coś nie gra...

- Co może nie grać? - powiedziała podkomisarz obracając na palcu wskazującym klucz z breloczkiem - Ten klucz, komisarzu, i ta sprawa odchodzą do przeszłości.

- Pokaż mi to! - Wojtek podniósł się znad biurka i wyszarpnął Izie klucz z dłoni.

- Co Ty wyprawiasz? - zdenerwowała się Iza.

- Jasna cholera! Zobacz, ten breloczek jest tutaj uszczerbiony, widzisz? Mam brakującą część, znalazłem ją na miejscu zbrodni...

- Wojtek sięgnął do szuflady po malutki odłamek i przyłożył go do reszty. - Pasuje. Wstawaj, jedziemy!

Niemalże błyskawicznie dotarli na osiedle XXX-lecia, dzięki brawurowej jeździe komisarza Kosteckiego. W budynku administracji, który znajdował się tuż nad pocztą, nie znaleźli mężczyzny, od którego Iza dostała klucz, ale uprzejma pani wyjaśniła im, że pan ten jest na chorobowym i powinni zastać go teraz w domu, jeśli to coś pilnego.

- Kostecki, adres, który podała nam ta kobieta to blok znajdu-

jący się dokładnie naprzeciwko bloku zamordowanej kobiety!

- Wiem. Musimy rozegrać to tak, żeby znaleźć więcej obciążających go dowodów. Chciałbym się dostać do mieszkania tego psychola.

- Nie masz pewności, że to on. Poza tym nie możesz mu przeszukać mieszkania bez nakazu prokuratora!

- Nie mam zamiaru czekać na ten nakaz. Robimy tak: idziesz do niego i pod pretekstem, że go potrzebujesz jako konserwatora, żeby jeszcze raz coś sprawdzić, wyciągasz go z domu. Ja wtedy wślizgnę się do jego mieszkania i dopóki do was nie dołączę, Ty nie pozwolisz mu odejść, zrozumiano?

- Kostecki... to zbyt ryzykowne, a co jeśli się zorientuje? Jeśli jest prawdziwym mordercą, może być czujny... - martwiła się Iza.

- Iza, błagam Cię. Choć raz udowodnij mi, że jesteś policjantką z jajami, że faktycznie masz w spodniach coś jeszcze oprócz gnata, proszę - nalegał Wojtek.

- Dobra, zgoda... Tylko szybko się tam uwiń - ustąpiła, choć wcale nie chciała tego robić.

Mijało już jakieś dobre piętnaście minut od kiedy Iza została sam na sam z Grzegorzem, pracownikiem administracji osiedla. Wymyślała ciągle nowe pytania na temat działania dźwigu, pytała go o opinie w sprawie domofonów, choć wiedziała, że zarówno czas, pytania, jak i jego cierpliwość dobiegają końca, a cała sytuacja zaczyna robić się beznadziejna i mocno podejrzana. Była skłonna nawet udawać swoje zainteresowanie osobą zakatarzowanego administratora i umówić się z nim na kolację, byle tylko jej nie rozgryzł przed powrotem Wojtką.

- Czy jest Pani mężatką? - zapytał Grzegorz, zupełnie jakby wyczuł, że myślała przed chwilą o umówieniu się z nim na randkę.

- Rozwódką - odpowiedziała skwapliwie. Zerkając na zegarek, spostrzegła, że minęło już dwadzieścia minut. Przykro mi. Jeśli można wiedzieć, aczkolwiek nie chcę być natrętny... co było przyczyną rozpadu małżeństwa? - dąży temat.

- Zdrada, panie komisarzu - zachichotała nerwowo - Czy to jakieś śledztwo? Czy też próbuje pan sprawdzić, czy może się stać o moje względy?

Desperacko próbowała rozładować atmosferę, ale czuła, że sytuacja jest coraz bardziej napięta i sama się wpędza w kozi róg.

- „Ślubuję Ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz, że

Cię nie opuszczę aż do śmierci" czy to nie piękne słowa pani Izo? - zaczął powoli się do niej przybliżać, podczas gdy podkomisarz próbowała się cofać, lecz natrafiła na ścianę za swoimi plecami.

- Pani Izo, zadałem Pani pytanie, proszę na nie odpowiedzieć...

- Stój! Na ziemię! - zza ściany wyłonił się komisarz Kostecki z bronią wycelowaną w Grzegorza.

- Nic Ci się nie stało? - pytał zatroskany Kostecki, kiedy radiowóz zabrał już administratora.

- Oprócz tego, że najadłam się masę strachu, to nic. Co znalazłeś w tym mieszkaniu?

- Nie uwierzysz. On podglądał i podsłuchiwał to małżeństwo. Miał na komputerze nagrane ich rozmowy... Doskonale wiedział, co się rozgrywało u nich w mieszkaniu tamtego wieczoru. Wiedział też, że sprawa szybko wyjdzie na jaw, bo miał informację, że wprowadzą się nowi lokatorzy.

- No, ale jak wyjaśnisz odciski palców pana Padre na workach, w których znaleziono ciało?

- Jeśli morderca był w stanie podłożyć podsłuch w ich mieszkaniu, to znaczy, że miał do niego dostęp, co jest równoznaczne z tym, że mógł wynieść stamtąd worki.

- W takim razie dlaczego Tadeusz Padre kłamał?

- Pewnie ze strachu. Pamiętasz, jak reagował na sam fakt, że może być podejrzany o te morderstwo... Ludzie ze strachu robią różne rzeczy, nie zawsze rozsądne. - Kostecki zapalił papierosa.

- Popatrz, co się okazało drogi komisarzu - powiedziała Iza kiedy opuszczali felerną klatkę 56 - Otóż, okazało się, że ja faktycznie jestem policjantką z jajami, a Ty policjantem z prawdziwą kobiecą intuicją - podkomisarz Kwiaton głośno się roześmiał. - W takim razie zapraszam na piwo albo nie, lepiej na wódkę.



Skład i druk:
Legis G. Lisiecki
44-304 Wodzisław Śląski, Jastrzębska 157

Foto:
Małgorzata Domagała
ze zbiorów Urzędu Miasta
Wodzisławia Śląskiego

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-61800-01-9

SPIS TREŚCI:

"REQUIEM DLA LOSLAU"	str. 5
Michał Kłosiński	
"NIGDY NIE MÓW NIGDY"	str. 24
Robert Menżyk	
"RYSY"	str. 49
Szymon Swoboda	
"POŻAR W BAZIE WPK I CO Z NIEGO WYNIKŁO"	str. 75
Małgorzata Chwoła	
"WYMARŁE MIASTO"	str. 92
Monika Żabicka	
"CENA SZTUKI"	str. 110
Patrycja Czyż	
"CO SIĘ STAŁO W MAŁYM MIASTECZKU"	str. 126
Lidia Michalska	
"PRZYSIĘGA"	str. 141
Jolanta Miśków	



Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna

44-300 Wodzisław Śląski, ul. 1. Daszyńskiego 2
Telefon: 032-455-48-74, Fax: 032-455-16-89
e-mail: bibliotekaws@hoga.pl

www.biblioteka.wodzislaw.pl